

MAURICE LEBLANC

KRYSZTAŁOWY KOREK

POWIEŚĆ

FELDMORN Julius

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁ

JAN LAS

KRAKÓW—WARSZAWA
WYDAWNICTWO „PANTEON”
KRAKÓW, KSIĘGARNIA POWSZECHNA

1929

W 166039
397715 1

W-007/1234/5



18.12.

39-

ROZDZIAŁ I.

NIEUDANY ZAMACH.

Arsen Lupin wyszedł z kiosku, w którym palił cygaro i spojrzał w stronę jeziora, gdzie kołysały się u przystani dwie uwiązane łodzie.

Było to w okolicach Paryża, w ładnem miasteczku Enghien, które jest ulubionym celem niedzielnych wycieczek mieszkańców stolicy. Zapadł już mglisty, jesienny wieczór; w oknach błyszczały światła, a zwłaszcza miejscowe kasyno jaśniało zdaleka, jak w dniu iluminacji. Na ulicach natomiast skąpo oświetlonych, było dość ciemno, a że w dodatku czas był mglisty, mijający się przechodnie mogli z trudem tylko wzajem się rozpoznać.

Arsen Lupin lubił takie wieczory. Lubił je zwłaszcza dawniej, gdy był niejako początkującym w swem ulubionem rzemiośle. Dziś jednak czuł się nieswój. A przecież to, czego miał dokonać, było stosunkowo drobnostką, bagatelą, nie wartą wspomnienia wobec innych przedsięwzięć. Jeśli dał się skusić na dzisiejszą wyprawę, to stało się to tylko z tego powodu, że podrażniono jego ambicję zbieracza osobliwości. Arsen był, to pamiętają zapewne czytelnicy, zapalonym kolekcjonistą, a willa, którą zamierzał dziś odwiedzić, zawierać miała mnóstwo starych bronzów, cennych sprzętów i prawdziwych arcydzieł sztuki.

Stanąwszy nad jeziorem, Lupin zagwizdał jakąś piosenkę. W tejże chwili dwóch barczystych chłopów podniosło się z głębi łodzi. Byli to wiosłarze.

Lupin odesłał samochód, polecając szoferowi, by powrócił z nim za godzinę, poczem wszyscy trzej wsiedli do jednej łodzi, stojących na jeziorze.

— Bardzo powszednia awantura — rzucił przez zęby Lupin. Dopływali do willi, gdy nagle w oknach jej błysnęło światło.

— Patrzcie tylko, tam jest ktoś — zauważył Lupin.

— Nie, nie. To tylko latarnia gazowa, stojąca na ulicy. Zapalono ją przed chwilą, a światło to odbiło się w jednym z okien. — Objaśnienia tego udzielił Gilbert, który był dzisiaj niezwykle ożywiony. Vaucheray siedział nieruchomy i ponury, jak zwykle. Łodzie przybiły do brzegu w małej przystani, z której omszałe schody kamienne schodziły do wody. Dochożąc do willi, ujrzeli istotnie latarnię gazową, palącą się na ulicy.

— A widzi pan! — rzekł Gilbert.

— Tak, tak, a jednak światło, któreśmy widzieli, pochodziło skądinąd. Gdzież są te zbiory? — zagadnął jeszcze Arsen.

— Na pierwszym piętrze — odparł Gilbert. — Tam zgromadził pan poseł wszystkie swe osobliwości.

— A gdzież są schody?

— Tuż za portjerą.

Lupin skierował się ku owej portjerze, gdy wtem fałdy jej rozsunęły się i ukazała się wśród nich wystraszona twarz ludzka.

— Złodzieje! Na pomoc! — ryknął przerażony głos.

Głowa znikła znów za portjerą i słychać było szybkie kroki uciekającego.

W mgnieniu oka Arsen Lupin puścił się za nim w pogoń. Doścignął go w ostatnim pokoju, gdzie uciekający starał się otworzyć okno, zamierzając widocznie wyskoczyć na dziedziniec.

— Hola! Stój obywatelu! — krzyknął Lupin. — A to co! Tak sobie poczynasz?

Z temi słowy Lupin padł twarzą na ziemię, podczas gdy nad głową jego zagrzemiały trzy z kolei wystrzały. Chwilę potem Arsen przyskoczył do przeciwnika i podbiwszy mu nogi, obalił go na ziemię.

Gilbert i Vaucheray byli już przy nim.

— Związać mi tego dowcipnisia! — rozkazał Lupin. — O mały włos, a byłby mnie zdmuchnął z tego świata.

— To Leonard, służący Daubrecqua.

— Służący musi być tyle wart co jego pan — natrząsał się Lupin, przystawiwszy latarkę do twarzy powalonej na podłogę ofiary. — Nie masz uczciwej twarzy, Leonardzie, i musisz mieć niejeden grzech na sumieniu. No, ale nie bój się, nic ci się nie stanie, bylebyś zachował się spokojnie.

W gruncie rzeczy Lupin był wściekły. Głupia awantura, a mało co życia w niej nie postradał! Zmył porządnie głowę swym współnikom za mylnie podane informacje, dopiero widok cennych i pięknych przedmiotów, które znalazł na górnem piętrze, uspokoiły go cokolwiek.

— Panu posłowi nie brak jak widzę gustu — zauważył, wybierając najpiękniejsze okazy mebli i obrazów.

Gilbert i Vaucheray znosili je do łodzi, tak, że wkrótce salon był opróżniony... Jedna tylko okoliczność uderzyła Arsena: Oto Gilbert i Vaucheray, nie ograniczając się do zabierania wskazanych przez niego sprzętów, dokonywali przeglądu mieszkania Daubrecqua z drobiazgową skrupulatnością detektywów.

— Oni szukają tu czegoś... — zauważył w duchu Lupin. Zwracał też na nich z pod oka uwagę, nie dając po sobie poznać, że postępowanie ich obudziło w nim pewne podejrzenia. Naglił ich do pośpiechu i pilnował, gdy schodzili do łodzi.

— No! dość już tego — wskazał wreszcie. — Wzię-

liśmy co lepsze, resztę zostawić mi panu posłowi, aby miał na czem usiąść, wróciwszy z teatru.

— Jeszcze pięć minut — prosił go Gilbert. — Powrócimy raz jeszcze, bo...

— Bo co?

— Tam w jednej z szaf ukryty być ma słynny relikwiarz złoty, czy też coś innego w tym rodzaju. Przedmiot bez żadnej prawie wartości...

Chłopak nie nawykły do kłamstwa, wikłał się, ale Lupin udawał, że wierzy jego słowom.

— Szukają czegoś! — pomyślał — a w dodatku kryją się przedemną... Nawet Gilbert...

Przykro mu było, że Gilbert nie ma do niego zaufania.

— Nie pięć, lecz dziesięć minut daję wam zwłoki. Ani sekundy dłużej!

Poszli, a on czekał na nich na dole. Nie powracali jednak, choć upłynęło więcej niż 10 minut. Była to niesubordynacja, której doświadczony herszt nie mógł puścić płazem.

Wybiegł więc żywo na górę, ale nim dobiegł do jadalni, usłyszał wystrzał, potem jęk i łoskot upadających sprzętów.

— Co to jest, do pioruna? — pomyślał.

Wpadł jak bomba do pokoju, skąd dochodziły krzyki. Gilbert i Vaucheray tarzali się po podłodze, zwarci w uścisku. Z ust ich wydzierały się stłumione okrzyki wściekłości. Odzież zbryzgana była krwią. Wreszcie Gilbert odniósł nad osłabłym zwycięstwo. Lupin, ścisnąwszy żelazną ręką zaciśniętą jego pięść, zmusił go do wypuszczenia jakiegoś drobnego przedmiotu, lecz Gilbert schował go natychmiast do kieszeni. Podniósł się wreszcie, Vaucheray jednak nie mógł się ruszyć z miejsca. Ramię jego broczyło krwią.

— Ty go zraniłeś? — spytał Gilberta Arsen Lupin.

— Niel! To Leonard, służący.

— Jakże to się stać mogło, skoro był związany?

— Zdołał jakoś uwolnić się z więzów. Podczas

gdyśmy byli na górze, odnalazł swój rewolwer i strzelał do Vaucheraya.

— Gdzież jest ten śmiałek?

— W przyległym pokoju — odparł Gilbert, wskazując na drzwi. Lupin poszedł tam z lampą i znalazł istotnie służącego, Leonard był już trupem. Leżał na wznak, z rękoma na krzyż złożonemi. W szyi jego tkwił sztylet. Trup ten wyglądał strasznie. Na twarzy jego zastygł wyraz nienawiści.

— Kto go zabił? — krzyknął Lupin, blady z gniewu.

— Vaucheray — wyjąkał nieśmiało Gilbert.

— Vaucheray?... A ty, będąc świadkiem, pozwoliłeś na to? A więc krew przelewacie. Tem gorzej dla was. Od dziś przestajecie być członkami bandy. Ha! zobaczycie, co znaczy narazić się na gniew Arsena Lupina.

Gilbert nie próbował się usprawiedliwiać. Widok trupa przerażał go widocznie.

— I dlaczego? — badał Lupin. — Vaucheray jest skończonym łotrem. Ale jaki miał powód, który go skłonił do popełnienia tego ohydneho morderstwa?

— Leonard miał w kieszeni klucz od szafy.

— A! Od tej, gdzie był ukryty ten cenny relikwiarz? — spytał Lupin, patrząc badawczo w oczy swego młodego współnika.

— Tak — odparł tamten, spuszczaając powieki.

— Leonard bronił się, nie chcąc dać klucza?

— Sięgnął po rewolwer i strzelił, zanim go Vaucheray przebił sztyletem.

— A potem? — badał dalej Lupin.

— Vaucheray otworzył szafę i zabrał stamtąd...

— Co? relikwiarz? Wiedziałem wybornie, że to nie był relikwiarz. Ty wydarłeś mu ten mały przedmiot. Pokaż mi go zaraz.

Milczenie było jedyną odpowiedzią. Gilbert miał w tej chwili tak zacięty wyraz twarzy, że było widocznem, iż niełatwo ustąpi.

— Co to? — zawołał nagle Lupin.

— To on! — odpowiedział Gilbert, wskazując na trupa Leonarda. — Och, panie — zawołał nagle z trwogą. — Ten trup mówi. Słyszałem już raz głos jego.

— W takim razie nie jest jeszcze trupem — zaśmiał się Lupin, pochylając się nad Leonardem.

Po chwili jednak cofnął się sam... Włosy stanęły mu na głowie pod wpływem trwogi. Leonard już nie żył. Serce jego przestało bić. Twarz była nieruchoma. A przecież z tych ust, skrzywionych w kurczu przedśmiertnym, wychodzić się zdawały jakieś krótkie, urywane wyrazy. Wymawiane były głosem cichym, stłumionym, głosem dziwnie nierównym, gwizdzącym, a przede wszystkim dziwnie dalekim.

Zimny pot wystąpił na czoło Lupina. Towarzysz jego zakrył twarz dłońmi — spojrzeli na siebie, obejrzeli wszystkie kąty pokoju. Nie było nikogo prócz nich i zamordowanego. Skąd więc pochodzić mógł ten dziwny, tajemniczy głos, jakby płynący z poza grobu. Po chwili Arsen opanował nadludzkim wysiłkiem swój lęk i pochylił się nad zabitym. Głos, który umilkł przez chwilę, znów się odezwał. Słyszał już teraz wyrazy, odróżniał poszczególne zdania.

— Poświęć mi tu lepiej — rzekł do Gilberta.

Ten zbliżył się z lampą, oświetlając jaśniej twarz Leonarda. Nie było żadnej wątpliwości, że słowa, które dochodziły ich uszu, wypowiedane były przez trupa, a jednak usta skrwawione nie poruszały się wcale.

— Słuchajcie! — mamrotał straszny głos. — Oni go zabili. Zabili go chyba! Śpieszmy się! Żywo! Milczenie! Nie mówi już!...

— Panie — wyjąkał Gilbert, którego zęby szczękały jak w febrze. — Boję się... to straszne...

Ale Arsen, który od pewnego czasu wpatrywał się uważnie w jeden punkt, wybuchnął nagle szczerym, rozgłośnym śmiechem. Dźwignął silną ręką trupa i przesunął go na inne miejsce.

— Wybornie! — rzekł. — Patrzno tu chłopczel Upiór zażartował sobie z nas, ale mamy go wreszcie.

Palcem wskazywał Gilbertowi słuchawkę od telefonu, połączoną za pomocą drutu z aparatem, utkwionym w ścianie. Słuchawka ta leżała na podłodze, w miejscu właśnie, na którym spoczywał przed chwilą trup.

— Zjawisko tłumaczy się samo przez się — mówił dalej Arsen, poważniejąc nagle — ale za to grozi nam ono niebezpieczeństwem stokroć gorszem, niż gadanie umarłego. Leonard musiał telefonować przed śmiercią do policji. A padając, ściągnął ciężarem swym słuchawkę, nie przerywając mimo to drutu. Głos, któryśmy słyszeli, to była odpowiedź z biura policyjnego. Za małą chwilę będziemy mieć na karku żołnierzy i agentów. — Mówiąc to, zmierzał już ku drzwiom, ciągnąc za sobą Gilberta.

Vaucheray wtedy ryknął z rozpaczą:

— Więc zostawiacie mnie na pastwę policji?

— Zaslugiwałbyś na to, urodzony bandyto! — mruknął Lupin. Pozostał jednak, bo sprzecznemby było z jego naturą zostawiać bez pomocy w biedzie kamrata, podszytego wprawdzie łotrem, ale należącego bądź co bądź do bandy. Podnieśli rannego wraz z Gilbertem, zamierzając wyprowadzić go z willi. Ale zaledwie uszli kilka kroków, Arsen zaklął z cicha.

— Zapóźno, idź do pioruna...

— Już idą...

— Nakryją nas — biadał Gilbert.

— Cicho bądź! — upomniał go Lupin. On sam miał twarz spokojną, niewzruszoną, jak ktoś, co ma dość na to czasu, by rozważyć dobrze, za i przeciw. Przechodził w tej chwili jeden z tych momentów, które zdaniem jego nadają właściwą wartość życiu. Zagrożony, przyciśnięty do muru, obmyślić musiał jakiś środek ratunku równie nagły jak skuteczny.

— Mam już! — zawołał wreszcie, uderzając się

w czoło, podczas gdy słyhać już było ciężkie kroki na schodach, a potem otwierane przemocą drzwi.

Podskoczył do okna, a otworzywszy je szeroko, oddał w powietrze dwa strzały, a potem zaczął wołać:

— Tędy! tędy! — Mam już tych zbójów, trzymam ich! — Ach śpieszcie się z pomocą, bo mi umkną!

Potem, nie namyślając się, skoczył do Gilberta, obalił go na ziemię i zaczął się z nim szamotać.

— Co to jest? — krzyknął chłopak, odurzony tą nagłą napaścią.

— To nic, broń się jak możesz, aby policja widziała, jak trudno mi cię pokonać. — Policja wchodziła już właśnie, a Lupin miał jeszcze czas szepnąć swemu młodemu współnikowi:

— Pójdziecie do więzienia, ty i Vaucheray. Niema innej rady! Ale się nie lękaj, wydostanę was z uła. Teraz za to graj dobrze komedję, udając, że mnie nie znasz.

— Rób idjoto, co ci każe! — syknął jeszcze Vaucheray, który zrozumiał już plan Arsena. — On nas wydobędzie z biedy, już nieraz tak bywało — rzekł.

Lupin przypomniał sobie nagle mały przedmiot, który Gilbert włożył do kieszeni, w tajemnicy przed nim.

— Oddajno mi wprawdzie ten drobiazg, który widziałem w twojem ręku — rozkazał Gilbertowi.

— Och nie! nie! — bronił się chłopak z niezwykłym uporem.

— W takim razie sam ci go wezmę — szepnął Arsen i przycisnąwszy go do ziemi, wydobył z kieszeni jakiś mały przedmiot, który wsunął szybko w rękaw.

Wchodząca policja zastała ich obu pasujących się z niezwykłą gwałtownością. Szamotanie to miało wszelkie pozory walki na śmierć i życie, toczonej przez dwóch zajadłych przeciwników.

— Na pomoc! hej pomocy! — nie przestawał wołać Arsen. Pośpieszono mu też z pomocą, i w ciągu

paru minut Gilbert został skrępowany, podczas gdy Arsen Lupin dzwignął się z podłogi, ocierając spoczone czoło.

— No! przyszlście panowie w samą porę — rzekł, zwracając się do komisarza policji. — Jeszcze chwilę, a ten młody smyk byłby mi umknął z rąk. Silny jest jak atleta cyrkowy.

— Czy to pan telefonowałeś do nas? — spytał grzecznie komisarz.

— O nie! Ja przybyłem tu razem z pańskimi agentami. Wchodziłem właśnie do biura w chwili, gdy doniesiono o napadzie na willę „Marja Teresa” i poszedłem na ochotnika.

— W jaki sposób uprzedziłeś pan nas tutaj?

— W bardzo prosty — panowie weszliście przez drzwi, ja zaś wskoczyłem przez okno, w samą porę właśnie, aby zatrzymać złoczyńców, którzy zabierali się do ucieczki.

— Czy znasz pan mieszkańców tej willi?

— Słyszałem tylko.

— Więc nie jesteś pan służącym pana Daubrecq'a?

— Ja służącym? — oburzył się Arsen. — Jestem obywatelem Paryża, szukającym tu jak inni wytchnienia na łonie przyrody. Ale skoro pan mówisz o służącym, to będzie nim zapewne ten biedak, którego ci łotrzy zamordowali.

— Zamordowali?

— Tak jest, panie komisarzu. Widziałem przez uchylone drzwi trupa człowieka, straszliwie zamordowanego. Leży tam w przyległym pokoju. Straszny doprawdy widok, nie mogę dotąd ochłonąć.

Na to wyznanie, wszyscy chcieli wejść do sąsiedniego pokoju, dla obejrzenia ofiary zbrodni. Komisarz oczywiście sprzeciwił się temu i udał się tam wraz z paru agentami, Arsen zaś udzielał pozostałym kilku jeszcze wiadomości o przebiegu swej walki z dwoma bandytami. Po niejakiem czasie oświadczył, że czuje się tak wzruszonym, iż musi wyjść na chwilę do

ogrodu dla odetchnienia świeżem nocnem powietrzem. Nikt się temu oczywiście nie sprzeciwił, tembardziej, że Lupin zapowiedział, iż powróci za parę minut, gdyż komisarz będzie go zapewne potrzebował. Rzeczywiście, komisarz, dokonawszy oględzin trupa, kazał zawezwać nieznanego pana, który się tak dzielnie przyczynił do ujęcia złoczyńców. Wołano go więc i szukano, ale nieznajomy ulotnił się gdzieś i nie ukazał się już wcale. Wreszcie policjant, stróżujący przy bramie, doniósł, że widział jakiegoś pana wsiadającego na łódkę i płynącego po jeziorze. Krótki okrzyk, który się wydarł na tę wiadomość z ust Gilberta, przekonał urzędnika, iż padł ofiarą mistyfikacji.

— Ścigajcie go, to współnik, a może i herszt bandy! Strzelajcie do niego...

Wszyscy pobiegli nad jezioro. O jakie sto kroków od brzegu, widać było sylwetkę nieznanego, wiosłującego z zapałem. Kilka strzałów padło nad wodą. Komisarz sam, nie namyślając się długo, kazał sobie podać łódź, do której wskoczył wraz z dwoma agentami. Łagodny powiew letni przyniósł do uszu urzędnika zwrotkę piosenki:

„Spiesz barko moja
Pogoda sprzyja” —

To Arsen śpiewał dźwięcznym tenorem, rozmarzony blaskiem księżyca.

— Drwi sobie z nas ten łotrzyk — oburzył się komisarz.

Pocieszała go myśl, że ściganemu nie uda się ująć pogoni. Nad brzegiem rozstawieni byli żołnierze, którzy mieli polecenie schwytania go w razie, gdyby chciał wylądować. On jednak nie miał widocznie tego zamiaru. Łódka krążyła po jeziorze, jakby siedzący w niej chciał poprostu użyć tylko przejażdżki. W pewnej chwili w ruchach wiosłującego dało się odczuć jakby znużenie. Łódka poruszała się coraz wolniej, tak że przestrzeń oddzielająca ją od łodzi komisarza zmniejszała się z każdą chwilą.

— Poddaj się! — wołał ze swej łodzi urzędnik, widząc, że uciekający, zdjęty widocznie zniechęceniem, odrzuca wiosło i siedzi spokojnie na ławeczce, zdawszy swe czołno na wolę wiatru.

— Poddaj się, bo każę strzelać!

Żadnej odpowiedzi. Nieznajomy siedział nieruchomo, a w nieruchomości tej było coś przerażającego. Przyszło na myśl komisarzowi, że złoczyńca knuje może jakiś dziwnie zdradziecki i niebezpieczny zamach.

— Strzelajcie! — rozkazał agentom. Wystrzelili też raz i drugi, ale spudłowali widocznie — bo nieznajomy nie drgnął nawet i siedział wciąż w tej samej pozycji. Z największymi więc ostrożnościami, leżąc prawie plackiem na dnie czołna, przybito wreszcie do niebezpiecznej łodzi, a wtedy dopiero zrozumiał komisarz przyczynę dziwnej obojętności zbiega.

W łodzi nie było nikogo.

Pakiet odzieży, związany naprędcie i uwieńczony kapeluszem, naśladował wcale dobrze zdaleka skuloną postać ludzką. Ona to wprowadziła w błąd ścigających, podczas gdy właściwy wróg wymknął się im zapewne już dawno, rzuciwszy się do jeziora, które przebył wpław. Zaniechano dalszych bezskutecznych poszukiwań, natomiast policja miała w ręku rzeczy zostawione przez zbiega w łodzi. Przejrzano je skrupulatnie, drobiazgowo, nie znajdując jednak niczego, najmniejszej nawet poszlaki, rzucającej światło na osobistość człowieka, który potrafił tak zręcznie wprowadzić w błąd stróżów sprawiedliwości. Jasnym było dla komisarza, że musiał to być nie nowicjusz, ani też pospolity opryszek, lecz człowiek z wyższą inteligencją i sporem doświadczeniem. Dlatego to zapewne, nawet w tak nagłych okolicznościach nie zapomniał o zachowaniu wszelkich ostrożności. Podszewka kapelusza była wydartą dla zatajenia firmy sklepu i fabryki. Kieszenie płaszcza były zupełnie puste.

Naraz okrzyk triumfu wybiegł z ust urzędnika. Pośród wierzchem a podszewską paltota wyczuł pal-

cami mały twardy przedmiot, a przeciąwszy scyzorykiem podszewkę, wydobyl go natychmiast. Była to karta wizytowa, na której wydrukowane były dwa tylko słowa: „Arsen Lupin.” Karty takie zostawiał niekiedy Lupin z własnej woli, gdy udało mu się w ten lub inny sposób zadzwonić z policji. Ale dziś dostała się ona w jej ręce całkiem przypadkowo. Odkrycie to miało zaciążyć fatalnie na losie ujętych. Otoczono ich stokroć ściślejszą strażą, niż innych przestępców, wiadano bowiem, że herszt ich dołoży wszelkich starań, aby ich uwolnić.

Herszt tymczasem dostał się szczęśliwie do samochodu, który oczekiwał na niego po drugiej stronie jeziora, naładowany przedmiotami zrabowanymi w willi Marji Teresy. Szofer puścił w pełny bieg ekwipaż, który po upływie pół godziny znalazł się w Neuilly, obok składnicy, uależącej do Arsena Lupin. Ludzie jego zajęli się wyładowaniem cennych zbiorów pośła Daubrecqua, z których nie uroniono ani jednego okazu, sam zaś Lupin, przebrawszy się, wsiadł na pociąg i odjechał do Paryża, gdzie zajmował przy ulicy św. Filipa cały parter w małej kamieniczce.

Zaciszne mieszkanko nie było znanem nawet członkom jego bandy, prócz jednego tylko Gilberta. Kładąc się spać, przypominał sobie Lupin mały przedmiot, który wydarł z rąk Gilberta w willi „Marji Teresy.” Trzymał go z początku w rękawie, następnie uciekając już, wsunął go do małego woreczka, który zawsze nosił na piersiach pod koszulą. Nie miał oczywiście dotąd czasu przypatrzeć mu się należycie i ocenić jego ważności — teraz dopiero ujął go dwoma palcami i oglądał pod światło. Nie zdziwił się, bo człowiek jego pokroju nie dziwił się niczemu, ale musiał przyznać, że narazie nie wie i nie domyśla się wcale, dlaczego jego współnicy przywiązywali tak wielką wagę do tej drobnostki. Był to korek kryształowy, korek ze złoceniami na spojeniach, jakiego się używa do karefek z likierami. I dla tego to kawałek kryształu Gil-

bert i Vaucheray stoczyli z sobą tak zacieklą walkę, dla niego jedynie zorganizowali wyprawę na wille Daubrecqua, bo Lupin nie wątpił teraz, że tylko z powodu korka kryształowego wciągnięty został w całą tę historję. Ale dlaczego ukrywali się przed nim? Gilbert zwłaszcza. Dlaczego nie objaśnili go o znaczeniu tej zagadki ze szkła? Postanowił napisać do Gilberta, pytając go w ostrożnej oczywiście formie o tajemnicę kryształowego korka. Narazie jednak nie pozostawało mu nic innego, jak ułożyć się spokojnie do snu. Upadał poprostu ze znużenia. Wsunął więc znów zagadkowy korek do płóciennej torebki i usnął twardym snem.

Gdy zbudził się nazajutrz, czuł, że ma głowę trochę ciężką. Podniósł się z trudem a nozdrza jego wyczuły charakterystyczną woń niewinnego zresztą narkotyku, którego sam używał niekiedy do uspienia innych. Nie udało mu się zebrać myśli, ale, gdy machinalnie położył rękę na piersiach, przypomniał sobie kryształowy korek. Nie było go w jego płóciennym woreczku. Ktoś wszedł tu w czasie jego snu i to ktoś wtajemniczony, skoro znał mieszkanie jego i zdołał się tu dostać w nocy. Ktoś nie będący jego wrogiem, bo nie uczynił mu nic złego, ale uspiwszy go lekkim narkotykiem, zabrał mu kryształowy korek.

ROZDZIAŁ II.

DZIEWIEĆ MNIEJ OŚM JEST JEDEN.

Po tem wszystkiem Arsen czuł się upokorzonym, a przytem wyczuwał niejasno bezpośrednie niebezpieczeństwo. Dotąd popełniając śmiałe i dowcipne zamachy, umiał zawsze w ostatniej chwili zjednać sobie sympatję publiczności, zwłaszcza tej co lubi się śmiać i przebaczać wiele, byleby kawał był dowcipny i dobrze udany. Ale teraz ta krew, którą przelał Vaucheray,

stawiała pomiędzy nim, Arsenem Lupin a licznymi jego zwolennikami. Nie on wprawdzie popełnił morderstwo, ale mimo to ohyda spełnionego czynu spadała na niego. Poznał to odrazu ze sposobu, w jaki pisały gazety o wczorajszym rabunku. Drugim niepokojącym faktem, było wtargnięcie nieznaney jakiejś tajemniczej osobistości do jego najskrytszego schronienia, jakim było małe mieszkanko przy ulicy św. Filipa. Tylko Gilbert mógł zdradzić komuś jego adres. Nie sądził, aby go zdradził przed policją, chłopak był na to za uczciwy. Ale miał widocznie kogoś, z kim zniósł się już po uwięzieniu, kogoś bliskiego, zaufanego i który równie jak on, przykładął ogromną wagę do posiadania kryształowego korka.

Opuścił też Lupin bez namysłu mieszkanie swe przy ulicy św. Filipa, przyrzekając sobie uroczyście, że tam już nigdy nie wróci — i przeniósł się do innej dzielnicy, gdzie miał własny ładny hotelik, zarządzany pod cudzem nazwiskiem. Tu mógł się czuć zupełnie bezpiecznym i zastanowić się lepiej nad położeniem.

— Trzeba przedewszystkiem znaleźć punkt wyjścia — rzekł do siebie. — Skoro ten będzie trafnie obrany — dalsze wnioskowanie pójdzie już samo przez się. A więc, kto był pierwszym właścicielem kryształowego korka? Poseł Daubrecq, człowiek bogaty, wpływowy, lecz powszechnie znienawidzony. On przedewszystkiem znać musi przyczyny, które nadają taką wartość kryształowemu talizmanowi. Rzecz oczywista, że korek sam przez się nic nie znaczy. Ale musi to być symbol, godło, klucz, służący do rozwiązania jakiejś zagadki.

Tegoż jeszcze dnia Arsen Lupin przybrał na siebie postać starego emeryta. Ustroiłszy twarz w siwe faworyty i zmieniawszy ją ze zwykłym swem mistrzostwem, wziął do ręki grubą laskę z ciężką złoconą gałką, okręcił szyję jedwabnym szalikiem i rozpoczął systematyczną przechadzkę, która przyprowadziła go dwa razy w ciągu dnia w okolice willi, zajmowanej

przez posta. Willa ta stała przy alei, wysadzonej drzewami, gdzie Lupin spoczął parę razy na ławce — wprost naprzeciw mieszkania Daubrecqua.

Pierwszym razem nie zauważył nic szczególnego, widział tylko posta, wychodzącego z domu i mógł się mu dokładnie przypatrzeć. Był to człowiek liczący na oko około 45 lat, średniego wzrostu, ale krępy i atletycznej budowy. Zauważył odrazu Lupin energiczną głowę, osadzoną na grubym karku i olbrzymie muskularne pięści, wtłoczone z trudem w glansowane rękawiczki. Krótki, rudawy zarost, nie łagodził bynajmniej wrażenia, jakie wywierał rysunek dolnej szczęki, szerokiej i trochę naprzód wysuniętej, co znamionuje, jak wiadomo, upartą wolę i silną przewagę zmysłowych instynktów.

Ubranie pana posta pochodziło od najlepszego krawca, a spinka zatknięta w krawacie oszacowaną być mogła na kilkadziesiąt tysięcy franków.

— Ten człowiek lubi dobrze żyć i ma na to dość zdrowia i pieniędzy — zauważył w duchu Lupin, po tych pierwszych oględzinach. — Muszę jednak poznać się bliżej z jego życiem.

Sposobność ta nastroczyła mu się niebawem. Już za drugą swą bytnością przed willą Daubrecq'a zauważył, że nie on jeden śledzi jego kroki. Dwóch agentów policyjnych chodziło krok w krok za panem posłem. Byli oni oczywiście ucharakteryzowani na zwykłych przechodniów i nikt inny, prócz Arsena Lupina, nie zauważyłby właściwej ich roli.

— Ho, ho! — pomyślał — zatem pan poseł uchodzi w oczach władz za osobę potrzebującą opieki. — Ale dalsze badania dowiodły mu, że policja nie zajmowała wobec Daubrecqua stanowiska opiekuńczego, lecz przeciwnie, śledziła go wbrew jego woli i zapewne mimo jego wiedzy.

W trzy dni po rabunku willi w Enghien pan poseł przekroczył próg swego paryskiego mieszkania o godzinie siódmej wieczorem.

Lupin jak zwykle znajdował się na stanowisku. Jakież było jego zdziwienie, gdy wśród agentów, okrążających willę Daubrecq'a, poznał ni mniej ni więcej, tylko samego dyrektora policji pana Maurycego Prasville. Cekał on widocznie na odejście Daubrecq'a, paląc papierosa jak zwykły przechodzień, zaledwie jednak Daubrecq znikł na zakręcie ulicy, Prasville wstał szybko z ławki i zbliżył się do czekających na niego agentów. Na jego wszechwładny rozkaz uchyliła się żelazna krata, oddzielająca dom Daubrecq'a od ulicy. Arsen Lupin rozumiał wybornie, co to znaczyło.

— Tajna rewizja w mieszkaniu pana pośła — szepnął do siebie — a gdybym i ja wziął w niej udział? — Bez chwili wahania przystąpił do drzwi jeszcze niezamkniętych, przy których czuwał stróż domu.

— Ci panowie już są? — rzucił pytanie tonem człowieka, na którego czekają.

— Tak jest, są właśnie w gabinecie pana pośła — odpowiedział stróż. Był to widocznie człowiek oddany policji. Lupin wszedł do domu pewnym krokiem. W razie gdyby go zapytano po co tu przybył, zamierzał przedstawić się jako jeden z dostawców pana pośła.

Nie przyszło jednak do tego. Lupin przeszedł bez przeszkody pustą sień i salę jadalną, poczem znalazł się w ciemnym, długim korytarzu. Wtedy posłyszał szmery głosów, wychodzące z pokoju, z którego oszklone do połowy drzwi, wychodziły na ów korytarz. Przycisnąwszy się do ściany, wprost naprzeciw tych drzwi, mógł wybornie śledzić wszystko co się działo w gabinecie Daubrecqua, w którym zapalono już światło. Zobaczył więc duże biurko zarzucone papierami, a pod ścianami szafy pełne książek. Dyrektor policji stał pośrodku i kierował ruchami swoich podwładnych, jak kapelmistrz dyrygujący orkiestrą. Agenci zdejmowali z półek po jednej książce i wytrząsali je starannie, w nadziei, że coś z nich wypadnie.

— Szukają widocznie jakiegoś papieru — pomyślał Lupin. Po chwili usłyszał zniechęcony głos Maurycego Prasvillea:

— Wszystko to na próżno — nie znajdziemy. — Poszukiwania trwały dalej. Poruszano każdy przedmiot, stojący na biurku, uważając jednak pilnie, aby go znów postawić na dawnym miejscu. Nagle Prasville zauważył stojącą na małym stoliku karafkę z wodą. Porwał ją szybko, a raczej wyjął z niej korek szklany i przypatrywał się mu długo pod światło.

— Cóż to! — pomyślał Lupin — i ten jak widzę szuka korka. Ale Prasville wsunął korek napowrót do flaszki i czuwał dalej nad robotą swych agentów. Trwało to dobrą godzinę. Dopiero około dziewiątej wieczór wszedł do gabinetu człowiek, w którym Lupin poznał agenta śledzącego zazwyczaj Daubrecq'a.

— Powraca już — oznajmił półgłosem.

— Pieszo? czy dorózką? — spytał Prasville.

— Pieszo.

— W takim razie nie potrzebujemy się śpieszyć. Zwolna, spokojnie, poustawiali posuwane przedmioty i wyszli z gabinetu przez salę jadalną bezpośrednio z nim złączoną.

Lupin pozostał sam.

Nie mógł wyjść razem z agentami, bo poznaliby niezawodnie, że nie jest jednym z nich. Słysząc już było zgrzyt klucza obracanego w zamku. — To Daubrecq otwierał drzwi wchodowe — Lupin, który słyszał poprzednio w czasie rozmowy agentów, że Daubrecq wyszedł dla zjedzenia obiadu w restauracji, wywnioskował stąd, że nie wejdzie do sali jadalnej, sam więc postanowił ukryć się za pluszową portjerą, przysłaniającą drzwi od gabinetu. Daubrecq wszedł istotnie przez korytarz i usiadł przy biurku, odkręciwszy poprzednio elektryczne światło. Wtedy dopiero Lupin miał sposobność przypatrzeć mu się lepiej. Człowiek ten miał uderzającą budowę czaszki. Czoło jego było dziwnie poryte i pokryte guzami. Nie

było to z pewnością czoło zwyczajnego człowieka. Daubrecq wydobyl z kieszeni piankową fajkę, napchał ją tytoniem, który wyjął z zaklejonej paczki, stojącej na biurku. Siedział tak czas jakiś otoczony kłębam dymu, a potem zadzwonił. We drzwiach ukazała się kobieta, czysto ubrana, zapewne służąca, prowadząca gospodarstwo pana pośła, który nie był żonatym. Czekala w milczeniu na rozkazy swego pana.

— Klementyno — spytał poseł — czy to ty wpuściłaś tych ludzi?

Kobieta zawahała się z odpowiedzią.

— Nie baw się tylko w kłamstwa — rzekł surowo — wiem przecie dobrze, że tak ty, jak twój mąż jesteście nasłani przez policję, ale przecie i ja wam płacę.

— Wpuścił ich tu mój mąż — rzekła wtedy Klementyna.

— A wielu ich było?

— Najpierw pięciu, potem jeszcze jeden, a potem jeszcze trzech.

Daubrecq liczył na palcach.

— $5 + 1 + 3$ — to czyni razem 9.

— A czy byli ci sami, co zwykle?

— Nie, jeden był inny, a także ten, który im rozkazywał.

— A jakże wyglądał ten, który im rozkazywał?

— Wysoki, brunet z dużemi wąsami.

— Prasville — zaśmiał się Daubrecq — zatem sam pan dyrektor raczył się trudzić.

Zamyślił się, a potem wzięwszy ćwiartkę białego papieru, nakreślił na niej 3 cyfry.

$8 - 9 = 1$.

— Klementyno! — rzekł nagle Daubrecq. — Wszak chodziłaś do szkoły będąc dzieckiem.

— A jakże proszę pana.

— A uczyli was rachunków?

— Uczyli proszę pana.

— Mimo to nie umiesz rachować.

— Przecie wyliczam się zawsze co do grosza z pieniędzy, danych na kupno.

— Tak, ale nie jesteś widocznie biegłą w odejmowaniu, skoro nie wiesz, że osiem od dziewięciu czyni jeden.

Kobieta stała z otwartemi szeroko oczyma, nie rozumiejąc, do czego jej pan zmierza.

Daubrecq tymczasem powstał z miejsca i chodził po pokoju, założywszy ręce w tył.

— Panie dziewiātu — rzekł nagle, stając przed portjerą, za którą był ukryty Lupin — wychodź pan proszę, abym mógł dać swej gospodyni praktyczną lekcję rachunków.

Lupin widząc się odkrytym, rozsunął firanki i stanął przed obliczem pana pośła. Nie wiedział jeszcze, jak się to skończy, ale Daubrecq imponował mu swoją flegmą.

— Wszak mówiłaś sama — mówił dalej Daubrecq do swej służącej — że było tu dziewięciu ludzi, jakże więc mogłaś nie zauważyć, że wyszło ich tylko ośmiu, skoro ja, który widziałem ich tylko zdaleka, sprawdziłem ten fakt.

— Przysięgam panu — broniła się Klementyna — że to nie ja go tu ukryłam, nie wiedziałam wcale, że tu został.

— Mniejsza z tem, choć co prawda nie wiem, za co ten pocziwy Prasville opłaca was, ciebie i twego męża.

— A panu musiało tam być duszno? — dodał, zwracając się do Lupina.

— Cokolwiek panie pośle, ale skoro mię pan uwolnił, mam zaszczyt pożegnać.

— A nie, zaczekaj pan jeszcze, panie dziewiātu — zanieś odemnie kartkę twojemu panu Maurycemu Prasville. — Lupin był wprawdzie zadowolony, że Daubrecq wziął go za jednego z agentów policyjnych, ale jednocześnie drażnił go lekceważący i drwiący ton, jakim do niego przemawiał.

Nie nawykł do tego, by sam miał być celem pośmiewiska. To też wrzał w duchu stłumiony, a gniewem. Daubrecq nakreślił tymczasem parę słów, które wsunął do koperty — adresując: *Do czcigodnego Maurycego Prasville* — dyrektora policji paryskiej.

— Tak więc kochanku — dodał zwracając się do Arsena — zawieziesz ten list temu pocziwemu Prasville — ciebie zaś upoważniam chętnie do bywania w moim domu. Odprowadź go Klementyno, a gdy tu kiedy przyjdzie, przyjąć go możesz z otwartemi rękoma.

Arsenowi nie pozostało nic innego, jak pójść za otrzymanym rozkazem, było to i tak aż nadto szczęśliwe zakończenie tych ryzykownych odwiedzin. W dodatku miał w ręku list, który rozjaśni mu może tajemniczy stosunek zachodzący pomiędzy posłem Daubrecqem a sprawą kryształowego korka. Tajemnica ta zaciekawiała go coraz bardziej — a przytem zaczynał już troszczyć się o Gilberta, który siedział w więzieniu pod zarzutem morderstwa, którego nie popełnił. Po drodze streszczał Lupin w myśli odniesione wrażenia.

— Ten Daubrecq to szczwany lis, kuty na cztery nogi, a przytem nieprzyjemna fizjognomja. I pomyśleć, że traktował mnie tak zgóry. No! ale odpłacę mu to przy pierwszej sposobności. — Przybiegłszy do domu, Lupin rozerwał drżącą ręką kopertę, zawierającą liścik Daubrecq'a do dyrektora policji. List ten brzmiał jak następuje:

Mój dobry Prasville!

„Miałeś ją pod ręką. Tak, tak, dotykałeś jej prawie. Odrobinę sprytu, a byłbyś ją miał. Ale ty — i spryt — mój Boże! Jakże nisko upadła Francja, skoro taki jak ty... No ale dość tego, do zobaczenia kochanku. Gdybym cię kiedy zastał przy tej robocie, nie weźmiesz mi chyba za złe, że potraktuję cię jak zwykłego włamywacza”.

Zuchwały ten list nie doszedł wprawdzie rąk dyrektora policji, dla którego był przeznaczony, ale Lupin spodziewał się wyciągnąć z niego nieopisane korzyści. Zastanawiał się nad poszczególnymi jego zdaniem, zestawiał je i porównywał: „Miałeś ją pod ręką” — pisał Daubrecq — zatem nie mógł mieć na myśli kryształowego korka, bo w takim razie powiedziałby zapewne: „Miałeś go pod ręką.” A może był to tylko wybieg z jego strony. Ale przedewszystkiem, dlaczego Daubrecq, dlaczego ten poseł wpływowy, który trzęsie Francją, jest przedmiotem tak czułej opieki ze strony policji? Czego szukają u niego z taką zjadłością?

Co ukrywa? czego jest panem? — jaką tajemnicę posiada i dlaczego władze, mając go za człowieka niebezpiecznego, nie każą go poprostu aresztować? Na te wszystkie pytania nie znalazł narazie żadnej odpowiedzi, a tymczasem w domu czekała go nowa niespodzianka. Zamieszkał on teraz przez ostrożność w najlepszym, najpewniejszym swoim schronieniu — to jest w mieszkaniu położonem przy ulicy Chateaubrianda, tuż obok Łuku triumfalnego.

Tu założył sobie rodzaj biura telefonicznego, w którym zbiegały się wiadomości różnych jego współników, których posiadał we wszystkich sferach towarzyskich.

Trzymał tu zaufanego służącego imieniem Achilles, którego obowiązkiem było przyjmowanie wiadomości telefonicznych, a także listów, nadchodzących zresztą bardzo rzadko, bo ułożonem było, że adres ten używanym będzie tylko dla spraw największej wagi. Odwiedzin nie przyjmował tu Arsen prawie żadnych, to też zdziwił się niemało, gdy Achilles oznajmił mu już na progu, że czeka na niego jakaś kobieta.

— Czy znasz ją? — zapytał swego służącego.

— Nie wiem.

— Jakto nie wiesz?



— Miała twarz starannie zasłoniętą w chwili, gdy tu weszła.

— I siedzi w salonie?

— Tak jest.

— Mogłeś się jej więc przypatrzeć — a właściwie dla czego ją tu wpuściłeś?

— Bo pytała o pana Michała Beaumont.

Było to nazwisko, pod którem Lupin znanym był paryskim swym współnikom. Zatem kobieta ta chciała go widzieć. Przed wejściem do salonu Arsen zatrzymał się chwilę, a serce zabiło mu mocniej. Kim jest owa kobieta i jak wygląda? Czy jest młodą i piękną? Czy szuka jego opieki? Zdarzało się już nieraz, że Arsen stawał się wybawcą pięknych, a choćby tylko miłych kobiet, prześladowanych przez los. Chwilowo nie miał nawiązanej żadnej tego rodzaju intrygi, a był zawsze słabym wobec płci pięknej.

Zapomniał też na chwilę o pośle Daubrecq i jego kryształowym korku i uśmiechał się, podkrecając zalotnie węża. Ale za chwilę już powrócił do przedpokoju mocno rozczarowany.

— Tam niema nikogo — rzucił gniewnie. — Cóżes mi to napłótn o jakiejś kobiecie. — Słyszac to, Achilles, pobiegł co żywo do salonu. Nie było tam w samej rzeczy nikogo.

— A przecież widziałem ją przed paru minutami, jak pana tu widzę — biadał Achilles. Był tak szczerze zafrasowany, że trudno go było posadzać o kłamstwo, a zresztą, gdyby był współnikiem tajemniczej kobiety, mógł poprostu zataić jej wizytę przed Arsenem.

Niemniej Lupin zmył głowę swojemu służącemu.

— I gdzieżeś był trutniu w czasie, gdy ta osoba przebywała w salonie?

— Tu w przedpokoju, nie ruszyłem się ani na chwilę. Musiałbym ją widzieć wychodzącą.

Mieszkanie miało jedno tylko wyjście przez korytarz.

— A jednak musiała wyjść, skoro jej tu niema —

mruknął Lupin. On przecie wiedział lepiej, niż kto inny, że w najtrudniejszym położeniu przedsiębiorczy człowiek znajdzie zawsze jakiś sposób utorowania sobie drogi do odwrotu.

— Znudziła się widocznie oczekiwaniem i wyszła; ale którądy? — powtarzał Achilles.

— Raczej zapytać siebie trzeba, poco tu weszła — odrzekł na to Lupin. Odpowiedź na to pytanie znaleźć miał niebawem. Przyglądał się dokoła, chcąc się przekonać, czy nic mu nie zginęło. Wszystko leżało na zwykłym miejscu, a zresztą nie było tu żadnego kosztownego przedmiotu, żadnego dokumentu, nic zgoła, coby mogło obudzić czyjąbądź chciwość. Czemże więc wytłómaczyć to zagadkowe zniknięcie?

— Czy miałeś dziś telefon? — spytał wkońcu Lupin swego służącego.

— Nie panie, nikt nie telefonował.

— A listy?

— Był jeden, przyniesiony wieczorną pocztą.

— Daj mi go.

— Położyłem go jak zawsze na kominku w pańskim gabinecie. Lupin wydobył z kieszeni klucz od gabinetu, który nosił zawsze przy sobie, podczas gdy drugi znajdował się w kieszeni Achillesa. Drzwi zamknięte były na spust podwójny, przekręcił więc klucz w zamku i zaświecił elektryczne światło. Podeszedł prosto do kominka, ale listu nie znalazł. Zawołał wtedy służącego, powściągając z trudnością gniew.

— Niema tu wcale listu.

— Chyba go pan niedokładnie szukał.

— Niema go mówię ci. — Szukali więc obaj, poruszając i odstawiając każdy z osobna przedmiot, ale listu nie było nigdzie, znikł bez śladu. Achilles klął zcicha, drżąc jednocześnie przed gniewem swego pana.

— To ona go zabrała — mruczał przez zęby — ukradła list i uciekła z nim.

— Kto, ta kobieta?

— A któżby inny.

— Oszalałeś chyba. Wszak mówiłeś mi sam, że kobieta nie ruszała się z salonu i żeś ją miał wciąż na oku. Klucz miałeś jak sądzę przy sobie. Salon niema żadnego połączenia z moim gabinetem. W jakiż więc sposób owa kobieta dostać się mogła do przyległego pokoju?

— Może przez okno — zauważył Achilles.

— Jakto? Po gzymsie, jest więc chyba zawodową akrobatką. Ależ w takim razie ćwiczenia jej zwróciłyby uwagę licznych gapiów. A więc jest lekkim, nieważkim duchem, który przenika przez ściany — dodał gorzko Lupin.

W każdym razie fakt był faktem i należało się z nim liczyć. Nieznana kobieta weszła do domu jawnie, a znikła z niego cicho i niepostrzeżenie jak duch, celem zaś jej wizyty było widocznie zabranie owego listu, który zniknął w sposób równie jak ona tajemniczy. Arsen musiał użyć całej siły woli, aby nie wybuchnąć potokiem złorzeczeń. Silił się na spokój i próbował wybadać swego służącego.

— W każdym razie ty sam otrzymałeś list z rąk listonosza?

— Tak jest.

— A przypatrzyłeś mu się dokładnie?

— Tak.

— Adresowany był do mnie?

— Ależ tak. Do pana Beaumont Michała.

— Jak powiedziałeś?

— Do pana Beaumont Michała.

— A więc na kopercie wypisane było najpierw nazwisko a potem imię.

Arsen wiedział już co to znaczy.

List musiał być od Gilberta. Nikt inny nie adresował do niego w podobny sposób. List był z więzienia, a zawierać musiał odpowiedź na zapytanie Arsena o kryształowy korek.

Dlatego to zapewne nieznana kobieta wykradła

go, bo list ten odsłoniłby może Arsenowi tajemnicę kryształowego korka. Kim więc była? Czy działała na własną rękę? Czy też użytą została jako pośredniczka?... Lupin skłonny był mniemać, że przysłał ją tu sam Daubrecq, że wiązały ich z sobą zagadkowe jakieś węzły. Ale jakim sposobem zdołali już po raz drugi odkryć jego kryjówkę, bo nie ulegało wątpliwości w jego oczach, że kobieta, która zabrała mu dziś list, i oscba, która nawiedziła go w dniu ujęcia Gilberta i Vaucheray'a, były jedną i tą samą osobistością. Zestawienie to przywiodło mu na pamięć uwiezionych współników. Tydzień już upłynął od ich ujęcia, a on nie zrobił dotąd nic dla przywrócenia im wolności.

Pochłonięty pragnieniem rozwiązania zagadki kryształowego korka, zaniedbał cokolwiek sprawę towarzyszy.

A jednak miał już sposobność przekonać się, że strzeżeni są z niezwykłą surowością. Z największym tylko trudem udało mu się przesłać Gilbertowi parę słów w sprawie kryształowego korka, w bułce, umyślnie upieczonej, którą zaniósł mu jeden ze strażników, zachęcony do tego książęcym datkiem. List, który zginał przed chwilą, musiał być odpowiedzią na ową kartkę.

Arsen stał więc przed całym szeregiem zagadnień, które zaostrzały do najwyższego stopnia jego ciekawość.

— Kobieta! — powiedział sobie wreszcie. — W tej całej sprawie musi tkwić na dnie jakaś historia kobieca. Trzymajmy się starej dewizy francuskiej i szukajmy kobiety.

Z tem postanowieniem ułożył sobie nowy plan działania.

KOBIETA O STAŁOWYCH OCZACH.

W parę dni potem, Klementyna, pełniąca jak wiadomo czynności gospodyni domu posła Daubrecq'a, oświadczyła swemu panu, że zmuszona jest wydalić się na jakiś czas do swej rodziny, mieszkającej na prowincji.

— Nie pomyślałaś, moja dobra Klementyno, w jaki kłopot wprawi odejście twoje mego dostojnego przyjaciela, Maurycego Prasville — spytał Daubrecq.

— Ha, cóż robić! — odparła dobroduszenie kobieta. — Wielmożny pan usprawiedliwi mnie jakoś przed panem dyrektorem.

— Nie wpierw, aż znajdziesz mi w swoim zastępstwie osobę niemniej od ciebie godną zaufania.

— Pomyślałam już o tem i jeśli wielmożny pan niema nic przeciw temu, ta kobieta zgłosi się dziś jeszcze.

— I owszem, możesz mi ją przysłać.

— Jest to osoba bardzo pewna i zna się wybornie na kuchni. Służyła w najpierwszych domach i ma doskonałe świadectwa.

— Słowem zbiór wszelkich doskonałości. Pilno mi wejść w posiadanie tego skarbu. — Deputowany Daubrecq nie wątpił ani na chwilę, że oddalenie się Klementyny jest nowym wybiegiem policji, która chce mu przydać nowego stróża jego czynności, w osobie tej zachwalonej kucharki.

Czuł się jednak dość pewnym siebie, by poddać się i tej nowej próbie. To też w parę dni potem nowa kucharka zainstalowaną już była w jego domu. Była to osoba niemłoda, ale pełna jeszcze sił, o pocziwej sympatycznej twarzy. Czysto ubrana, w białym fartuszkui śnieżnym czepeczku, spoczywającym na siwiejących włosach, stanowiła skończony typ staro-

świeckiej służącej zamożnego domu i posiadała wszystkie jej zalety.

Przyniósłszy kuferek swój, zabrała się niezwłocznie do uporządkowania mieszkania, dozoruując z widoczną wprawą i doświadczeniem młodego chłopca, który wraz z nią stanowić miał cały personal służbowy tajemniczego posła.

Daubrecq mógłby sobie wprowadzić pozwolić na liczniejszą służbę, ale czując się szpiegowanym, wolał ograniczyć ilość swoich domowników i jadał najczęściej w klubie.

Tym razem jednak pan poseł omylił się o tyle, że nie policzył to, lecz Arsen Lupin dostarczył mu tej wyjątkowej służącej. Była nią dawna piastunka jego, poczciwa Wiktorja, którą czytelnicy pamiętają zapewne z poprzednich przygód Arsena.

Prosta rzecz, że wskutek jej obecności, Lupin uzyskać mógł łatwo wstęp do prywatnych apartamentów pana posła. Nie nadużywał jednak tego przywileju, owszem, nauczony poprzedniemi doświadczeniami, trzymał się zdaleka i przez pierwszych dni kilka nie ukazywał się wcale w okolicach willi Daubrecq'a.

Wreszcie pewnego dnia, upewniwszy się wcześniej, że posiedzenie w izbie deputowanych przeciągnie się do późna w nocy, zapukał ostrożnie do bramy. Wiktorja, która uprzedzona była o jego przyjściu, otworzyła mu natychmiast i zaprowadziła go do swej izdebki. Skoro zostali tam we dwoje, poczciwa kobieta zaczęła lamentować.

— I poco to wszystko? — mówiła. — Mógłbyś już dawno żyć sobie wygodnie jak prawdziwy magnat, a ty musisz się zawsze wplątać w jakąś niebezpieczną awanturę. I poco zaprzątasz sobie głowę tym jakimś korkiem? Co ci zależy na marnym kawałku szkła? Poco zwłaszcza kazałeś mi znów iść na służbę, skoro na stare lata należałby mi się spokój?

— Cóż chcesz, moja dobra Wiktorjo. W całym Paryżu, ba! w całej Francji nie znalazłbym kobiety

twego stanu, któraby wyglądała równie zacie, szanownie, uczciwie, tak była ochędonna, pracowita, bez zarzutu, jak ty. Jesteś perłą w swoim rodzaju moja Wiktorjo, i gdyby twój terażniejszy pan znał się trochę na tem, jak powinna wyglądać służba w przyzwoitym domu, byłby z ciebie dumny. Ale to musi być dziki człowiek, nieprawdaż?

— Tego nie powiem, owszem, grzeczny z niego pan, tylko zadaje mi czasem takie dziwne pytania.

— O cóż się pyta?

— Ile dostaję od pana Maurycego Prasville; czy nie był tu w ostatnich dniach? Czy nie wpuszczałam kogo w nocy? Widzisz, on wie już z góry o twojej dzisiejszej wizycie.

— To nic, powiesz mu, żem szukał znów i żem nie znalazł.

— Czego? Czy chodzi o ten utrapiony korek?

— Tak jest.

— I na co ci, pytam, na co ci taki oto drobiazg. Wstyd nawet, aby człowiek w twoim wieku, z twoją sławą, zajmował się podobnemi fatalaszkami.

Lupin ujął za rękę swoją piastunkę i rzekł tonem uroczystym:

— Pytasz mnie, na co mi kryształowy korek, a czy wiesz, że jeśli go nie odzyskam, Gilbert, nasz ukochany Gilbert (bo i ty przywiązana jesteś do niego) zapłacić może głową, nierozważny swój napad na wilę Marji Teresy. Tak jest, Gilbert i Vaucheray są już bardzo bliscy gilotyny.

— Mniejsza o Vaucheray'a, ale Gilbert, taki dobry, pocziwy chłopak, a przytem delikatny jak pańskie dziecko. Nie dasz mu przecie zginać. Takie biedactwo, muchyby to nie zabiło.

— A przecie siedzi pod zarzutem morderstwa. Vaucheray rzuca na niego całą odpowiedzialność za zabójstwo Leonarda, a że w dodatku nóż, który znaleziono obok zabitego, należał do Gilberta, wszystkie

pozory świadczą przeciw chłopakowi. Czytałaś przecie gazety.

— Ach tak, wszędzie tam są ich portrety, a przytem co na ciebie wypisują, miły Boże.

— Nie bój się Wiktorjo, to się zmieni. Arsen Lupin przekona jeszcze Francję, że nie ma powodu wstydić się za niego.

Na tem skończyła się ich rozmowa. Tegoż dnia o północy Daubrecq powrócił do domu. Arsen czuwał oczywiście, zajmwszy stanowisko przy oknie, a gdy się wszystko uciszyło, wyszedł na mały balkonik, położony obok mieszkania służby. Siedział tam pogrążony w myślach, nie pozwalając sobie nawet na zapalenie papierosa. Noc była bardzo ciemna, ale wiadomo, że człowiek przebywający długo w ciemności, oswaja się z nią wkońcu i odróżnia przedmioty prawie tak dobrze jak w dzień. Tak się też stało i z Arsenem.

Nie wiedział, czego się właściwie ma spodziewać, ale przecucie, a może więcej jeszcze doświadczenie, kazało mu przypuszczać, że człowiek tego pokroju co Daubrecq, musi prowadzić życie podwójne.

W dzień uczęszczał do parlamentu, przebywał w klubie, wyjeżdżał na wyścigi, lub zabawiał się sportem; słowem prowadził życie podobne do wielu innych ludzi, zajmujących takie jak on stanowisko.

Ale noc ukrywać mogła zagadki, wymykające się z pod kontroli zwykłego obserwatora. Jedną z takich zagadek spodziewał się Arsen rozwiązać i przecucie go nie zawiodło.

Około godziny drugiej, gdy zziębnięty zamierzał już powrócić do izdebki Wiktorji dla ogrzania się, usłyszał kroki na piasku ogrodowej alei i zobaczył ciemno ubranego człowieka, zdążającego ku bramie. Był to Daubrecq. Pan poseł otworzył sobie kratę własnym kluczem i znikł w ciemnościach.

Arsen postanowił czekać na jego powrót. Oczekiwanie to nie trwało długo. Pan poseł powrócił po

upływie godziny i to nie sam. Towarzyszyła mu osoba, otulona od stóp do głów długim płaszczem z podniesionym kołnierzem, jednym z tych szerokich płaszczów, które moda ówczesna pozwalała nosić zarówno mężczyznom jak i kobietom. To też Arsen nie mógł narazie orzec, do jakiej płci zaliczyć należy tego nocnego gościa. Widział tylko, że obaj z Daubrecq'em weszli do domu.

Bez namysłu, spuścił się na dół zapomocą drabinki sznurowej, którą nosił zawsze przy sobie.

Spojrzał w okna willi. Były wszystkie zasłonięte okiennicami, ale przez małą szczelinę w jednej z nich sączyła się wąska smuga światła. Było to okno od gabinetu Daubrecq'a, tego właśnie, który był terenem tak szczegółowych poszukiwań policji. Cicho, jak kot, podsunął się Arsen pod okno i przyłożył oko do szpary.

Przekonał się natychmiast, że osoba, którą przyszła z Daubrecq'em, była kobietą. Stała wprost naprzeciw okna, przedzielona od pana pośłą całą szerokością stołu. Arsen widział wybornie jej twarz. Była piękna, ale pięknością dziwnie surową i smutną. Włosy czarne, jak pióra kruk, rozdzielone były na dwie strony, przyczesane gładko, nad czołem marmurowej białości. Rysy regularne, postać smukła i wytworna, wskazywały na osobę z wyższych sfer towarzyskich.

Oczu jej nie mógł dojrzeć, bo były w tej chwili spuszczone. Stojący przed nim Daubrecq zwrócony był plecami do Arsena, ale wiszące naprzeciw zwierciadło odbijało dokładnie jego postać.

Gdy, napatrzywszy się dowoli pięknej i smutnej damie, Arsen przeniósł wzrok na twarz jej towarzysza, wzdrygnąć się musiał na widok dzikiej i nieposkromionej żądz, malującej się w jego oczach. Przechyliwszy się przez stół, Daubrecq wyciągnął swoje długie ręce, zakończone olbrzymimi pięściami. Wtedy dopiero kobieta podniosła oczy i uderzyła go spojrzeniem. Nigdy jeszcze nie spotkał Arsen tego rodzaju

oczu. Szare, pięknie wykrojone, świeciły w tej chwili jak politurowana stal i godziły w przeciwnika, jak dwa ostre sztylety. Nietrudno było odgadnąć, że zaloty Daubrecq'a budzą w pięknej kobiecie wstręt, pogardę i prawie rozpacz. Rozpacz, bo znajdując się sama w nocy w jego mieszkaniu, była niejako oddana na jego łaskę. Broniła się tem stalowem spojrzeniem, podobnie jak poskromicielka dzikich zwierząt trzymająca na uwięzi rozjuszony lwy magnetyczną siłą swego wzroku. A jednak Daubrecq nie dał się tak łatwo poskromić i podskoczywszy ku niej, objął ją nagłym uściskiem. Wyrwała mu się z niezwykłą siłą, ale walka ta musiała ją wyczerpać, bo osunęła się na krzesło i dwie wielkie łzy stoczyły się po jej bladej twarzy.

Zachowanie pośła uległo nagłej zmianie. Usiadł obok niej napozór spokojny, a twarz jego przybrała złośliwy i zacięty wyraz. Mówił coś do niej, uderzając niekiedy po stole, jakby jej dyktował warunki. Ciekawa być musiała rozmowa tych dwojga, ale mury były grube i ani jedno słowo nie dobiegło do uszu Arsela. Musiał poprzestać na niemej pantomimie, rozgrywającej się przed jego oczyma.

Całem sercem stał po stronie kobiety o stalowych oczach i nienawidził wraz z nią Daubrecq'a. Podziwiał jej dumę i odwagę, z jaką wkraczała do jaskini lwa, a musiała chyba mieć do tego ważne powody. Nagle ręka pięknej kobiety poruszać się zaczęła nieznacznie, jakby ukradkowo, sunąc po stole coraz dalej i dalej. Daubrecq, zajęty rozmową z nią, nie mógł widzieć tego poruszenia, za to Arsen śledził je bacznie. Wreszcie smukłe długie paluszki pochwyciły jakiś przedmiot, przyczem kobieta zwróciła nagle głowę, rzuciła ukradkowe spojrzenie i położyła z powrotem na stole mały przedmiot, nie przywiązując już doń widocznie wagi. Był to szklanny korek, leżący obok karafki z wodą.

— Cóż to? Więc i ona szuka kryształowego korka; na honor — sprawa staje się z każdym dniem zawilszą — pomyślał Arsen. Spojrzał znów na niezna-

jomą i zdumiał się nagłą i niespodzianą zmianą, jaką w niej zaszła. Ręka jej sunęła znów po stole i cofnęła się po chwili, uzbrojona w mały lecz ostry sztylet ze srebrną rękojeścią, służący zwykle Daubrecq'owi do rozcinania kartek.

Kobieta cofnęła się także i stanęła trochę za plecami Daubrecq'a, który mówił coś, żywo gestykulując. Ręka jej uzbrojona sztyletem podniosła się, mierząc w gruby kark posła i zawisła groźnie w powietrzu.

Lupin widział znów jej oczy, błyszczące jak stal. Oczy te miały w tej chwili wyraz prawie błędny.

— Jeszcze chwila, a popełnisz wielkie głupstwo, moja piękna pani — pomyślał Lupin i układał już sobie, jak ma postąpić w razie, gdyby zamach uwieńczony został powodzeniem.

Ale tu zaszło naraz coś dziwnego. Poseł odwrócił się, jakby przeczuwał zamiary swej niebezpiecznej przyjaciółki. Odwrócił się w tej chwili właśnie, gdy cios miał go ugodzić — a uchwyciwszy bez śladu gniewu jej wątłą, szczupłą rękę, zmusił ją do upuszczenia sztyletu, nie okazując zdziwienia.

Nie robił jej, jak się zdaje, żadnych wyrzutów, wzruszył tylko ramionami, jak człowiek przyzwyczajony do tego rodzaju scen i chodzić zaczął po pokoju z rękoma w tył założonemi. Za to kobieta straciła zupełnie panowanie nad sobą, a ukrywszy twarz w dłoniach, szlochala tak gwałtownie, że Arsen widział falowanie jej piersi, wstrząsanej łkaniem. Po jakimś czasie kobieta uspokoiła się, a Daubrecq, który zdawał się na to oczekiwać, podał jej z nieco szyderską galanterją okrycie i czarną koronkę, którą owinęła sobie głowę. Zasłoniła się starannie i tylko stalowe jej oczy błyszczały z pod fałdów opadającej na czoło koronki.

Daubrecq musiał jej coś proponować, bo wstrząsnęła przecząco głową i zdało się Arsenowi, że słyszy wybiegające z jej ust słowa energicznego protestu.

— Nigdy — nigdy. — Poszli oboje ku drzwiom,

Arsen zaś wycofał się do izdebki Wiktorji i przetrwał tam przeżyte wrażenia.

— Ciekawa pantonima — myślał — ciekawa kobieta. Jakże chętnie pobiegłbym za nią, by ją prosić o słówko rozmowy. Co za oczy! Takie więc wizyty przyjmuje pan poseł nocną doba, gdy policja straci go z oczu. A może ta kobieta jest z policji. Chociaż nie, w tem kryć się musi jakiś zadawniony dramat, może tragedia. Muszę się dowiedzieć, kim jest tajemnicza piękność, a może uda mi się namówić ją do współdziałania. Ta piękna pani nie musi żywić zbyt słodkich uczuć dla pana posła, chociaż kto wie? *Kobiety bywają takie dziwne, nienawiść bywa u nich niekiedy jedną z form miłości.*

Nie mógł zasnąć. Czuł, że obraz kobiety o stalowych oczach prześladować go będzie natrętnie. Czy była naprawdę piękną? Była to twarz raczej surowa, dumna, nieubłagana, która nie oczarowałaby może amatorów świeżych twarzyczek o niewinnych oczach dziecka. Ale komu raz zapadło w duszę przeszywające spojrzenie tych stalowych oczu, ten nie zapomni o nich tak łatwo.

Jaka przytem odważna, jaka dumna! O mały włos, a zabiłaby swego wroga, czy kochanka, bo jednym lub drugim musiał być dla niej czcigodny poseł. Ale i on był godnym jej partnerem. Nie ukarał jej za ten sztylet wzniesiony do morderczego ciosu, zbagatelizował to zajście, jak zwykły kaprys kobiecy. A może był wogóle pewnym, że go nie zabije. Czego chce od niego? Dlaczego przychodzi do niego sama w nocy, skoro go nienawidzi?

Przed świtem opuścił Lupin izdebkę Wiktorji i nie powrócił przez dni kilka do willi Daubrecq'a. Czuł się tak roznamietniony drażniącą tajemnicą, że zmuszony był czuwać pilnie nad sobą, aby nie strzelić jakiego baka. Nie znaczy to jednak, jakoby zaniechał wszelkiej działalności w celu bliższego jeszcze poznania prywa-

tnego życia posła Daubrecq'a. Czterech najinteligentniejszych ludzi z jego bandy otrzymało rozkaz stróżowania nocą obok willi. Ludzie ci składali mu co rano dokładne raporty.

— Czy nie widzieliście wchodzącej do niego kobiety? — pytał za każdym razem Arsen.

Odpowiedź brzmiała zawsze przecząco. Za to skonstatowali oni dwa fakta. Policja, która śledziła starannie kroki Daubrecq'a gdy wychodził z mieszkania, zaniedbywała tej ostrożności w nocy. Za to ukazywali się tam w nocy jacyś samotni goście, którzy zabawiwszy jakie pół godziny w willi, odchodzili mocno wzburzeni. Jeden z nich zataczał się jak pijany i widziano go potem tłukącego głową o ścianę sąsiedniego domu tak, że aż stróż nocny zwrócił uwagę na jego zachowanie się i odprowadził go do mieszkania.

— Któż to był?

— Senator Delbery.

— Senator Delbery, sekretarz ministerstwa kolonii i członek wielu towarzystw naukowych? — zdumiał się Lupin. — I cóż spowodować mogło tak ryzykowne jego zachowanie się i tę nocną wizytę? — Zestawiwszy fakta, próbował jednak wysnuć z nich parę wniosków.

— Policja — rozumował — nie dba widocznie o osobę Daubrecq'a, lecz pragnie odszukać jakiś przedmiot przez niego przechowywany, może kryształowy korek.

Ludzie, którzy odwiedzają go w nocy, chcą zapewne uzyskać coś za jego pośrednictwem i odchodzą zrozpaczeni lub uspokojeni, stosownie do tego, jaką otrzymają odpowiedź.

Wszystko to nie posuwa jednak ani na jotę moich poszukiwań, trzeba działać, odszukać należy kobietę o stalowych oczach. Pod tym względem los mu miał być przychylnym. Tegoż dnia jeszcze odwiedziła go Wiktoria, powracając z miasta z koszykiem.

Arsen poznał odrazu z zachowania się swej starej piastunki, że przynosi mu jakąś ważną wiadomość.

— Mój pan będzie dzisiaj w teatrze — rzekła, odsapnąwszy nieco ze zmęczenia.

— Tylko tyle? odparł Lupin nieco rozczerowany.

— Będzie w teatrze z damą — ciągnęła dalej Wiktorja — zakupił już łożę i obstałował w magazynie piękny bukiet z białych róż i pąsowych kamelij.

— Z damą? Co mówisz moja dobra Wiktorjo, z damą? piękną, wspaniałą kobietą, o stalowych oczach. Pozwól niech cię uściskam, warto cię doprawdy ozłocić za taką wiadomość. — Mówiąc to, Arsen puścił wodze wrodzonej żywości i porwawszy w ramiona swoją starą piastunkę, okręcił ją parę razy w powietrzu. Gdy wreszcie postawił na ziemi zdyszana staruszkę, która nie miała nawet sił, by się na niego gniewać, zapytał ją skwapliwie:

— Mów, jakim sposobem dowiedziałaś się o tem?

— Ależ bardzo prostym. Sam mi o tem powiedział, a przytem słyszałam, jak telefonował do tej pani.

— Telefonował, mówisz, ale w jakich słowach?

— Prosił ją, aby była gotową na w pół do dziewiątej, a następnie uwiadomił ją, że łoża, którą zakupił, jest tą samą, w której znajdował się z nią przed trzema tygodniami. Dodał przytem...

— Co dodał? — pytał dalej Arsen, który nie mógł się oprzeć uczuciu gorzkiej zawiści na myśl, że Daubrecq pozostaje w tak zażyłych stosunkach z piękną kobietą.

— Dodał ze śmiechem, że spodziewa się, iż tym razem nikt nie skorzysta z tej sposobności celem obrabowania jego willi. — Słowa te dały do myślenia Arsenowi. Wszak Daubrecq znajdował się w teatrze w chwili gdy rabowano willę Marji Teresy. Ale skąd Gilbert i Vaucheray mogli o tem wiedzieć? Przebiegło mu przez głowę podejrzenie, że byli może w zмовie z tajemniczą kobietą. Postanowił oczywiście być w teatrze i skorzystać z tej sposobności dla przyjrzenia

się dokładniejszego pięknej nieznajomej. W tym celu ucharakteryzował się na hrabiego rosyjskiego, typ wielce popularny w Paryżu. Włożył więc jasno blond perukę i także faworyty. Przywdział swój najpiękniejszy frak i spinę brylantową iskrzącą się jak słońce, którą zrabował przed kilku laty jednemu z autentycznych rosyjskich krezusów. Przejrzał się następnie w zwierciadło i znalazł, że mu w tym stroju niezmiernie do twarzy. Prócz tego zapewnił sobie współudział trzech swoich współników, którzy oczekiwać mieli na niego w samochodzie, bo nie można było przewidzieć, co się zdarzy. W chwili, gdy miał wychodzić z domu, Achilles wręczył mu miejską depeszę, która brzmiała jak następuje: „Nie przychodź pan dzisiaj do teatru, pańskie wdanie się może wszystko popsuć.” Arsen stał obok kominka, na którym umieszczony był kosztowny wazon na kwiaty z sewrskiej porcelany. Porwał bez namysłu ten cenny przedmiot, a cisnąwszy nim o ziemię, rozłukł go na tysiączne kawałki. Zaspokoiwszy w ten sposób pierwszy gniew, zgrzytnął zębami z niewymowną wściekłością.

— Naturalnie! — syknął. — Ktoś pozwala sobie drwić ze mnie. Ktoś posługujący się mojami własnymi sposobami, mojami wybiegami.

Tylko, że to rzecz inna. — Sprawa ze mną, Arsenem Lupin. Nie pójdzie ci ona tak gładko panie Daubrecq. Wsiadł do samochodu wraz z towarzyszami, ale po drodze przypomniał sobie jeden mały szczegół. Nie wiedział, w którym mianowicie teatrze zakupił łożo Daubrecq.

— I znowu czas stracony, zaczynam w piętę gończyć — mruknął uderzając się w czoło. Rzucił podejrzliwe spojrzenie na swych towarzyszy, usiłując odgadnąć, czy który z nich nie dziwi się jego nieprzeorności. Radzi nie radzi, zwiedzać zaczęli wszystkie teatry, najpierw wodewile i operetki, potem poważniejsze sceny. Wreszcie około 10-ej w teatrze Vaudeville wpadł Arsen na trop ściganej pary. Zająwszy hotel

w parterze, dostrzegł Lupin łożę zasłoniętą do połowy dwoma ekranami. Ujęta sutym napiwkiem, kobieta otwierająca łożę, wyjaśniła go, że znajduje się tam pewien pan średniego wieku, barczysty, z rudym zarostem i młoda dama, której twarzy nie widziała dokładnie, bo weszła do teatru starannie zawoalowana.

Rysopis ten odpowiadał zupełnie poszukiwanym osobom.

Nie namyślając się, zakupił Arsen sąsiednią łożę, która była na szczęście niezajęta i zajął w niej miejsce, rozpierając się z niedbałością prawdziwego hrabiego rosyjskiego. Gdy odkrecono światło w czasie antraktu, poznał natychmiast profil Daubrecq'a, dama siedziała w głębi niewidzialna. Rozmawiała jednak z Daubrecq'em. Rozmowa ta nie przerwała się nawet w chwili podniesienia kurtyny, ale mówili z sobą tak cicho, że Lupin nie odróżnił ani jednego wyrazu.

Arsen wyszedł z łoży i dał przyjaciółom swoim stosowne polecenia, następnie powrócił i czekał cierpliwie. Po kilku minutach woźny teatralny zapukał do łoży.

— Czy tu jest pan deputowany Daubrecq?

— A to co? Skąd znasz moje nazwisko?

— Senator Delbery telefonował do pana i wskazał numer łoży; co mamy mu odpowiedzieć?

— Że przyjdę do telefonu, za małą chwilkę.

Wstał istotnie i wyszedł z łoży. Korzystając z tego Lupin, wszedł do niej cicho i zajął jego miejsce, zamknawszy wprzód drzwi od wewnątrz. Zwrócił się wówczas do siedzącej w głębi damy, która narzuciła szybko chusteczkę koronkową i zasłoniła się nią po oczy.

Poznał natychmiast oczy te dziwne, głębokie, błyszczące i tu, niezwykłym światłem mimo ciemności, panującej w teatrze. Wziął ją za rękę, kobieta wydała stłumiony okrzyk.

— Niech pani nie krzyczy — nakazywał jej. —

Nie jestem pani wrogiem. Musimy pomówić ze sobą w ważnej sprawie.

— Och! — rzekła kobieta. — Znam cię, jesteś Arsen Lupin.

Arsen zdumiał się. Skąd mogła go znać, a zwłaszcza dlaczego poznała go pod tem przebraniem. Był tak osłupiały, że nie próbował jej przeczyć, jakkolwiek było to nieledwie równoznaczne ze zdaniem się na łaskę nieznanomej. Wnet jednak odzyskał przytomność. Nagłym ruchem zerwał z głowy kobiety koronkową chusteczkę i upajał się widokiem jej pięknej twarzy. Miał ją więc przed sobą, tę dumną, surową piękność o kruczonych włosach i stalowych oczach. We włosach tych zauważył kilka srebrnych nitek, musiała chyba wiele cierpieć, bo była jeszcze młoda.

— Ja także znam panią — rzekł po chwili. Teraz z kolei ona się zmieszała.

— Pan? Mnie? To niemożliwe.

— Widziałem cię pewnej nocy w willi Daubrecq'a, widziałem sztylet, wzniesiony nad jego głową. Jesteś pani odważną, ale chciałaś popełnić szaleństwo. — Usłyszawszy to, kobieta chciała się zerwać do ucieczki, ale Arsen zatrzymał ją.

— Nie, nie odchodź pani. Musimy się porozumieć. Muszę wiedzieć, kim jesteś. Daubrecq jest wrogiem twoim, nieprawdaż? Trzyma cię w zależności. Ja cię wyzwolę, zrobię wszystko, co mogę. Zaufaj mi tylko, we dwoje zwyciężymy go. Wesprę panią całym mojem doświadczeniem.

— Dlaczego? W jakim celu? — pytała nieufnie.

— Nie traćmy czasu na próżno. Daubrecq zaraz powróci, spostrzeże się, że go oszukano przy telefonie.

— Jakto? Przecież to senator Delbery.

— Nie, to ja telefonowałem, a raczej jeden z moich współników.

W tej chwili dobijano się już do drzwi. Silnem uderzeniem pięści wysadził Daubrecq zamknięte drzwi. Spostrzegł oczywiście natychmiast obecność intruza.

— No! no! pani przyjmuje gości. — Kobieta nie broniła się ani jednym słowem. Dumna, wyprostowana, siedziała tak obojętnie, jakby ta cała sprawa nie obchodziła jej wcale.

— A jednak nie zdradziła mnie — pomyślał z zadowoleniem Arsen.

— Wybacz pan — rzekł kłaniając się Daubrecq'owi — jestem cudzoziemcem i nie dostrzegłszy, że ta łoża jest zajęta, pozwoliłem sobie wejść do niej.

— Znamy się na tych sztuczkach — odparł brutalnie Daubrecq — cudzoziemcem! A może przebrany księciem. W każdym razie postąpiłeś sobie, jak prosty fagas.

— Pan się unosisz — rzekł z wyniosłą grzecznością Arsen, dostrajając się do arystokratycznego tonu tajemniczej damy. — A zresztą rozmówimy się na korytarzu.

— Rozmówimy się natychmiast — syknął Daubrecq, wpatrując się nieufnie w zmienioną twarz Arsena. — Nie wyjdiesz stąd, dopóki cię sam nie wyrzucę.

I uchwyciwszy Arsena za kołnierz, próbował go unieruchomić, rzucając go na krzesło, stojące w łoży. Niebaczny gest. Czyż Arsen mógł pozwolić, aby trzymano go w tak upokarzającej postawie, w obecności kobiety, której surowa i poważna piękność podbiła go? Jednym ruchem odepchnął przeciwnika, a potem cztery ich pięści splotły się w żelaznym uścisku i rozpoczęło się mocowanie. Dziwna to była walka, prowadzona w najzupełniejszym milczeniu, gdyż tak jednemu jak drugiemu zależało na uniknięciu skandalu. W teatrze było ciemno, na scenie rozgrywała się właśnie wzruszająca scena, przykuwająca uwagę widzów. Przewaga siły była niezawodnie po stronie Daubrecq'a, którego olbrzymie pięści groziły zda się zgruchotaniem przeciwnika, ale nie posiadał on za to fachowej umiejętności szermierskiej, w którą wyposażony był

w tak wysokim stopniu Arsen Lupin. W szale walki dostrzegł on parę razy szeroko otwarte oczy kobiety, która, oparta o ścianę w głębi łoży, śledziła z niepokojem przebieg zajścia. To mu dodało podniety. Mistrzowskim zwrotem, wymierzył w kolano Daubrecq'a bolesny cios, końcem obutej stopy.

Ból ogłuszył przez chwilę posła, tak, że go puścił. Uderzenie pięścią w głowę i piersi dokonało reszty. Daubrecq osunął się na krzesło ogłuszony. Ktoś stukał właśnie z sąsiedniej łoży, prosząc o ciszę.

— To nic — odparł Arsen. — Towarzyszowi memu zrobiło się trochę słabo, śpiesz po wodę.

Chciał wymknąć się pociągając za sobą tajemniczą damę, ale ta znikła już bez śladu, wyszła widocznie z łoży w czasie gdy był pochłonięty mocowaniem się z Daubrecq'em. W każdym razie nie mogła być daleko. Wybiegł szybko z łoży, obdarzając sutym datkiem stojącego na korytarzu woźnego i powtarzając mu bajkę o zasłabnięciu pana posła. W parę sekund był już na dole i dostrzegł w istocie otuloną ciemnym okryciem postać kobiecą, wychodzącą pośpiesznie na ulicę. Zanim ją doścignął, była już w samochodzie i mignęła mu tylko przez spuszczone szybki ciemna główka, owinięta koronką.

Miał zaledwie czas rzucić okiem na twarz szofera — zdało mu się, że nie jest mu obca.

— Cóż to znaczy? — mruknął zdziwiony. — Przysięgłbym, że to Le Balu — Le Balu był jego własnym szoferem, tym samym, który go wioził z willi Marji Teresy, a może było to tylko ludzkie podobieństwo? Człowiek ten, polecony mu przed rokiem przez Gilberta, był prawdziwym mistrzem w swoim fachu. Czyżby go zdradzał na rzecz pięknej kobiety? Sprawa gmatwała się coraz bardziej. Nie dowiedział się nawet o nazwisku nieznajomej, nie otrzymał od niej przyrzeczenia schadzki. Jedyłą pociechą było mu zwycięstwo, jakie odniósł w jej oczach nad Daubrecq'em. Słaba pociecha, która nie posuwała go ani

na krok dalej w rozjaśnieniu tajemnicy. Zaszedł do cukierni i machinalnie prawie, chcąc się rozerwać, przerzucać zaczął wieczorne gazety. To co wyczytał, nadało nowy kierunek jego myślom.

Pisano o sprawie jego współników.

„Sprawa rabunku willi Marji Teresy zajmuje powszechnie umysły, ze względu na związek jej z Arsemem Lupin.

Stwierdzono tożsamość jednego z rabusiów, który jest niebezpiecznym recydywistą, skazanym już kilka razy zaocznie. Nie zdołano natomiast dotąd odkryć prawdziwego nazwiska drugiego bandyty, Gilberta.

Młody ten człowiek, którego osoba i zachowanie się zdradzają pochodzenie z wyższych sfer inteligencji, jest smutnym przykładem współczesnej deprawacji. On to, jak wynika ze śledztwa, uplanował napad na willę i nakłonił do tego zwierzchnika swego, słynnego Arsena Lupin. On także dokonał prawdopodobnie mordu na osobie Leonarda, a przynajmniej wziął w nim czynny udział, mimo, że się tego uparczywie zapiera.

Sprawiedliwość załatwi się jak się spodziewamy szybko i ostro z tym wykwinłym rzezimieszkiem, który nie może być usprawiedliwionym”.

Cały ten artykuł, pisany tendencyjnie, był widocznie skierowany przeciw biednemu Gilbertowi, w tym samym tonie pisały inne gazety. Była to widoczna nagonka. Tu i owdzie zaledwie przejawiały się ślady współczucia z powodu młodości obwinionego.

Naogół domagano się szybkiego osądzenia obu rabusiów. Był to właśnie czas, gdy opinia w Paryżu oburzona była z powodu wzmagającej się liczby apaszów i domagała się energicznie częstego stosowania kary śmierci.

— To bydlę Vaucheray rzuca całą winę na Gilberta, a chłopak nie umie się bronić właśnie dlatego, że jest uczciwy. Pozatem jednak dostrzegł Lupin coś

jeszcze, jakby rękę ukrytą, która starała się zgromadzić wszystkie gromy nad głową jego ulubieńca.

— Co mógł komu zawinić? Komu zależało na jego zgubie?

Co prawda on sam nie znał prawdziwego nazwiska Gilberta.

Nie zapytywał o to nigdy swoich współników, oceniając ich raczej podług charakteru. Na domiar następnego dnia jeszcze doszła go z więzienia rozpaczliwa kartka od Gilberta, wymowna w swej lakonicznej prostocie.

„Boję się, szefie, och boję się, widmo gilotyny — twój Gilbert“, a w *post scriptum*: „Uratujesz nas — nieprawdaż?“

ROZDZIAŁ IV.

HERSZT WROGÓW.

— Biedny chłopak — powtarzał sobie Lupin, czując prawie łyzy pod powieką — biedny chłopak.

Od pierwszego dnia, w którym Gilbert przyłączył się do jego bandy, genialny włamywacz powziął dla niego prawie ojcowskie przywiązanie. Sam niekiedy upominał go, by obrał inną, właściwą dla siebie drogę.

— Wróc do świata Gilbertcie — mówił mu — wtedy zostaniesz w oczach ludzkich uczciwym człowiekiem, jakim jesteś w głębi swej istoty.

— Niema tam dla mnie miejsca — odpowiadał chłopak, wzruszając ramionami, a posępny cień przyćmiewał na chwilę jego jasną, młodzieńczą twarz. A zresztą, dodawał po chwili, powrócę do społeczeństwa, jeśli ty zajmiesz w niem stanowisko odpowiednie twojej wartości.

— Dla mnie już zapóźno — odpowiadał Lupin.

— Gdybyś tylko zechciał, możesz dokonać wszystkiego.

Ach, ileż ten chłopak dodawał mu odwagi, tupetu, śmiałości, sam widok jego bujnej młodości, jego zachwalstwa, męstwa i zręczności, wesołość i radosne życie udzielały się Arsenowi.

Nic dziwnego, że drży teraz przed gilotyną, on, który na nią nie zasłużył. Arsen był przekonany, że surowość, z jaką władze ścigały jego współników, wymierzona była przeciw niemu. Policja, upokorzona długoletnią z nim walką, chciała go dotknąć pośrednio. A potem obawiano się, by nie odbił ich, więc znów obawa ta przebijała się w ostrożnościach, z jakimi ich strzeżono. Nigdy żaden więzień stanu nie był tak ostro doglądany i tak odcięty od wszelkiej możliwości porozumienia się z ludźmi.

— I nie mylą się w swych obawach — powtarzał sobie codziennie w duszy Arsen — odbiję ich, chociażbym miał życie utracić podczas tej wyprawy — zwłaszcza jego, Gilberta. Ale dlaczego Gilbert nie wspomniał mu nic o korku kryształowym? Po namyśle Arsen uznał, że chłopak dobrze zrobił. Listy jego są widocznie przejmowane i giną, o ile jest w nich wzmianka o kryształowym korku. Ale kto je przejmuje? Nie policja, lecz ten, kto otrzymawszy je z rąk Gilberta, wsuwa je do skrzynki pocztowej. A przytem Arsen nie wątpił, że owa kobieta posiada tajemnicę kryształowego korka, należało więc szukać nowego z nią spotkania.

Należało znów śledzić życie Daubrecq'a, by natrafić na trop tajemniczej przyjaciółki jego czy ofiary, bo Lupin nie wiedział dotąd, do której z tych dwóch kategorii zaliczyć należało zagadkową piękność. Odnaleźć ją trzeba było tem konieczniej, że kobieta ta znała widocznie Arsena tak dalece, że poznała go nawet pod przebraniem. — Tyś Arsen Lupin — powiedziała mu przecie w loży, a pomimo gniewu i zdziwienia, nie mógł się też obronić Arsen uczuciu słusznej

dumy, na myśl, że piękna kobieta była świadkiem zwycięstwa jego nad posłem. A zwycięstwo to nie było łatwem do odniesienia. Niewielu ludzi równać się mogło siłą temu barczystemu atlecie.

Im dłużej myślał nad rozmaitemi kolejami tej dziwnej walki, którą rozpoczął z nieznanym przeciwnikiem, tem uparciej myśl jego powracała do kryształowego korka. Tu musiało tkwić słowo zagadki.

— Gdybym go raz mógł dostać — powtarzał sobie — gdybym go raz miał w ręku — ale jak go dostać? Nie mógł niestety pokazywać się w willi Daubrecq'a. Po zejściu w teatrze byłby to krok zbyt ryzykowny. A jednak miał się wkrótce przekonać, że spełnienie życzeń, nie zawsze odpowiada nadziejom w nich położonym. Pewnego dnia Wiktorja, powracając z targu, spotkała go na umówionej ławeczce w ogrodzie Luksemburskim. Spojrzawszy na nią, zauważył odrazu niezwykle jej wzruszenie.

— Co się stało? — zapytał, podnosząc się z ławki. Miał na sobie dnia tego bluzę robotniczą, którą przywdziewał zwykle, ilekroć rozmawiał z Wiktorją w miejscach publicznych.

— Patrz — rzekła zmienionym głosem — przyniosłam ci to, czego tak poszukujesz. — I podała mu owinięty w papier mały przedmiot, w którym Lupin poznał natychmiast kryształowy korek. Nie mogąc zapanować nad ciekawością, rozwinął go niebacznie i oglądał, położywszy na dłoni. Nie było wątpliwości, że był to ten sam korek, który posiadał już raz, a który mu wykradziono. Poznał to po malutkiej szczyrbie, którą zauważył poprzednio. Mając wreszcie w posiadaniu swem tak pożądaný przedmiot, przekonał się jednak, że na nic mu się to nie przyda. I cóż stąd, że miał przed sobą korek kryształowy, że mógł oglądać go na wszystkie strony. Był to korek i nic ponadto. Nie miał na sobie żadnego szczególnego znaku, żadnej cyfry wyrzniętej, żadnej szczególnej cechy, któraby go odróżniała od innych korków.

Cóż więc?

Wtedy dopiero odczuł nagle całą rozciągłość swej omyłki. Rzecz prosta, że ten kawałek szkła nie miał żadnego znaczenia dla tych, którzy nie znali związanej z nim tajemnicy.

Przed zdobyciem go trzeba ową tajemnicę odgadnąć, a wtedy dopiero posiadanie korka mogło się na coś przydać. Kto wie nawet, czy wykradając go przedwcześnie Daubrecq'owi, nie popełnił ciężkiego błędu.

— Baczość, Arsenie Lupin — upominał sam siebie w duchu. — W całej tej tak djabelsko zawikłanej sprawie najdrobniejszy fałszywy krok równa się klęsce.

— Gdzie znalazłaś korek? — spytał swej piastunki.

— W szufladzie nocnej szafki, stojącej przy łóżku mego pana.

— Jak dawno?

— Przed godziną, sprząając jego pokój.

— Czy znalazłaś korek już po wyjściu Daubrecq'a?

— Tak jest, wyszedł właśnie do swego biura.

— A więc skoro przyjdzie, zechce się zapewne przekonać, czy korek jest na miejscu — i nie znajdzie go.

— Cóż będzie wtedy? — zapytała Wiktorja, cokolwiek już zafrasowana.

— Podejrzenia jego padną bezwątpienia na ciebie.

— Mogłabym nie wracać już do niego — zaproponowała Wiktorja, której sprzykrzyła się już rola szpiegującej swego pana. Była to wogóle uczciwa kobieta, co malowało się na jej twarzy tak dalece, że nawet Daubrecq pozbył się stopniowo swojej nieufności względem niej.

— O nie! Musisz tam jeszcze zostać, jeśli mi życzysz dobrze.

Kobieta westchnęła, ale jak zwykle uległa woli Arsena Lupin. Ten zaś mówił dalej:

— A ponieważ nie trzeba, aby twój pan miał cię w podejrzeniu, powrócisz natychmiast do jego willi i włożysz napowrót kryształowy korek do szufladki, z której go wyjął.

Mówiąc to, Arsen sięgnął do małej kieszonki, w której ukrył korek, rozmawiając z Wiktorją.

Przechadzali się w czasie tej rozmowy po alejach parku, dość pustych o tej porze dnia.

Wiktorja wyciągnęła rękę po korek, ale Arsen stanął nagle jak wryty.

— Co to jest? — zawołał. — Niema go. — Wybuchnął nieszczerym śmiechem.

— Cha! cha! Niema go. Mówię ci, Wiktorjo, że korek ten jest czarodziejski. Znikł, ulotnił się bez śladu. — Rozśmiał się drugi raz, ale tym razem bez cienia goryczy. Zaczynał widzieć jasno grę, którą z nim rozpoczęło, a raczej, którą sam rozpoczął, zaczynał pojmować.

— Jest też czego weselić się? — zauważyła ze zgorszeniem jego piastunka. — Cóż ja teraz z sobą pocznę? Nie mogę wracać do niego, bo skoro spostrzeże stratę korka, odda mnie w ręce policji.

— Jesteś prostoduszna, jak nowonarodzone dziecko, droga Wiktorjo. On ciebie policji? Cóż znowu. — I śmiał się znów szczerze, serdecznie.

Wszakże on przekonany jest, że ty, piastunka i powiernica Arsena Lupin, jesteś poprostu agentką policyjną, nasłaną przez Maurycego Prasville. Ten korek był tylko przynętą, rzuconą nam przez Daubrecq'a.

To nie ten, to nie jest prawdziwy kryształowy korek, lecz jego sobowtór.

Zabranie było wielkim błędem i dlatego należało go odnieść. Ale ktoś wyręczył nas już niezawodnie. Ktoś, co śledzi każdy twój krok, podobnie jak ty śledzisz kroki twego pana.

— Powracaj do domu, moja dobra Wiktorjo i zaj-

rzyj do szufladki, w której znalazł się zagadkowy korek. Obaczysz, że leży on tam znów.

Wiktorja wahała się przez chwilę, ale przywykła wierzyć ślepo genialnej przenikliwości Arsena, uległa ostatecznie jego woli, i lubo niechętnie, odeszła z powrotem na swe stanowisko. Arsen spacerował jeszcze po parku, gwizdząc skoczną aryjkę.

— Niema wątpliwości, że spotkam się wkrótce z nimi. Muszę ich spotkać. Ale kto nimi dowodzi, kto jest hersztem wrogów moich? Nie, raczej wrogów pośła Daubrecq'a.

Od tej chwili postanowił Lupin stróżować dniem i nocą dokoła willi pośła. Rozwinął w tym celu cały swój spryt, całe olbrzymie doświadczenie, aby zręcznie, cicho, niepostrzeżenie snuć się w pobliżu mieszkania pośła. Wiktorję zostawił na uboczu i działał na własną rękę. Sprzyjały mu noce niezwykle ciemne, które pozwoliły mu wciskać się do wnętrza ogrodu i spędzać w nim po kilka godzin bez zwrócenia niczyjej uwagi. Daubrecq zresztą nie stawiał żadnych przeszkód tym, którzy go śledzili, bo i policja w tym przeciągu czasu złożyła mu parę wizyt równie jak dawniej bezskutecznych. Aż naraz jednej nocy Daubrecq powrócił w towarzystwie jakiegoś człowieka otulonego płaszczem. Serce zabiło mocno Arsenowi, który śledził go z ukrycia, siedząc na gałęziach rozłożystego wiązu, rosnącego w ogrodzie. Podobnie jak pierwszym razem, spuścił się zręcznie na dół i stanął pod oknem gabinetu. Poprzednio już postarał się o rozszerzenie otworu w okiennicy, tak, że widzieć mógł dokładniej jeszcze sceny, rozgrywające się w gabinecie Daubrecq'a.

Ale tym razem gościem pana pośła nie była kobieta. — Mężczyzna, który wszedł wraz z nim do jego mieszkania, miał powierzchowność okazałą. Arsen poznał go od pierwszego spojrzenia; był to margrabia Albufex. Lupin spotykał go niekiedy na wyścigach, gdzie odznaczał się wśród innych amatorów tego spor-

tu najlepszymi końmi wyścigowymi i osobistą biegłością w dosiadanu ich. Dumny ten arystokrata, wyglądał w tej chwili dziwnie. Twarz jego była blada jak kreda, a ręka, którą szarpał niecierpliwie piękny wąs, drżała jak w febrze. Nagle stało się coś nadzwyczajnego. Wykwintny magnat, pierwszy sportmen Paryża, członek najwytworniejszych klubów, osunął się do kolan Daubrecq'a i zdawał się go o coś błagać. Tamten stał spokojny, niewzruszony, uśmiechając się z drwiącą grzecznością. Po jakimś czasie markiz podniósł się zwolna, zawsze jednak był blady.

Odstąpił kilka kroków, a wyjąwszy z kieszeni rewolwer, wymierzył go prosto w pierś zagadkowego posła. Mierzył długo, ostrożnie, jakby chciał być pewnym, że nie chybi. Arsen przeniósł wzrok na twarz Daubrecq'a i zdumiał się jego pokojem. Nie drgnął on nawet, patrząc ze zwykłym swym drwiącym uśmiechem w lufę pistoletu. Był widocznie zupełnie pewny, że markiz nie strzeli, a może miał na sobie jakiś tajemniczy kaftan bezpieczeństwa, chroniący go od kul.

Ręka margrabiego opadła zwolna, wypuszczając z ręki nieużyteczną broń. Natomiast Albufex wyjął z zanadto grubo wyładowany portfel i wyjął z niego garść banknotów. Rzucił na stół pieniądze, a gdy te rozsypały się, Arsen spostrzegł, że były to banknoty tysiącfrankowe. Daubrecq zaczął je liczyć systematycznie i układać. Było ich blisko sto, lub może więcej. Rzecz zaczynała się wyjaśniać. Markiz Albufex składał Daubrecq'owi tajemniczy okup. Wypłacił mu tej nocy sto tysięcy franków, co widocznie przyszło mu z trudnością, kosztem wielkich ofiar. Bo też zapewne nie po raz pierwszy składał podobny haracz, a majątek chociażby bardzo znaczny, nie mógł tak łatwo wystarczyć tego rodzaju wydatkom. Stąd jego rozpacz, dlatego upokorzył się przed Daubrecq'em, błagając go o ulgę. Ale czemu nie zabił? Dlaczego ręka jego, uzbrojona w rewolwer, drżała bezwładnie? Zajście ich nie miało świadków — mógł zabić posła

i ujść przez nikogo niedostrzeżony. Arsen mówił sobie w duchu, że onby go z pewnością nie zdradził. On także zaczynał uczuwać głąchą nienawiść do tego człowieka, co jak pająk ukryty w ciemności, rozsiewał zabójcze sieci, w które zagarniał swoje ofiary.

Musiała jednak tkwić w tem dziwna tajemnica. Widocznie nawet śmierć Daubrecq'a nie uwalniała od niego tych, których prześladował. Była to jakaś straszna broń, działająca jeszcze poza grobem. Wzruszony tą sceną, więcej niż chciał się do tego przyznać, Lupin wycofał się ze swego obserwacyjnego stanowiska z obawy, by go nie dostrzegł odchodzący markiz.

Daremna ostrożność.

Albufex wyszedł, zataczając się jak pijany.

Daubrecq pozostał w swoim pokoju i wkrótce światło zgasło w jego oknie. Musiał zapewne zasnąć.

— Ależ ten człowiek to potwór — rozumował Lupin. — Śpi spokojnie po takiej rozmowie. I z takich to więc źródeł czerpie bogactwa swoje czcigodny pan poseł.

— Hm — jest to jak widzę szantażysta na wielką skalę, czyli mówiąc innemi słowy, światowy bandyta, który ograbia bez miłosierdzia swych bliźnich. — Albufex opuścił willę, a nikt po jego odejściu nie troszczył się o zamknięcie drzwi wchodowych.

Była to nieostrożność, z której Lupin nie omieszkiał skorzystać. Nie wiedział dokładnie, dlaczego to robi, może widok banknotów, zostawionych tu przez markiza Albufex'a, podrażnił w nim instynkt włamywacza.

Może przyszła mu na myśl jedna z tych fantazji, na jakie pozwalał sobie czasem i miał ochotę odebrać wymuszone na margrabi pieniądze i zwrócić je ograbionemu, wymierzając w ten sposób sprawiedliwość. Cicho jak kot szedł po marmurowych schodach, wysłanych puszystym kobiercem. W chwili, gdy był już u góry, z ręką opartą na poręczy schodów, zatrzymał się i począł nasłuchiwać.

Poręcz, na której opartą była jego ręka, zadrżała, raz, drugi, trzeci. Drganie to było rytmiczne i powtórzyło się jeszcze kilka razy.

— Ktoś idzie po schodach — rzekł do siebie, a jednak nie słysząc było wcale odgłosu kroków. Uczucie niejasnej trwogi ogarnęło Arsena. Czuł, że ktoś zbliża się do niego, ale ten ktoś stapać musiał tak lekko, cicho, niedosłyszalnie, że zdawał się być szatańską istotą, i gdyby nie drganie poręczy, nie możnaby było odgadnąć jego obecności. Napróżno usiłował przebić wzrokiem ciemności, napróżno oczekiwał, że lada chwila tajemnicza istota przejdzie obok niego i będzie jej mógł dotknąć, wyciągnawszy przed siebie rękę.

Nic i nic.

Poręcz przestała drgać, mógł mniemać, że jest zupełnie sam i że poprzednie jego wrażenia były złudzeniem. Stał nieruchomo, wstrzymując prawie oddech. Nagle uderzył go nowy fakt. Zegar jakiś wydzwonił drugą godzinę, zegar pokojowy. Był to zapewne wspaniały ścienny zegar, wiszący w gabinecie Daubrecq'a. Ale uderzenia jego były tak głośne, jak gdyby nie tłumiły ich podwójne drzwi, prowadzące do owego gabinetu.

A przecież Lupin wiedział od Wiktorji, że Daubrecq miał zwyczaj zasuwac starannie rygle na noc — i zamykał się na klucz. Jakimże więc sposobem te drzwi stały otworem? Czy otworzyła je owa tajemnicza istota, skradająca się po schodach? Lupin nie wahał się dłużej. Wszedł do znanego sobie korytarza i stanął pod drzwiami Daubrecq'a. Drzwi te były zamknięte, przynajmniej tak mu się zdawało, gdy dotknął ręką klamki.

Ale parę chwil potem — ręka ta, którą posunął ku dołowi, natrafiła na pustkę.

Zrozumiał nagle wszystko. Drzwi były zamknięte, tylko dolna isć część znikła gdzieś, a raczej odwrócona została na ruchomych zawiasach.

Poznał tu własny swój system. Było to właśnie jego zwyczajem przysposabiać takie kryjome wejścia, w miejscach, które chciał w tajemnicy nawiedzać, ale wymagało to długiego zachodu.

— Kto mógł zmajstrować tu coś podobnego?

Wsunął głowę przez utworzony w ten sposób otwór i słyszał wyraźnie oddech śpiącego posła. Po-
zatem nic, żadnego szelestu.

A przecież tajemnicza istota musiała się tam znajdować, musiała szukać tego, co było celem tych nocnych odwiedzin. Teraz przynajmniej wiedział Lupin, że nocny gość nie był duchem.

Wracać będzie z pewnością tą samą drogą, którą tu przyszedł, trzeba go więc zaskoczyć niespodzianie. Ostrożność nie pozwalała na dokonanie tego zamachu tuż pod drzwiami posła, któryby się niezawodnie obudził wskutek hałasu. Postanowił też czekać na nieznanego przeciwnika u dołu schodów. Wyszedł więc równie cicho, jak wszedł i przykucnął u dołu, na ostatnim stopniu. Cekał dość długo, ale cierpliwość jego została uwieńczona pomyślnym skutkiem. Uchylił poprzednio drzwi do ogrodu, wskutek czego ciemność nie była tak nieprzeniknioną jak poprzednio.

To też Arsen widział drobny cień o kształtach mglistych, spływający prostu ku niemu po schodach. Jednym susem rzucił się ku niemu, w pierwszej chwili ręce jego natrafiły na próżnię, potem objęły coś drobnego, miękkiego, piszczącego żałośnie. Zdumienie jego nie miało granic.

— Dziecko! — szepnął. — Malutkie dziecko. Cicho robaczku, cicho!

Nie wiele myśląc, zatkał buzię maleństwu chustką od nosa i pośpieszył wraz z niem do izdebki Wiktorji. Tam dopiero mógł przyjrzeć się dokładnie swej zdobyczy.

— Patrz, Wiktorjo! — rzekł do piastunki swej, która zbudziła się i siedząc na łóżku patrzyła na niego ze zdumieniem.

Postawił na fotelu dziecko. Był to mały chłopaczek, liczący zaledwie 6 lub 7 lat, o ślicznej, bladej twarzyczce.

— O! dla Boga, a gdzieżeś to wynalazł to śliczne maleństwo. Istny aniołek, a patrz, jakie to mądre, chce mu się płakać, a nie płacze.

Nerwowa twarz dziecka zdradzała istotnie olbrzymi wysiłek woli, by zapanować nad naturalnem w tem położeniu rozdrażnieniem.

— Nie bój się malutki, nie bój — mówiła Wiktorja, która już klęczała obok fotelu i starała się ośmielić malca. Ten pan nie zrobi ci nic złego, to dobry pan.

— Tak, tak — powtórzył za nią Arsen — nie bój się mnie, jak ci nie zrobię nic złego. Ale tamten, który śpi w swoim pokoju, to jest zły pan i onby cię mógł skrzywdzić, to też nie płacz, aby go nie zbudzić.

Dziecko spojrzało na niego wielkimi, szeroko rozwartemi oczyma. Oczy te mimo różnicy wyrazu uderzyły go odrazu szczególnem podobieństwem. Były to te same dziwne szaro-niebieskie oczy, ocienione czarnemi rzęsami, jakie miała tajemnicza kobieta, odwieczająca Daubrecq'a.

Nie ulegało wątpliwości, że bliskie pokrewieństwo łączyło ją ze ślicznem pacholęciem. Odkrycie to nie powstrzymało Arsena od wyzyskania swego triumfu. Obszukał malca od stóp do głów dla przekonania się, czy nie znalazł czego w sypialni Daubrecq'a. Rozgiął jego zaciśnięte piąstki, przeszukał małe kieszonki, zaglądnął za koszulkę — nie znalazł niczego. Nie zadawał pytań, bo był z góry pewien, że malec nic nie odpowie. Musiało to być dziecko nad wiek roztropne i nad wiek odważne. Ale podczas gdy oddawał się tym poszukiwaniom, na dole, u bram willi, wszczął się niepokojący hałas. Stukano do furtki ogrodowej. Ludzie jacyś próbowali przesadzić ogrodzenie, słysząc było jakiś głos kobiecy, tchnący śmiertelną trwogą. Nie tracąc przytomności, Arsen wychylił się przez okno i nakazał milczenie.

— Nie róbcie tam wrzawy, dziecko jest u mnie, nic mu się nie stanie.

— Co to za dziecko i z kim rozmawiasz? — spytała go Wiktorja.

— To dziecko? Wiesz, to herszt wrogów, mam nadzieję — nie moich, lecz posła Daubrecq'a — a ludzie ci, to jego podwładni. Tak, tak, to małe bobo, ma podwładnych, zorganizowaną bandę — całkiem jak ja. Cóż mały? Posłali cię do jaskini lwa, a ty się nie bałeś? I czegoż to szukałeś? Zapewne kryształowego korka, aleś go nie znalazł?

— Ale, ale — przypomniała sobie wtedy Wiktorja. — Z tym korkiem stało się właśnie tak, jakieś to przepowiedział. Gdy po rozstaniu z tobą powróciłam do domu, korek leżał spokojnie na dnie szuflady.

— Prosta rzecz, ten oto mały musiał go odnieść. Ma bo też wyborne sposoby otwierania sobie drzwi. Przenika przez ściany jak duch. No cóż maleńki, nie bój się, odniosę cię do mamusi.

— No a teraz trzymaj się mały, zrobimy ładny skok. Szukają cię tam na dole, pójdziemy do nich.

Mały nie mówił nic, ale się uśmiechał, nabrał widocznie zaufania. W minutę potem drabina sznurowa zawisała na oknie, poczem Arsen znalazł się na ulicy. Bez namysłu skoczył do samochodu stojącego przed domem. Był to tak zwany samochód-dorózka.

Rzucił szoferowi swój adres. Kilka ciemnych postaci zakotłowało na chodniku, jedna z nich poskoczyła do samochodu.

Samochód ruszył, a w pięć minut potem Arsen był już w swoim mieszkaniu. Dzieciak, którego rozwinął z powijaków, był jakby odrętwiały, jego mała twarzyczka skurczyła się boleśnie, a przecież nie płakał, nie wydawał nawet krzyków, jakby to zrobiło na jego miejscu każde inne dziecko.

— No płacz! płacz! maleńki, nie staraj się wstrzymać, to ci ulży.

Ale dzieciak, widząc się wolnym, uspokoił się wnet,

patrzył prawie wesoło na Arsena, a nawet zdobył się na słowa, pierwsze słowa, które wymówił od chwili swego ujęcia.

— Kiedy mnie pan wypuści?

— Ależ zaraz, natychmiast, twoja mama przyjdzie po ciebie, wszak to twoja mama? Dziecko wstrząsnęło przecząco głową.

— A więc może ciotka?

— Klarysa! A więc na imię jej Klarysa. Arsen powtórzył parę razy to imię, jakby powtarzanie jego zbliżało go do tajemniczej kobiety. Ona tu zaraz nadejdzie, czy słyszysz, dzwoni już. — Istotnie dzwonek zabrzmiał pociśnięty niecierpliwą ręką. Arsen poskoczył do przedpokoju, otworzył jej sam. Oświecił jasno jej twarz, odkręciwszy elektryczne światło. Nie starała się już ukrywać.

— Gdzie on? Oddaj mi go. Dlaczego porwałeś to dziecko?

— Jest całe i zdrowe w moim pokoju — objaśnił ją Arsen.

Odrzuciła go prawie i pobiegła prosto do jego sypialni, nie pytając o drogę.

Znała widocznie dokładnie rozkład pokoi.

Arsen postępował za nią. Rozumiał teraz wszystko prawie.

— Kobieta nie znajdowała się tu po raz pierwszy, ona to wykradła mu korek, a następnie list Gilberta.

Podczas gdy obsypywała pieśczołami odnalezionego braciszka, Arsen ukląkł na podłodze, oglądał stannienie drzwi, prowadzące do sypialni. Podważył nożem dolną deskę, odchyliła się natychmiast i okręciła na zawiasach.

— A więc to tak? Tędy przechodzono do mnie, a ja głupi nie domyślałem się tego wcale.

Powtórzył to samo doświadczenie dwukrotnie. Wszystkie drzwi jego mieszkania przerobione zostały w podobny sposób.

Był więc na łasce ludzi, którzy mogli wchodzić

do niego o każdej godzinie, choćby się na klucz zamykał. Jego to był system, który stosował dotąd względem innych. Nie przewidywał, by miał być kiedy użyty przeciw niemu.

Powrócił do sypialni, gdzie Klarysa obsypywała pieśczołami swego małego braciszka. Patrzył z utajonym wzruszeniem na uroczą grupę, jaką stanowili we dwoje, dziecko to i młoda kobieta, której piękna twarz straciła w tej chwili wyraz cechującej ją zwykle surowości. Lekkie rumieńce pokryły jej zwykle blade policzki, pięknie wykrojone wargi uśmiechały się do odnalezionego chłopczyka lub obsypywały pocałunkami wdzięczną jego główkę, pokrytą jasnymi kędziorkami. Arsen zatrzymał się w progu, nie chcąc im przeszkadzać ani tamować wylewów radości tajemniczej kobiety, niedawno tak mu dalekiej, a obecnie tak bliskiej. Miał ją w tej chwili w swej mocy, ale nie uczyni jej nic złego, jej, ani dziecku. O nie! Gotów jest przeciwnie wziąć ich pod opiekę; ale wpierw niech przemówią. Na Boga, niech przemówią. Dość już tych zagadek, tego bawienia się w ślepą babkę. Chciał nawet uczynić pierwszy krok, chciał przemówić do Klarysy i przyrzec jej, że odda się na jej usługi, gdy naraż zatrzymał się w pół drogi. Klarysa pieściła dziecko, ale oprócz tego szukała czegoś w jego kieszonkach. Arsen widział, jak delikatne jej palce przebiegały szybko po trykotowym kaftaniczku, obciskającym szczupłą pierś dziecka, zapuszczały się za kołnierz, pod koszulkę. Była to formalna rewizja osobista, dokonywana ze ścisłością, jakiej nie powstydzilby się urzędowy detektyw.

— Szuka kryształowego korka — uśmiechnął się Arsen. — Dziwna kobieta. Czy przypuszcza, że wypuściłbym z rąk chłopca, gdybym go już poprzednio sam nie obszukał? A może nie chodzi tu zgoła o korek. Może błądzę po omacku i jestem na fałszywej drodze... Cofnął się więc znów i ukryty w zagłębieniu drzwi, przypatrywał się uważnie swoim gościom.

— Czy tylko nie boli cię nic, mój mały Armandku? — pytała Klarysa.

— Nie, nie siostrzyczko — upewniał chłopiec, wstrząsając przecząco głową. — Ten pan nie zrobił mi nic złego. Wziął mnie tylko na plecy i skoczył wraz ze mną wysoko z okna. To było nawet bardzo zabawne. Klarysa uspokojona wyprostowała się, a przechyliwszy w tył piękną swą głowę, oparła ją o poręcz fotela. Arsen widział wtedy oczy jej lekko podkrążone, i poprzeczną zmarszczkę, przecinającą między brwiami białe czoło. Mimo tych oznak znękania wydała mu się dziś jeszcze piękniejszą. Bolesny wyraz, właściwy twarzom nawykłym do cierpienia, dodawał jej większego jeszcze uroku. Widząc ją tak smutną i tak zda się opuszczoną, przystąpił do niej, wiedziony instynktowną sympatją.

— Pani! — rzekł zcicha. — Nie wiem, jakie są twoje zamiary, ale sądzę, że potrzebujesz pomocy. Sama nie potrafisz wiele dokazać.

— Nie jestem sama — odparła krótko.

— Czy dlatego, że używasz do pomocy tego malca? — spytał Arsen, wskazując na małego Armanda, który zwyciężony znużeniem, usnął z głową opartą o kolana siostry.

— Cóż pan chcesz? — odparta gorzko. — To jest przynajmniej sprzymierzeniec, który nie zdradza. Zresztą niech się uczy wcześniej walczyć ze złym losem i złymi ludźmi.

— To bardzo pięknie — rzekł Arsen — ale gdyby kto inny, gdyby człowiek energiczny i wypróbowanej odwagi, ofiarował pani współdziałanie — czyżbyś je chciała odrzucić?

Kobieta wlepiła w niego swoje wymowne oczy, jakby go chciała nawskroś przeniknąć.

— Arsenie Lupin — rzekła powoli, wymawiając z naciskiem każde słowo. — Wiem dobrze, że od pewnego czasu stanął pan na mojej drodze. Wiem, że

nie mogę przedsięwziąć żadnego kroku, którego byś pan nie pokrzyżował.

— Ależ pan! — przerwał jej Lupin. — To ty stanęłaś od pewnego czasu na mojej drodze, to ja nie mogę przedsięwziąć żadnego kroku, którego byś pani nie pokrzyżowała. A jednak przed paru dniami w łóżę nie zdradziłaś mnie przed Daubrecq'em. A zresztą wiem...

— Co pan wiesz? — przerwała mu Klarysa, uśmiechając się blado. — Nic, lub prawie nic. Pocóż więc stajesz pomiędzy mną a posłem Daubrecq'em. Co komu na tem zależy? Jaki masz w tem cel?

— Pani go kocha? — zawołał gwałtownie Arsen. — Pani kocha tego człowieka.

Ale w twarzy Klarysy zaszła wtedy dziwna zmiana.

— Ha! ha! — zaśmiała się. — Kocham go tak, że gdybym mogła, zasztyletowałabym go własnymi rękoma i byłby to czyn szlachetny.

— Widziałem to — rzekł Arsen, przypomniawszy sobie scenę, dostrzeżoną przez okno. — Ale dlaczego pani go wtedy nie zabiła?

— Bo nie zdałoby się to na nic — odparła głucho Klarysa.

— Tak, tak — dodała po namyśle — ten człowiek mógłby się stać po śmierci szkodliwszym jeszcze, niż za życia.

Jakkolwiek zdanie to brzmiało dziwnie, nie było ono niespodzianką dla Arsena. Wszakże tak samo myśleć musiał margrabia Albufex, który złożył okup Daubrecq'owi, zamiast go zastrzelić. Klarysa tymczasem mówiła dalej.

— A zresztą, pomówmy otwarcie. Dosyć już tych półsłówek i niedomówień. Ja pierwsza dam przykład szczerości i opowiem panu część przynajmniej tajemnicy, która wiąże los mój z życiem posła Daubrecq'a. Człowiek ten posiada w mocy swej pewien przedmiot nieoszacowanej wartości. Nie znaczy to,

aby przedmiot ten był kosztownym sam przez się, ale znaczenie jego jest tak wielkie, iż daje Daubrecq'owi nieograniczoną prawie moc nad pewną grupą ludzi.

— Czy pani jest w ich liczbie? — spytał Arsen.

— Ja! — odrzekła Klarysa z nieokreślonym gestem. — Do niedawna jeszcze pragnęłam tylko zemsty. Mścić się chciałam nad człowiekiem, który zniszczył szczęście moje, uczynił mnie sierotą. Bo on jest mordercą, mimo, że nie zabija własną ręką. Rozumie pan przecie, że można zabijać ludzi zdradliwą potwarzą, intrygą, tysiącem licznych sposobów, gorszych niż sztylet i trucizna.

— Rozumiem — odparł Lupin, który przypomniawsobie scenę z margrabią Albufex. — Ale ten przedmiot? Mówiłaś pani, że on posiada jakiś przedmiot.

— Miałeś go pan dwa razy w rękę, a przynajmniej sądziłeś, że go masz. Ja go panu dwa razy odebrałam.

— Korek kryształowy?

— Tak jest.

— A więc to pani?

— Tak, to ja z pomocą Armanda. Wzięłam go panu pierwszy raz po rabunku willi Marji Teresy, drugi zaś raz przed paru dniami w ogrodzie Luksemburskim.

— Domyśliłem się tego, ale dlaczego? Skoro ten korek...

— Trzeba go było zwrócić, aby się Daubrecq nie spostrzegł. A zresztą to nie był ten, to nie był jeszcze ten.

— Mówimy wciąż zagadkami — przerwał jej Arsen. — Co znaczy ten korek kryształowy? Na czem polega jego tajemnicza moc? Czy nie zechcesz mi pani tego powiedzieć?

— Wpierw powiedz mi pan, dlaczego sam szukasz z taką zawziętością kryształowego korka. Jaki chcesz zrobić z niego użytek?

— Najpierw zaciekawia mnie on, jak każda tajemnica, a potem, spodziewam się, że dostawszy go w ręce, łatwiej przyjdę z pomocą swoim towarzyszom.

— Pańskim towarzyszom?

— Tym, którzy są uwięzieni. Musiała pani przecie o nich słyszeć. Gilbert i Vaucheray.

— Gilbert! — powtórzyła Klarysa, patrząc mu w oczy z nagłym niepokojem. — Gilbert.

— Pani go zna?

— Czy go znam? — zawołała gwałtownie. — Wpierw powiedz mi pan, co mu grozi?

— A cóż grozić może uwięzionemu pod zarzutem morderstwa bandycie — rzekł Arsen nie bez ironji. — Co najwyżej gilotyna.

— Ależ Gilbert nie jest bandytą, pan wiesz o tem najlepiej.

— To prawda, ale skądże pani możesz o tem wiedzieć? Pani przecie nie zna jego, ani mnie.

— Owszem, znam was obu. Znam cię już od dwóch lat, Arsenie Lupin. Od dwóch lat już życie moje splątało się z twojem, mimo, że pan o tem nie wiedziałeś.

Teraz Arsen spojrzał na nią z nagłą nieufnością. Kim była? Do czego zmierzała? Dlaczego odebrała mu dwa razy kryształowy korek, po to jedynie, by zwrócić go Daubrecq'owi. Czy nie było szaleństwem grać z nią w odkryte karty, zwierzać jej zamiary swe i tajemnice? A jednak, nie widział nigdy równie szlachetnej twarzy, równie smutnych, głębokich oczu.

Klarysa tymczasem powzięła nagle jakieś postanowienie. Usunęła delikatnie z kolan swych główkę uspionego dziecka, a ułożywszy je na łóżku Arsena, przeszła na drugi koniec pokoju, a usiadłszy na fotelu, wskazała Arsenowi miejsce naprzeciw siebie.

— Dobrze więc — rzekła. — Pomówimy teraz zupełnie szczerze.

LISTA DWUDZIESTU SIEDMIU.

Dziecko spało spokojnie i słyhać było zdaleka równy jego oddech. Klarysa sięgnęła po złoty medaljon, który nosiła na szyi a otworzywszy go, pokazała Arsenowi dwie miniatury. Jedna z nich była portretem starszego mężczyzny, o szlachetnych rysach i oczach, które przypominały uderzająco spojrzenie Klarysy, po drugiej rozpoznał Arsen ze zdziwieniem portret Gilberta, przybranego w mundur kateda marynarki.

— Zatem Gilbert? — spytał Lupin z lekkim odzieniem zazdrości.

— Jest moim bratem i starszych bratem Armanda.

— A drugi portret?

— To portret mego ojca, który zginął przed trzema laty. Ojcem moim był Wiktor hrabia de Mergy.

Nastało długie milczenie. Arsen pamiętał dobrze, ile rozgłosu miała w swoim czasie śmierć hrabiego de Mergy, który był posłem i członkiem izby. Odebrał on sobie życie przed trzema laty, w gmachu parlamentu, nie zostawiając żadnego listu, żadnego świstka, ani jednego słowa, wyjaśniającego powody tego rozpaczliwego kroku.

Wreszcie Lupin spytał.

— A czy zna pani przyczyny tego samobójstwa?

— Znam je — odparła Klarysa.

— Może z powodu Gilberta?

— O nie, to co innego.

Arsen Lupin nie potrzebował już zadawać dalszych pytań. Złamała się nagle pieczęć milczenia i tajemnicy. Klarysa de Mergy mówić zaczęła szybko, nieprzerwanie. Opowiadała stare, a zawsze nowe dzieje miłości i nienawiści. Była to, jak się już wprawdzie domyślał Arsen, historia zadawniona, splecione pasmo

uraz i niechęci, gniotące jarzmo zemsty za czyny dawno już popełnione.

— Słuchaj pan — mówiła hrabianka de Mergy. — Żyło niegdyś trzech młodych ludzi, złączonych węzłem ścisłej przyjaźni. Jednym z nich był ojciec mój, Wiktor de Mergy, drugim Maurycy Prasville, dzisiejszy dyrektor policji, trzecim zaś ten, który jest obecnie posłem Daubrecq'em. Wszyscy trzej w czasie pobytu swego w Nicei poznali moją matkę, która była wtedy młodą, piękną dziewczyną, skromnego pochodzenia, ale pełną szlachetności i wdzięku.

Nie będę zresztą nudzić pana drobiazgami, wspomnę tylko pokrótce ważniejsze fakta.

Od pierwszej chwili poznania ojciec mój pokochał matkę i pozyskał jej wzajemność. Na nieszczęście pokochał ją także Daubrecq. W dniu, w którym dowiedział się, że jest odrzuconym, wpadł w wściekłość.

Wtedy dopiero wystąpiła na jaw prawdziwa jego natura. Wpadł do małego saloniku, gdzie narzeczeni wymieniali pierścionki w obecności kilku bliższych przyjaciół, obrzucił ich obelgami, groził, zachowywał się tak brutalnie, że ojciec mój zmuszony był wyrzucić go za drzwi. Nazajutrz przysłał list pełen pogroźek, ziejący nienawiścią.

„Zemszczę się — pisał w nim — choćbym miał czekać lata całe. Posłyszycie jeszcze o mnie. Przyjdzie czas, że włóczyć się będziecie u nóg moich, błagając o łaskę, ale ja będę nieubłagany“.

Tu hrabianka de Mergy umilkła na chwilę.

— Cóż potem? — pytał Arsen Lupin.

— Daubrecq znikł gdzieś i rodzice moi nie słyszeli o nim przez całe lata, a tylko...

— Tylko co?

— Maurycy Prasville potępiał oczywiście dzikie urosczenie Daubrecq'a i zachował przyjaźń memu ojcu. Był nawet świadkiem jego w czasie ślubu. Otrzymał wówczas także list z pogroźkami. W kilka lat potem pokochał pewną śpiewaczkę i chciał ją poślu-

bić. W dniu jednak, w którym ogłoszono ich zaręczyny, znaleziono młodą kobietę zaduszoną we własnym mieszkaniu. Ślady wszelkie były zatarte, niepodobna było dojść, kto ją zamordował, ale zarówno rodzice nasi, jak Prasville, byli przekonani, że jest w tem ręka Daubrecq'a.

Ja oczywiście nie wiedziałam o tem wszystkiem. Rosłam szczęśliwie w domu rodzicielskim, aż dopiero przed pięcioma laty...

— Na dwa lata przed samobójstwem pana de Mergy?

— Tak jest. Na dwa lata przed samobójstwem mego ojca wypłynął na powierzchnię Daubrecq.

— Czy zgłosił się do państwa?

— Nie, przynajmniej nic o tem nie wiem. Matka moja na szczęście już nie żyła. Za to ojciec mój...

— Czy groził ojcu pani ten dawny przyjaciel? Czy mu w czem zaszkodził?

Klarysa milczała przez chwilę, zdawała się walczyć coś w umyśle.

— Niema innego sposobu — rzekła wreszcie — muszę panu wszystko powiedzieć. Jestem istotnie tak samotna, nie mam nikogo, na kim mogłabym polegać — zwłaszcza, odkąd Gilbert jest w więzieniu.

On nie nazywa się Gilbertem. Imię jego jest Julian hrabia de Mergy. Na szczęście udało mu się utaić je przed władzą. Nikt prócz mnie i Daubrecq'a nie zna prawdziwego jego nazwiska. Pomyśl pan tylko, co to znaczy dzielić taką tajemnicę z Daubrecq'em.

— Znaczy to być zdany na jego łaskę. Ale nie skończyła pani jeszcze bolesnego swego opowiadania — zatem ojciec pani?

— W dwóch słowach panu rzecz wyjaśnię. Słyszałeś pan z pewnością o słynnej liście dwudziestu siedmiu.

— Lista dwudziestu siedmiu! — powtórzył jak echo Arsen Lupin. — Lista dwudziestu siedmiu. Rzecz prosta, że słyszał o niej. Sam nawet chciał

zdobyć ją dla siebie. Nie, raczej dla Francji. Lista dwudziestu siedmiu była to zmora, która ciążyła nad krajem, fatalny dokument hańby, który należało zniszczyć, by nie zniesławiał dalej imienia francuskiego.

— Otóż słuchaj pan, na tej fatalnej liście znajduje się nazwisko mego ojca. Ale — dodała po chwili z mocą — przysięgam panu, że stało się to bez winy mego ojca. Został haniebnie oszukany i w błąd wprowadzony.

— Przez kogo?

— Przez Daubrecq'a oczywiście. Pamięta pan nieśczęsną sprawę kanału Panamskiego. Zna pan zapewne historję tego olbrzymiego skandalu, który zrujnował byt tylu uczciwych rodzin. Ojciec mój należał do zarządu tego przedsięwzięcia — w najlepszej wierze oczywiście. Chciał tylko dobra Francji i pracował dla tej sprawy zupełnie bezinteresownie. Rozumiesz pan, mój ojciec nie wziął ani grosza za swój trud.

— Jakimże więc sposobem dostał się na listę dwudziestu siedmiu?

Arsen czuł, że pytanie to jest prawie okrutne, ale chciał zgłębić sprawę do gruntu, chciał wiedzieć wszystko.

— Daubrecq zgłosił się wówczas do mego ojca. Udawał skruszonego, przejednanego. Prosił o jakąś zaliczkę, ofiarując swoje usługi w robotach przy kanale. Wszystko to było komedją. Daubrecq wiedział już wtedy, jaki obrót bierze sprawa kanału. Był sekretarzem kasjera. Znał nazwiska tych, którzy dali się przekupić. Fatalna lista tworzyła się właśnie wtedy. Kasjer komisji, przeczuwając co się święci, zapisywał nazwiska wszystkich tych, którzy się dali przekupić i kwoty, które brali. Mój ojciec nie wiedział o niczem. Ale gdy poprosił o zaliczkę dla swego protegowanego, dano mu chętnie 15.000 franków, z warunkiem, by je wziął pod swoim imieniem.

— 15.000 franków — przerwał jej Arsen — ależ to farsa. Tamci brali miliony. Ta cyfra jest najlepszym świadectwem na korzyść ojca pani. Nikt przecie nie uwierzy, aby się dał przekupić za 15.000 franków.

— Cóż stąd! — odparła Klarysa — cóż stąd.

Nazwisko nasze jest bądź co bądź na liście, a lista jest w ręku Daubrecq'a.

— Rozumiem teraz wszystko — rzekł Arsen. — Zatem margrabia Albufex musi być także na tej liście. Na tej liście znajdować się mają nazwiska ludzi wysoko położonych. To też, gdy dowiedziano się, że lista jest w ręku Daubrecq'a, próbowano układać się z nim.

— Układać? Cóż znowu. Należało go poprostu aresztować.

— Na cóżby się to zdało. Ukrył on przecież listę w bezpiecznym miejscu i grozi otwarcie, że w razie jego śmierci, depozyt ten przejdzie w ręce ludzi opozycji, którzy potrafią już zrobić z niej użytek.

Byłby to skandal, olbrzymi skandal, a kto wie, jak znaczące osobistości pogrążyłby w ruinę.

To też zostawiono Daubrecq'a na wolności, ale każdy krok jego jest śledzony. Dotąd jednak nie udało się nikomu wpaść na najlżejszy nawet trop i nikt nie wie, gdzie się znajduje fatalna lista. Szuka jej rząd, policja, najsłynniejsi detektywi. Każdy zakątek mieszkania Daubrecq'a ulega perjodycznej rewizji. Otacza go gromada szpiegów, służba jego jest przekupiona.

— A on drwi sobie ze wszystkich — zauważył Arsen — który nie mógł się oprzeć uczuciu podziwu dla tego człowieka. Tak, to był godny niego przeciwnik, a przytem lista dwudziestu siedmiu, o której posiadaniu marzył już dawno.

— Szukają więc wszyscy — mówiła dalej Klarysa. W ostatnich czasach pan także rozpocząłeś po-

szukiwania, ale prowadziłeś je na oślep i daruj pan, ale przeszkadzałeś tylko innym, a zwłaszcza mnie.

— Pani? A więc działa pani na własną rękę?

Nie jesteś w porozumieniu z policją?

— Tak i nie — odpowiedziała Klarysa. — Policja nie obchodzi mnie sama przez się — ale dyrektor policji, Maurycy Prasville jest dawnym przyjacielem moich rodziców i zaciekłym wrogiem Daubrecq'a. A czy pan wie, że jeśli mianowano go dyrektorem policji, to zrobiono to jedynie z powodu tej jego nienawiści? Prasville i ja mamy jednakie pobudki. On pomścić chce śmierć ukochanej kobiety, ja śmierć ojca. Bo domyślasz się pan zapewne, że jeśli ojciec mój odebrał sobie życie...

— Tak, tak, rozumiem — odpowiedział Arsen — Daubrecq groził zapewne, szantażem, obiecywał skandal.

— Przyszedł pewnego dnia do Izby posłów, wywołał mego ojca, zażądał od niego znacznej kwoty. Ojciec mój uległ, oddał mu wszystko prawie, co posiadał. Ale za drugim razem stracił cierpliwość i zastrzelił się.

— Ależ to niedorzeczne! — zawołał Arsen. — Wszak dla ogłoszenia bodaj jednego nazwiska musiałby Daubrecq okazać komu należy całą listę. Wywołałoby to wprawdzie olbrzymi skandal, ale pozbawiłoby go za jednym zamachem olbrzymich zysków, jakie ciągnie z tego papieru.

— To prawda, ale on ma inne jeszcze dowody.

— Skądże pani wie o tem?

— Od niego samego, od Daubrecq'a. W kilka dni po śmierci mego ojca przyszedł do mnie.

— I pani go przyjęła?

— Musiałam. Ojciec mój zginął, ale dobra sława jego była niedotknięta. Nikt nie znał powodów jego śmierci. W obronie honoru ojca mego, zgodziłam się na pierwszą schadzkę z Daubrecq'em.

— Pierwszą? ale potem nastąpiły inne.

— Och bardzo wiele. Widywaliśmy się w mojem i jego mieszkaniu, w teatrze, w jego willi Marja Teresa. Bo nie wie pan zapewne, że ten człowiek...

— Wiem, wiem — przerwał Lupin — on panią kocha...

— Tak, tak — powtórzyła Klarysa zmienionym głosem — on kocha mnie i to jest dla mnie narzędzie zemsty. Oświecił mnie o tem przedśmiertny list mego ojca. Żądał od niego mojej ręki — a biedny mój ojciec wolał targnąć się na własne życie, niż zrobić mi tak haniebną propozycję. Ale po śmierci jego zrozumiałam, że ta jego nieszczęsna miłość daje mi w rękę broń. Dlatego zezwoliłam na odwiedziny jego i bywam niekiedy w jego domu. O! szczególne są te nasze schadzki. Nie gram przed nim komedji, nie taję mojej nienawiści, ale to właśnie cieszy go najbardziej. Cieszy go to, że mimo wstrętu i odrazy zmuszona jestem obcować z nim — i obiecuje sobie, że prędzej czy później zgodzę się na jawne z nim małżeństwo.

— Zapłacisz mi za swoją matkę — mówił do mnie. — Piękniejsza jesteś od niej i nie żał mi doprawdy, że czekał 25 lat na swoją godzinę.

— Cóż pani na to?

— Nie taję wcale przed nim, że się nim brzydzę, że nim pogardzam, i że nie zostanę nigdy jego żoną. On zaś twierdzi, że nie ma zamiaru mnie zmuszać, lecz że przyjdzie czas, gdy sama błagać go będę, by raczył mi dać swoje nazwisko. Takie są nasze miłosne rozmowy.

— I pani to znosi? — i naraża się ciągle na obcowanie z tym podłym człowiekiem? Czy nie lepiej byłoby uciec od niego?

— O nie, ja mam w tem swój cel — zemstę! Mówiłam już panu, że się chcę mścić — za ojca mego, za siebie, za brata mego, bo i on także... Mój plan jest prosty.

Muszę mu wydrzeć jego tajemnicę. Muszę odebrać

mu tę przeklętą listę, która zrobiła go tak potężnym. Muszę widzieć upokorzenie jego, rozpacz, łzy.

— Jego śmierć? — dokończył za nią Arsen.

— O nie, to byłaby za łagodna kara dla takiego jak on potwora.

— Ależ on domyślać się musi pani zamiarów.

— Oczywiście, wie dobrze, że pragnę odszukać listę, że śledzę każdy krok jego, każde słowo.

— Musi być jednak bardzo pewny siebie — zauważył Lupin.

— A jednak — rzekła Klarysa z nagłym ożywieniem — zdaje mi się, że wpadłam już na ślad.

— Kryształowy korek? — zapytał Arsen.

— Tak jest — a przynajmniej kryształowy jakiś przedmiot. Pewnego dnia wpadł mi w ręce w jego willi, urywek listu od jednej z hutniczych firm angielskich. W liście tym donoszono mu co następuje:

„Stosownie do życzenia pana kryształ wydmuchanym zostanie w ten sposób, że powstanie w nim próżnia niewidzialna dla oka”.

— Kryształ? Ależ to nie znaczy jeszcze, aby to miał być korek. Wszak byłaby to za szczupła kryjówka dla pomieszczenia papieru.

— Kryjówka to najzupełniej wystarczająca — rzekła z całą stanowczością Klarysa.

— Skąd pani o tem wie? Skoro nie widziałaś pani nigdy oryginału listy.

— Mówił mi o niej Maurycy Prasville, dyrektor policji.

— A czy Prasville wie także, kim jest Gilbert? czy zna go jako brata pani?

— Nie, nie, na nieszczęście nie. Nikt prócz mnie nie może o tem wiedzieć. Gilbert dzieckiem prawie, wstąpił do marynarki i od lat całych nie był w kraju.

— A czy dotąd służy jeszcze w marynarce?

— O tak, tam przypuszczają, że jest na dłuższym urlopie. Powinien jednak powrócić jak najrychlej, co też uczyni, skoro go tylko wypuszczą z więzienia.

Arsen spojrzał na Klarysę z odcieniem politowania. Zdawała się przypuszczać, że oswobodzenie Gilberta będzie rzeczą łatwą. Tymczasem po tem, co usłyszał z jej ust, Arsen drżał więcej niż pierwaj o życie Gilberta.

Bo jeśli Daubrecq domyśla się tajemnicy lub odkryje ją w przyszłości, to nie omieszka skorzystać z niej dla zdobycia kobiety, która zawładnęła widocznie jego zmysłami. Klarysa będzie musiała zostać jego żoną, lub patrzeć będzie na długie więzienie, a może nawet na śmierć ukochanego brata.

Nie chciał jednak dzielić z nią swych przypuszczeń, aby jej zbyt nie przerażać.

— Wróćmy do listy — rzekł. — Opisz mi pani proszę ten dokument, jak będziesz mogła najdokładniej.

— Jest ona spisana na wąskim pasku papieru niezmiernie cienkiego, ale też i bardzo trwałego, jaki wyrabiają umyślnie dla ministerjum. Taki pasek papierowy, zwinięty w rulon, zmieścić się może w bardzo szczupłej przestrzeni. A zresztą mamy bliższe dowody, Prasville i ja. Jeździłam do fabryki angielskiej, w której Daubrecq zamówił cały szereg flakonów mniejszych i większych, których korki są puste w środku. Obmyślił sam model bardzo zresztą dowcipnie. Korki te stanowią jakby małe flaszeczki, których górna część wchodzi w dolną, przystając do niej szczelnie, ale może też być wyjęta. Tam właśnie ukrytą być musi lista.

Ale sam pan rozumiesz, że skoro liczba flakonów zaopatrzonych w takie korki jest dość znaczna, skoro jest ich kilka, kilkanaście, a może kilkadziesiąt, trudno jest niezmiernie odnaleźć ten mianowicie, o który nam chodzi.

— Tak, tak — powtórzył Arsen — Daubrecq może mnożyć w nieskończoność swoje korki. Jest to istotnie bardzo dowcipny pomysł.

Noc upłynęła, zanim Klarysa ukończyła swoje

zwierzenia. Arsen pierwszy zwrócił jej uwagę, że powinna powrócić do domu.

— Jesteśmy od dziś sprzymierzeńcami, nieprawdaż? Ale nikt nie powinien o tem wiedzieć, nawet Prasville.

— Oczywiście. Mógłby się wówczas dowiedzieć, kim jest Gilbert.

— Ale, ale! Czy to pani nakłoniłaś Gilberta, by wstąpił do mojej bandy?

— O nie! — zaprzeczyła żywo hrabianka de Mergy — on sam wpadł na ten szalony pomysł. Rozumiesz pan przecie, że nie mogłam go nakłaniać do... — Tu urwała, a twarz jej pokryła się rumieńcem.

— O niech się pani nie krępuje, niech pani powie wszystko. Rozumiem przecie sam, że nie mogła pani pragnąć, by brat jej został bandytą. Ja sam zresztą powtarzałem mu zawsze, że nie jest stworzonym do tego rzemiosła.

— Ach, panie! — rzekła na to hrabianka. — Mój brat pokochał pana szczerze. Z początku byłam na niego oburzona, odradzałam mu, groziłam, — on jednak powtarzał mi wciąż, że nie widzi innego sposobu odnalezienia listy, której wszystkie organa policyjne szukają nadaremno. Że tylko przy panu przejść może prawdziwą szkołę odwagi i roztropności.

— A jednak nie zwierzył mi się z prawdziwych swych zamiarów.

— Ja mu to usilnie odradzałam.

— I dlaczego? — pytał Arsen — dlaczego? Skoro raz chciał działać pod moją firmą, powinien mi być całkowicie zaufać.

— Wybacz pan — odrzekła Klarysa, dobierając ostrożnie wyrazów, by nie urazić drażliwości Arsena. — Jesteś pan człowiekiem ambitnym. Posiadanie listy dwudziestu siedmiu dać może temu, który ją potrafi wyzyskać, tak wielki, tak wszechwładny wpływ, że lękałem się, iż pan ulegnie pokusie.

— Fatalny błąd, który się na pani pomścił. Złe

mnie oceniłaś, hrabianko de Mergy. Nie jestem takim nikczemnikiem, jak Daubrecq. Nie wyzyskałbym tego dokumentu dla wyłudzenia pieniędzy od ludzi, wy-ciskania z nich ostatniego grosza. Co najwyżej usunąłbym kilku ludzi stojących u steru rządu. Pani przecie rozumie, że ci, co umaczali ręce w brudnej sprawie kanału Panamskiego, nie powinni rządzić Francją. Chodzi tu o honor naszego kraju.

— Co do mnie — odrzekła Klarysa — zniszczyłabym tylko fatalną listę, nie robiąc z niej innego użytku. Dość już chyba sprawiła nieszczęść, dość krwi przelało się z jej przyczyny. A zresztą, chodzi mi głównie o oczyszczenie naszego nazwiska. Chcę, aby Gilbert mógł żyć swobodnie i patrzył ludziom śmiało w oczy. A i ten mały — dodała, wskazując na śpiącego Armanda — on także dorośnie wkrótce. Już dziś ambitny jest i nad wiek drażliwy. Nie potrafiłby żyć pod brzemieniem hańby. Ale dość już tego, muszę pożegnać pana. Muszę powrócić do siebie, zebrać myśli. Pan odwiedziś mnie dziś wieczorem i naradzimy się wspólnie. — Mówiąc to wyjęła z eleganckiej torebki swą kartę wizytową, zaopatrzoną w hrabiowską koronę.

— Oto mój adres — rzekła, podając ją Arsenowi. „Klarysa hrabianka de Mergy, ulica St. Germain, pałacyk Mergy.” — Przeczytawszy ten arystokratyczny adres, Arsen zadzwonił na służącego.

— Weźmiesz to dziecko — rzekł do wchodzącego Achillesa — i zaniesiesz je do samochodu. Powiedz wpierw szoferowi Le Balu, aby był gotów. — Usłyszawszy to nazwisko, Klarysa uśmiechnęła się.

— Le Balu? — rzekła. — Czy kontent pan jesteś z jego usług?

— Wyborny z niego szofer. Przekonany jestem, że żaden z mieszkańców arystokratycznej dzielnicy St. Germain nie posiada lepszego.

— Zawdzięczasz go pan Gilbertowi. On wraz

z kilku jeszcze dawnymi służącymi mego ojca przeszedł do pańskiej bandy dla wspierania mego brata.

— Wszystko to są dzielni ludzie. Teraz rozumiem, dlaczego pani mówiła przed chwilą, że nie czujesz się samotną. Szkoda jednak tyle czasu na próżno straconego.

Z temi słowami rozstali się. Klarysa de Mergy, otulona swą koronkową chusteczką, opuściła mieszkanie Arsena, który długo jeszcze nie mógł ochłonać z wrażenia, jakie wywarła na nim ta szczególna wizyta. Majaczyła mu przed oczyma wytworna sylwetka smukłej, czarnowłosej dziewczyny, która walczyła z taką odwagą o honor swego imienia.

— Trzymaj się, Arsenie Lupin — upominał się w duchu. — Ta śliczna hrabianka zajmuje cię nietylko z powodu swych nieszczęść i szlachetnej dumy. A więc ona jest siostrą Gilberta. Jakże dziwnie układają się nasze losy. I ten potwór Daubrecq śmie sięgać po jej rękę! Ho! panie pośle, nie dostaniesz jej, nie! dopóki Arsen Lupin włada temi oto pięściami i dokąd mózg genialnego włamywacza zdoła knuć nowe fortele. A przytem lista ta słynna, lista dwudziestu siedmiu. Muszę ją odkryć wraz z kryształowym korkiem czy bez niego.

ROZDZIAŁ VI.

KARA ŚMIERCI.

Tegoż dnia, wieczorem, Lupin otrzymał od Klarysy de Mergy nagłący bilecik. Był to krzyk rozpaczy, błagalne wołanie o ratunek. „On wie wszystko, pisała Klarysa, wie, że Gilbert jest moim bratem. Był u mnie dziś, wypowiedział straszne groźby. Miecz kata zawieszony jest nad głową Gilberta, lub też... Pan wie, jaką cenę nakłada za jego ocalenie. Nie mo-

gę walczyć dłużej, sił mi braknie." Tegoż dnia jeszcze, mimo spóźnionej pory, Arsen dzwonił do mieszkania Daubrecq'a i polecił mu wręczyć swoją kartę. Nikt z najbliższych przyjaciół nie poznałby go w nowym przebraniu, jakie sobie obmyślił.

Pod wpływem rozmowy z Klarysą uwaga jego zwróciła się w stronę arystokratycznej dzielnicy, w której mieszkała hrabianka; to podsunęło mu pomysł wzięcia na siebie postaci jednego z najsławniejszych lekarzy paryskich, cieszącego się wyjątkową wziętością w kołach stołecznej magnaterji.

Metamorfoza ta udała mu się znakomicie i gdyby modny Eskulap, pod którego osobę się podszywał, spotkał go niespodzianie, zatrzymałby się zapewne przed nim, jak przed własnem *fac simile*, odbitem w zwierciadle. Nie zapomniał żadnego szczegółu. Laska, złote binokle, łyse czoło, okolone rzadkimi siwiejącymi włosami, nos zaopatrzony w charakterystyczny garbek, wszystko to składało się na wybornie skopjowaną całość. Był też zupełnie pewny, że Daubrecq go nie pozna, mimo niedawnej walki, którą stoczyli z sobą łoży.

Pierwszym jego triumfem było wprowadzenie w błąd Wiktorji, która mu drzwi otworzyła. Wzięła z rąk jego bilet wizytowy, jak od człowieka obcego i poszła go zameldować Daubrecq'owi. Wiktorja wprowadziła go następnie do gabinetu, prosząc, by zatrzymał się tu chwilę, zanim pan jej skończy obiad. Korzystając z tej chwili samotności, Arsen przypatrywać się począł chciwie szczegółom urządzenia i drobiazgom rozrzuconym na biurku.

W uszach brzmiały mu słowa pierwszego listu Daubrecq'a do dyrektora policji. „Miałeś ją pod ręką, pisał wówczas, a przecież nie znalazłeś jej." Arsen, który miał doskonałą pamięć wzrokową, zauważył odrazu, że wszystko stoi tu w tem samym miejscu, co za pierwszą jego bytnością. Daubrecq był widocznie pedantem i rutynistą i nie lubił zmieniać raz zaprowa-

dzanego porządku. Każdy przedmiot drażnił tu ciekawość Arsena, w każdym ukrywać się mogła lista dwudziestu siedmiu.

Wreszcie Daubrecq wszedł, trzymając w ręku kartę, na której Arsen nakreślił nazwisko słynnego lekarza.

— Doktor Wernes? — spytał go, wskazując mu miejsce naprzeciw fotelu, na którym sam usiadł.

— Tak jest — odparł Arsen, naśladowując wybornie mowę słynnego eskulapa.

— I przychodzi pan od hrabianki de Mergy — czy zasłała?

— Hrabianka de Mergy zażyła truciznę — odparł Arsen.

Słowa te spadły jak grom na czcigodnego posła. Skoczył na równe nogi, a apoplektyczna twarz jego stała się ze szkarłatnej bladą i z bladej szkarłatną.

— Zażyła truciznę, mówisz pan i może, może już umarła — dodał niedosłyszalnym prawie głosem, jakby się sam lękał złowrogo brzmiących słów, które wypowiadał. Arsen nie śpieszył z odpowiedzią, przeczekał tyle, ile było koniecznem dla wyzyskania wrażenia, wywołanego tą zmyśloną wiadomością.

— Zażyła za małą dawkę — rzekł po chwili — zarządziłem już wszystko co było koniecznem i o ile nie zajdą nieprzewidziane komplikacje, hrabianka zostanie zapewne przy życiu.

Daubrecq odsapnął ciężko, a potem wpatrzył się w twarz swego gościa.

— Jakie on ma dziwne oczy — pomyślał Arsen, który pierwszy raz miał sposobność przyjrzeć się im dokładnie. Zwykle widywał Daubrecq'a noszącego na nosie okulary lub binokle, często nawet ciemne szkła, dziś pod wpływem wzruszenia, słysząc o targnięciu się na własne życie hrabianki de Mergy, pan poseł zdjął instynktownie okulary i przecierał je chustką, odsłoniwszy oczy swe, dziwnego, nieokreślonego koloru, okrażone czerwonymi obwódkami. Po chwili

Daubrecq odzyskał zimną krew, a przysłoniwszy znów oczy okularami, przybrał zwykły swój nieprzenikniony wyraz.

— Zatem hrabianka de Mergy jest ocalona. Cieszy mię to, chociaż nie rozumiem, dlaczego przyszedłeś pan do mnie z tą wiadomością. Nie mam zaszczytu być krewnym tej damy, ani jej przyjacielem. Znamy się bardzo mało.

Na to Lupin mówić zaczął z przybraną dobroduszością człowieka światowego, który wie, że ma przed sobą kwestję drażliwą, lecz zmuszony jest ją poruszyć.

— Mój Boże! Panie pośle. My lekarze stajemy się często wbrew naszej woli powiernikami dziwnych tajemnic, ukrytych dramatów. Panna de Mergy, widząc się ocaloną, sięgnęła po raz drugi po truciznę. Na szczęście wyrwałem jej z rąk flaszeczkę z morfiną. Musiałem się prawie z nią mocować. Wołała przytem w przystępie rozpacz — „To on jest sprawcą, Daubrecq. Jeśli mi nie wróci mego brata, zabiję się jeszcze tej nocy. Nie potrafię żyć dłużej w tak śmiertelnej trwodze.”

Nie chciała tłumaczyć się jaśniej. Nie wiem oczywiście co zagraża jej bratu, ale znając pańskie wpływy, stosunki, odgaduję, że odmówiłeś pan temu młodemu człowiekowi swojej protekcji w sprawie rozpaczliwej. Może się zresztą mylę. Przyszedłem jednak powtórzyć panu słowa pięknej mej pacjentki, słowa, które uchyliły przedemną rąbek nieznanego mi bliżej nieszczęścia czy niepodobieństwa.

— Słowem chcesz pan doktorze wzbudzić moje współczucie dla brata panny de Mergy?

— Tak jest.

Nastała chwila kłopotliwego milczenia. Lupin dawał sobie pytanie, jak dalece udała mu się zamierzona mistyfikacja i czy potrafił zaniepokoić przeciwnika groźbą tego samobójstwa.

— Pozwoli pan — rzekł wreszcie Daubrecq — że

skomunikuję się telefonicznie z jednym z moich przyjaciół. Wzruszyłeś mię pan nad wyraz swoim opowiadaniem i postaram się usłużyć panu w miarę możliwości. — Rzekłszy to pan poseł, zasiadł przy aparacie.

— Hallo! — zawołał. — Proszę mnie połączyć z numerem 822, 19.

Arsen uśmiechnął się.

— Prefektura policji? — rzekł. — Nieprawdaż? Biuro sekretarza generalnego.

— Istotnie. Jak widzę znasz pan ten adres.

— Jako lekarz miałem parę razy sposobność znośić się z policją.

— Doprawdy? A więc posłuchaj pan, co będę mówił. Nie mam przed panem tajemnic.

— Hallo! — zaczął Daubrecq — poseł Daubrecq. Proszę uprzedzić pana Maurycego Prasville. Co? Niema czasu. Sprawa pierwszorzędnej wagi, ważne doniesienie. A! jesteś wreszcie. Dobry wieczór. Nie widziałem cię dawno, ale w gruncie, myślimy wciąż o sobie i nie dziw, tacy starzy przyjaciele.

— Co? Nie chcesz słuchać, boisz się, bym ci nie wypłatał jakiego figla? Nie udawaj mędrszego niż jesteś. A zresztą i mnie pilno.

— Posłuchaj, dam ci wspaniałą okazję zdobycia sławy, za którą gonisz napróżno.

Lista? O nie. Tej nie zobaczysz nigdy, ale za to proponuję ci inny kasek. Wybierz co lepszych zuchów wśród twych ludzi. Każ im skoczyć do najlepszego samochodu i niech gonią tu do mnie, co najrychlej, a dopadną grubego zwierza. Ani się spodziewasz: Arsena Lupin we własnej osobie. — Słyszac to, Lupin skoczył na równe nogi. Spodziewał się wszystkiego, prócz tego. A więc on wie i to może nie od dziś. W pierwszej chwili rzucić się chciał na posła i chwycić go za gardło, jak niegdyś w teatrze, ale wnet wziął górę nad gniewem bulwarowy humor, właściwy Paryżanom.

— Brawo! brawo! — zawołał, klaszcząc w dłonie. — Jesteś pan może kanalcją, ale sprytną kanalcją.

Daubrecq wydał z siebie rodzaj gulgotania, które mogło uchodzić za śmiech.

— Czekaj pan, jeszcze nie koniec. Ten półgłówek Prasville, gotów mi nie wierzyć. Mój przyjacielu, nie trać okazji, Arsen Lupin siedzi u mnie w moim gabinecie. Możesz też zabrać po drodze piastunkę jego, sławną Wiktorję, która prowadzi mi gospodarstwo od miesiąca.

— Co? I to wiedział — zaklął Lupin. Gniew kipiał w nim. Jedyne wyjściem, które mogłoby go teraz zadowolnić, było uduszenie własnymi rękoma tego człowieka, co upokarzał go już po raz drugi i odniósł nad nim zwycięstwo.

— A! i jeszcze jedno — mówił dalej Daubrecq. — Może chcesz znać bliżej Adres Arsena Lupin. Podam ci go natychmiast: róg ulicy Chateaubrianda, tam osiadł obecnie król włamywaczy pod przybranem nazwiskiem Michała Beaumont.

Arsen słuchał tych wynurzeń, trawiony bezsilnym gniewem. Daubrecq zakręcił aparat i odwrócił do niego swoją czerwoną apoplektyczną twarz, okoloną rudym zarostem. Śmiał się do rozpuku, odsłaniając zdrowe silne zęby.

— Ha! ha! Arsen Lupin, schwytany jak żak na gorącym uczynku głupoty i nieuctwa. Cóż to? Myślałeś może, że ponieważ używam okularów, jestem już przez to ślepym? Co prawda dziś dopiero stwierdziłem twoją tożsamość. Ha, ha! zachciało ci się udawać arystokratycznego lekarza. Spójrz na ręce swoje, zauważyłem tę bliznę już wtedy, gdyśmy się zmagali w teatrze. — Arsen zaklął.

— Do pioruna! Czemuż nie włożyłem rękawiczek. — Miał istotnie na lewej ręce szramę pozostałą po dawnym skaleczeniu. Daubrecq zaś mówił dalej:

— No! oczywiście nie twierdzę, abym odgadł cię od pierwszego wejrzenia. Wiedziałem tylko, że od

pewnego czasu, ktoś nowy wszedł w moje życie. Wiedziałem, że prócz policji i panny de Mergy, ktoś jeszcze szuka słynnej listy 27-miu. Długo nie wpadłem na żaden trop. Nie przewidziałem, że słynny Arsen Lupin zląkomił się także na ten historyczny łup. Lupin! Gdy pomyślę, że są ludzie, którzy nazywają cię genialnym.

Arsen ochłonał. Pozwolił sztydzić z siebie swemu przeciwnikowi, a sam rozważał położenie. Był pewien, że Prasville nie każe go tu aresztować, natomiast posła zapewne kogoś na ulicę Chateaubrianda, dla przekonania się, czy adres podany przez Daubrecq'a jest prawdziwy. To też z doskonałą flegmą i zupełnym spokojem ruchu, przystąpił do telefonu i kazał połączyć się ze swym mieszkaniem.

— To ty, Achillesie! — telefonował do swego sługęcego. — Dobrze. Uważaj, co ci powiem. Policja będzie u nas za jakie 15 minut. Tylko spokojnie, mamy czas — nie potrzebujesz śpieszyć się. Pójdiesz do mego pokoju, staniesz naprzeciw kominka i przycisniesz mocno palcem rzeźbiony wycisk po lewej stronie. Otworzysz kryjówkę i wyjmiesz z niej dwie hebanowe kasetki. To jedyna rzecz, która ma wartość. Włożysz obie te skrzyneczki do mej torby podróźnej i wyjdiesz pieszo na ulicę. Reszty nie potrzebuję ci dodawać. Udasz się tam, gdzie chronimy się zwykle w takich wypadkach. Nie potrzebujesz się troszczyć o rzeczy i sprzęty, które sprawią tylko kłopot policji. Zrozumiałeś? — Dobrze, bywaj zdrów. — Rzekłszy to, zakręcił telefon, a potem rzucił się nagle na Daubrecq'a i ubezwładnił go, przytrzymując go silnie obiema rękami.

— Nie bój się — rzekł. — Nie zrobię ci nic złego.

— Ho, ho! Zaczynamy się więc tykać — mruknął Daubrecq, który jednak nie czuł się dobrze w tym żelaznym uścisku.

— I owszem — upoważniam cię do tego. A teraz słuchaj, pomówimy z sobą krótko ale dobitnie. Zosta-

wiam ci nawet swobodę ruchów. Wiem, że nie masz przy sobie pistoletu, bo strzeliłbyś już dawno. Co do mnie, jestem uzbrojony. — Tu błysnął mu przed oczy lufą rewolweru.

— A teraz słuchaj. Gilbert, mój młody wspólnik...

— Mów raczej Julian hrabia de Mergy — rzekł szyderczo Daubrecq.

— Zatem wiesz — odparł spokojnie Arsen — dla mnie jest rzeczą obojętną jego ród hrabiowski, ale uratować go muszę, bo jest człowiekiem mojej bandy. a w dodatku moim przyjacielem.

— Co za zaszczyt! — zaśmiał się Daubrecq.

— Zaprzestań głupich uwag, których zresztą sam nie bierzesz poważnie. Wiesz przecie, że wątpliwszym jeszcze zaszczytem jest być twoim przyjacielem. Zresztą taki człowiek, jak ty, nie ma przyjaciół.

— Czy tak?

— Wpływy twoje wystarczą dla uwolnienia Gilberta z więzienia.

— Nie użyję ich.

— Nie oswobodzisz go?

— Nie.

— Panna de Mergy zabije się.

— Nie zrobi tego.

— A jednak próbowała już.

— Tembardziej nie spróbuje raz drugi. A zresztą, cóż cię obchodzi panna de Mergy?

— Jest samotna, nieszczęśliwa i prześladowana.

— Ho! ho! co za szlachetność. Arsen Lupin zakochany w hrabiance.

— Co powiedziałeś?

— Klarysa de Mergy ma piękne oczy — przyznać to należy, bardzo piękna.

Arsen Lupin wzruszył ramionami.

— I dlatego chcesz połączyć jej los ze swoim brudnem życiem. Myślisz więc, że wszyscy są do ciebie podobni, szukasz w postępowaniu mem samolubnych pobudek. Ja zaś proponuję ci układ, którego

wiernie dotrzymam. Musisz oswobodzić Gilberta. Na jedno słowo twoje wypuszczą go na wolność. Musisz mu pozwolić wyjechać, aby mógł wrócić do dawnego życia. W takim razie, ja Arsen Lupin, usunę się z twej drogi i zapomnę o liście 27. Pozornie lekceważysz mnie, ale w gruncie wiesz dobrze, że jestem dla ciebie stokroć niebezpieczniejszym przeciwnikiem, niż Maurycy Prasville.

Daubrecq, który dotąd zachował zimną krew, nie umiał dłużej panować nad sobą. Żył nabiegły mu na czoło jak postronki, oczy świeciły mu niedobrym blaskiem. Biegać począł jak szalony po pokoju, a zatrzymując się niekiedy przed Arsenem, wypowiadał groźby i klątwy.

— Wiem, wiem, oczywiście, Prasville jest z tobą w zмовie — powinienby cię przecie dawno aresztować. Ale on sprzysiągłby się z djabłem, byle mnie pognać. Nie dbam o was. Ale Klarysa? O nie! — nie wyrzeknę się jej. Niech sama przyjdzie tu błagać o łaskę swego brata. Niech włóczy się u nóg moich i błaga mnie, bym ją raczył poślubić — a wtedy — kto wie.

Przedtem nigdy. Kochałem niegdyś jej matkę, ale miłość ta jest niczem wobec tej, którą obudziła we mnie Klarysa. — A zresztą zemsta! Po latach 25-ciu zdarza mi się sposobność odwetu. Przed 25 laty matka odrzuciła mnie z pogardą i wstrętem. Chciała wywyższyć się nademnie swym arystokratycznym tytułem. Dziś odpłacić to mogę z lichwą jej córce. Dziś sam los daje mi w rękę broń, która robi z niej posłuszne mi narzędzie.

I ja mam się tej broni wyrzec? Mam uwolnić Gilberta za nic? — ot tak dla honoru? Ha, ha! nie jestem na to dość naiwny, mój dobry Arsenie! Nie, nie!

Mówiąc to, śmiał się cynicznym, urągliwym śmiechem i patrzył przed siebie z jakąś okrutną poządliwością. Widział już zda się tuż przed sobą zdobycz,

za którą uganiał się oddawna — miał ją niejako pod ręką.

Arsen przypomniatł sobie z drżeniem Klarysę, którą odwiedził przed udaniem się do Daubrecq'a. Była złamana, pełna trwogi. Zadziwiająca jej dotąd pogoda duszy zdawała się być zachwianą.

— On go zabije! — powtarzała przez łzy. — On zgubi Gilberta, a potem zbezcześci jego imię, imię mego ojca. Nie pozostanie mi wtedy nic prócz samobójstwa. Ale to dziecko — mówiła, wskazując na Armanda — co się z niem stanie? Nikt nie zechce zaopiekować się nim. Nikt nie przyjmie do domu shańbionego sieroty.

I łamiąc rozpaczliwie ręce, Klarysa błagała jego, Arsena, by pomyślał o dziecku, wtedy, gdy jej już nie będzie. Polecała jego opiece — swego małego braciszka, ona, hrabianka de Mergy, nie znajdowała dla niego innego opiekuna prócz człowieka, którego sława, aczkolwiek rozgłośna, nie należała do zaszczytnych. Widząc ją tak zrozpaczoną, Arsen postanowił przywrócić jej odwagę.

— Hrabianko! — rzekł do niej — skoro los postawił mnie na pani drodze, to widocznie przeznaczeniem jest mojem uratować panią ze szponów tego człowieka. Nie pierwszy to raz, ja, którego nazywają genialnym rzezimieszkiem, a często i bandytą, spotykam w świecie ludzi stokroć odemnie szkodliwszych. Dotąd wychodziłem zawsze zwycięsko z takich zapasów. Od dziś sprawa pani jest moją sprawą. Przysięgam pani, że nie spocznę, dopokąd Gilbert nie będzie wolnym. Przysięgam pani, że włos mu z głowy nie spadnie i nie zrobią mu nic, choćby Daubrecq sprzymierzył się z samym djabłem dla dokonania zemsty. A nie przyrzekam tego, z powodu łez twoich i rozpacz hrabianko de Mergy, lecz dlatego, że Gilbert jest przyjacielem moim, kolegą, towarzyszem. Żaden jeszcze z członków naszej bandy nie zginął pod gilotyną, to jest dla mnie punkt honoru. Tak jest pani! Tacy

ludzie ja ja, mają także swój honor, trzymają się jego zasad, ściślej może od wielu szanownych członków społeczeństwa. Nie płacz pani, nie rozpaczaj i polegaj na słowie mojem.

Był zupełnie pewien, że dotrzyma, czego przyrzekł, mimo, że nie wiedział wcale, jakimi środkami dojdzie do tego. Z tem pewniejszą decyzją przyszedł do Daubrecq'a dla rozmówienia się z nim w żywe oczy. Patrząc teraz na jego triumf, słuchając szyderczego jego śmiechu, Arsen użyć musiał całej swej siły woli, by nie zastrzelić go na miejscu jak psa.

Uratowałoby to może Gilberta, ale lista, fatalna lista, wypłynęłaby wtedy na wierzch, ogłoszonaby została we wszystkich gazetach. Skandal by to był olbrzymi, skandal, który objąłby także Klarysę de Mergy, Gilberta i małego Armanda. Hrabianka nie darowałaby mu tego nigdy, ta śliczna, odważna dziewczyna, która zwierzyła mu się z taką ufnością. A zresztą jak wiemy, mord nie zgadzał się z jego zasadami. Arsen nie zabijał nigdy.

I teraz musi pokonać Daubrecq'a w inny sposób, musi odnieść nad nim bezkrwawe zwycięstwo.

A jednak postanowił pozwolić sobie na drobną bodaj satysfakcję. Upatrzywszy sposobną chwilę, rzucił się na posła z nadludzką siłą i unieruchomił go, trzymając jak w kleszczach ramiona jego i ręce.

— Słuchaj ty! — mówił z twarzą prawie przy jego twarzy. — Mógłbym w tej chwili zabić cię, rozdeptać, jak złośliwą gadzinę, ale nie zrobię tego.

— Bo nie możesz — odparł poseł, nie zdradzając najmniejszego strachu.

— Dlaczego? Wszakże moje imię nie stoi na liście dwudziestu siedmiu?

— No tak. Ale zadurzyłeś się w hrabiance de Mergy i nie śmiałyś do niej powrócić, gdyby z twje przyczyny owa sławna lista ujrzała światło dzienne.

— Mylisz się, ale mniejsza o to, powiem ci jeszcze ostatnie słowo.

— Szkoda czasu — mruknął poseł.

— Pozwól, bym ci przemówił do rozumu, Pawle Daubrecq. Panowanie twoje opiera się na najnikczemniejszym w świecie szantażu. Mniejsza o to. Panuj sobie dalej, wyciskaj z ludzi ostatni grosz, ale wyrzeknij się hrabianki de Mergy. Nie rób głupstw, czcigodny pośle. Nie daj się powodować próżności i namiętności i zajmij się własnym tylko interesem.

— Nic innego nie zrobię, szlachetny Arsenie — odparł szyderczo Daubrecq — a interes mój jest tu zupełnie zgodnym z tem, coś nazwał próżnością mą i namiętnością.

— Tak było dotąd, ale od dziś sprawa się zmienia.

— Dlaczego?

— Bo ja się w nią wdałem jako nowy czynnik. Uważasz pan? Ja Arsen Lupin.

— Tak, dotąd okazałeś się nędnym graczem i do prawdy przeceniano twą sławę.

— Tak myślisz? — odparł zimno Arsen, puszczając przeciwnika, którego wpierv rozbroił, wyjąwszy z kieszeni jego dwa rewolwery, które przeniósł do własnej. Usiadł następnie na niskiej sofce, wprost naprzeciw posła, zapaliwszy poprzednio cygaro.

— A jednak wysłuchaj mnie do końca. Wyrzeknij się hrabianki de Mergy. Przestań prześladować Gilberta, a nawet postaraj się o wypuszczenie go na wolność — inaczej —

— Cóż inaczej?

— Wojna ze mną. Wojna nieubłagana aż do skutku.

— Cóż mi właściwie zrobisz?

— Wydrę ci listę dwudziestu siedmiu.

— Nie uda ci się.

— Przysięgam, że ją odnajdę.

— Odnajdziesz ją ty? Odnajdziesz to, czego nie odszukała dotąd policja, rząd, Francja cała? Ależ to farsa, przyjacielu. Szukaj i owszem, zostawiam ci

pod tym względem tę samą swobodę co tamtym. A teraz odpowiem ci stanowczo. Nie tylko nie zrobię ani jednego kroku dla oswobodzenia Gilberta, lecz przeciwnie, użyję całego mego wpływu na rząd i ministerjum, aby przyspieszyć przebieg procesu i aby wyrok wypadł jak najsurowiej.

— Cóż jeszcze?

— Skoro brat Klarysy skazanym zostanie na śmierć, pozostanie mu jak wiadomo prawo odwołania się do łaski prezydenta republiki. Jedno słowo moje może uzyskać dla niego łaskę, lub też ją uniemożliwić. Wtedy to hrabianka de Mergy przyjsć musi do mnie sama w postawie uległej, pokornej i prosić mnie będzie o nią, a ja zapewne nie odmówię, jeśli hrabianka okaże się rozsądną. Warunki moje zna. Tak jestem pewny, że ich nie odrzuci, że pozwalam sobie zaprosić cię jako świadka w dniu mego ślubu z Klarysą. — Jest to zresztą, jak sam łatwo pojmiesz, jedyne rozsądne wyjście. — Hrabianka Klara tak czuła na dobrą sławę swego ojca — powinna zrozumieć, że z chwilą, gdy zostanie moją żoną, ja sam postaram się osłonić nazwisko mego teścia, który był niegdyś moim przyjacielem.

— A którego ty ograbiłeś, a następnie zabiłeś.

— Zabiła go własna jego głupota. — Jak mógł przypuszczać choć przez chwilę, że ja mu przebaczyłem? Jak mógł? Śmierć jego jest jeszcze za małą karą.

— Więc to twoje ostatnie słowo? — spytał Arsen, sięgając do kieszeni, w której przed chwilą ukrył dwa rewolwery. — Daubrecq cofnął się z obawy przed wystrzałem, lecz zamiast tego Arsen wyjął z najuprzejmiejszym w świecie uśmiechem złotą bombonierkę napełnioną pastylkami.

— Weź pan — zapraszał Daubrecq'a.

— Cóż to jest?

— Pastylki, które leczą na zawsze z głupoty, z podłości, okrucieństwa. Zażyjcie jednej z nich wy-

zwala z życia człowieka, którego los przycisnie zbyt. Weź pan, proszę ten środek nieomylny, przyda ci się wkrótce, panie Daubrecq.

Rzekłszy to Arsen wcisnął przemocą prawie do rąk posła jedną z pastylek, poczem zakręcił się na pięcie i znikł, zanim Daubrecq przyszedł do siebie po tem niespodzianem wystąpieniu swego przeciwnika.

Arsen tymczasem wybiegł szybko z willi, by na zakręcie ulicy wyminąć komisarza policji, śpieszącego doróżką, zapewne dla ujęcia go.

— Pocciwy Prasville — szepnął do siebie Arsen — spóźnił się właśnie na tyle, by mi dać czas wymknąć się swobodnie.

Ależ to uparta bestja ten Daubrecq — a przytem paskudna figura. — I takiemu to zachciwa się hrabianki. No? Ale rozmówiliśmy się przyzwoicie. — W gruncie Arsen przyznawał w duchu, że jest narazie pobitym. Nie postąpił ani kroku w sprawie odszukania listy, a wdanie się jego wywoła niezawodnie przyspieszenie procesu Gilberta i Vaucheray'a. Nie tracąc więc czasu, udał się do hrabianki de Mergy i nakłonił ją do wyjazdu nad morze. Doktor przysłany przez niego zalecił wyjazd małemu Armandowi.

Ten argument przekonał ją ostatecznie, bo dziecko było wątłe, a ostatnie przejścia wstrząsnęły silnie jego słabym organizmem.

Arsen przeczuwał, że po ostatniej z nim rozmowie. Daubrecq wykona energicznie mściwe swe zamyśły. — Nie zawiodły go te przeczucia.

Nazajutrz po odjeździe Klarysy, rozpoczęła się rozprawa sądowa przeciw współnikom Arsena. Rozpoczęto ją z pominięciem wielu innych pilniejszych spraw, wbrew prawidłom przyjętym. Jakże winszował sobie Arsen, że udało mu się wprzód usunąć Klarysę z Paryża, że oszczędził jej przez to okrutnych wzruszeń, a może błędów.

Proces ten, który ściągnął niesłychanie liczną

publiczność, wymierzony był pośrednio przeciw Arsenowi Lupin.

Gilbert i Vaucheray nie byli poczytywani za zwykłych przestępców, w osobach ich ugodzić zamierzono w nieobecnego, tajemniczego ich herszta. Nazwisko Arsena powracało wciąż w akcie oskarżenia, przypisywano wyłącznie jemu wszystkie tajemnicze i zagadkowe zbrodnie, których sprawców nie udało się policji odkryć. Zrobiono z niego rodzaj zwyrodniałego potwora, lubującego się w rozmyślnem przelewaniu krwi.

Poznał w tem Arsen rękę potężnego swego przeciwnika. Daubrecq to kierował z ukrycia opinią sędziów i treścią mowy prokuratora, potrafił zohydzić go w oczach publiczności i zrobić z osoby jego rodzaj straszdyła, zmore okrutną, ciężącą nad Paryżem.

Rozprawa ciągnęła się trzy dni, a Arsen był tak zuchwałym, że nie opuścił ani jednego posiedzenia. Przysłuchiwał się z bijącym sercem przesłuchaniu oskarżonych. Zachowanie się ich było bardzo różne. Vaucheray ponury, patrzący z podełba mówił niewiele, ale widocznem było, że mówi tyle i to właśnie, co chce powiedzieć. Przyznawał się cynicznie do zbrodni popełnionych dawniej, wypierając się stanowczo zabójstwa Leonarda, które zwał wyłącznie na Gilberta.

Arsen zrozumiał jego taktykę. Znając przywiązanie swego herszta do Gilberta, Vaucheray chciał doprowadzić do skazania na śmierć chłopaka, mimo, że był niewinnym, chciał związać nierozzerwalnie los Gilberta ze swoim losem, aby Arsen zmuszony był ratować obu razem.

Gilbert, którego ładna i szczera twarz usposobiła z początku przychylnie publiczność, nie umiał uchronić się od zastawionych sobie sideł. Mówił zawiele, płatał się w zeznaniach, popełniał co chwila omyłki i wpadał w sprzeczność sam z sobą. Przytem adwokat, który go miał bronić, wymówił się w ostatniej chwili.

zasłaniając się chorobą, w czem Arsen upatrywał także sprawkę Daubrecq'a.

Mylił się jednak tym razem. Adwokat cofnął się w ostatniej chwili, gdyż dano mu do zrozumienia, że zaszkodzi swej karierze, broniąc współników Arsena Lupina. Zastąpił go więc obrońca z urzędu. Mówił źle, niedołężnie, nietrudno było przewidzieć, jaki będzie skutek tak lichej obrony.

Około godziny siódmej wieczór przysięgli opuścili salę. Nieobecność ich trwała przeszło godzinę. Gdy powrócili do sali rozpraw, przewodniczący odczytał głośno wszystkie pytania postawione przysięgłym przez trybunał. Odpowiedź na wszystkie brzmiała twierdząco. Równało się to wyrokowi śmierci bez uwzględnienia okoliczności łagodzących. Wprowadzono na salę oskarżonych i odczytano im wyrok.

Wysłuchali go obaj w milczeniu. Vaucheray blady był, jak trup. Gilbert wodził oczyma po sali, jakby nie rozumiejąc znaczenia słów, które usłyszał. Kara śmierci na niego? Za co? Wszak nie popełnił tego morderstwa, nigdy niczyjej krwi nie przelał. Czyż możliwą jest rzeczą, aby sąd dopuścił się tak krzywdzącej niesprawiedliwości?

Przewodniczący zapytał jeszcze obu oskarżonych, czy nie mają jakich życzeń. Wtedy Vaucheray odzyskał przytomność. Podniósł głowę — i rzekł patrząc na sędziów z nawpół drwiącym uśmiechem:

— Dziękuję panu sędziemu, nie pragnę już nic, od kiedy wiem, że towarzysz mój jest na równi ze mną skazany. Arsen Lupin kocha tego chłopca i nie dopuści do jego śmierci, a ratując jego, musi i mnie ocalić.

Śmiałe to wyznanie nie pozostało bez wrażenia. Powstały wśród publiczności szmery, a nawet śmiechy, które przewodniczący musiał uciszać. Zwrócił się on następnie do Gilberta, pytając go o ostatnie przedśmiertne życzenia.

Chłopak namyslał się, a potem rzekł:

— Nie mam żadnych życzeń, ale panie sędzio, ja nie chcę umierać. Jestem niewinny, nie zabiłem nikogo, nie powinniście więc skazywać mnie na śmierć, bo w takim razie wy to popełniacie morderstwo.

Dotąd głos jego brzmiał pewnie i stanowczo, ale nagle stanęło mu widocznie przed oczyma widmo gilotyny, łamiąc dotychczasowe jego męstwo.

— Mój Boże — jęknął, chwiejąc się tak, że omal nie upadł w ramiona straży. — Mój Boże! Ginać tak marnie! Gdybym był wiedział! O, czemużem nie zaufał ci we wszystkim, Arsenie Lupin! Tybyś pokierował wszystkim inaczej.

Zaledwie wyrzekł te słowa, wśród ogólnej ciszy, bo publiczność przysłuchiwała się ze skupieniem wyznanom skazanych, głos jakiś podniósł się z tłumu, wołając:

— Nie bój się, chłopcze, Arsen tu jest, Arsen czuwa nad tobą.

Łatwo zrozumieć, jakie wrażenie wywołał ten okrzyk, który rozległ się zuchwale w pełni sądowego posiedzenia. Arsen jest tu? Słynny Arsen Lupin, właściwy bohater procesu. Wszyscy poczęli się oglądać. Strażnicy miejscy i ludzie z policji wtargnęli do sali, wszczął się zamęt, tłok i popłoch. Wreszcie ujęto jakiegoś barczystego chłopaka, o twarzy rumianej i dobrodusznej.

— To on! — wołało kilka głosów. — To on krzyknął na całą salę, że Arsen tu jest. Chciał się wymknąć chyłkiem, aleśmy go złapali tuż przy drzwiach.

Widząc się ujętym, złapany nie myślał się zapierać.

Przyprowadzono go przed przewodniczącego, który go natychmiast przesłuchał.

— Jak się pan nazywasz?

— Filip Banel, do usług pana sędziego.

— Czem się pan trudnisz?

— Jestem chłopcem od rzeźnika — odparł Banel

i wymienił przytem jedną z najlepszych firm paryskich.

— Czy to pan krzyknąłeś, że Arsen Lupin znajduje się w tej sali?

— Tak, to ja.

— A czy go pan znasz?

— Nie widziałem go nigdy.

— Dlaczego więc pozwoliłeś pan sobie zakłócić spokój sądowej sali? — pytał surowym głosem przewodniczący.

— Powiem już całą prawdę, panie sędzio — tłómaczył się chłopak bynajmniej nie zastraszony. — Wpadłem tu, jak drudzy, bo byłem ciekawy całej tej sprawy i chciałem widzieć współników Arsena Lupin. Słuchałem też pilnie. A gdy ten oto — dodał, wskazując na Gilberta — upewniał, że jest niewinny i to tak szczerze, że, za przeproszeniem pana sędziego, każdyby mu uwierzył, ktoś mnie pociągnął za rękaw, jakiś pan, bardzo porządnie ubrany.

Wcisnął mi do ręki ten oto papier, mówiąc:

— Przeczytaj bracie na głos to, co tu napisano, a dostaniesz za to tysiąc franków. — I mignął mi przed oczy banknotem. — Pan sędzia zrozumie, że zrobiłem, czego chciał ten obywatel, bo i cóż? Chyba w tem niema grzechu — a tysiąc franków, to pieniądze dla biednego człowieka.

Popierając dowodami oryginalne swe zeznanie, Filip Banel pokazał kartkę ze wzmiankowanym napisem i banknot tysiącfrankowy. Obsypano go pytaniami co do wyglądu owego pana, posłano też natychmiast do wymienionej przez niego rzeźni, gdzie stwierdzono bez trudności jego tożsamość.

Filip Banel mówił prawdę. Arsen Lupin był widocznie na sali i zadrwił sobie raz jeszcze z policji i władz. W czasie zamętu wywołanego aresztowaniem chłopaka, wyszedł spokojnie z gmachu sądowego i musiał już być daleko.

Banel skazanym został na parę dni aresztu za za-

kłócenie spokoju publicznego, poczem wypuszczono go na wolność z jego tysiącfrankówką.

Gilbert i Vaucheray odprowadzeni zostali do więzienia i pozostało już im tylko prawo odwołania się do łaski prezydenta republiki.

ROZDZIAŁ VII.

PROFIL NAPOLEONA.

Powróciwszy do domu, Arsen, ku wielkiemu swemu utrapieniu, zastał u siebie hrabiankę de Mergy. Daremnie próbował ukryć przed nią prawdę, od pierwszego spojrzenia rzuconego na nią, odczuł, że musi wiedzieć wszystko. Klarysa dowiedziała się z dzienników o dniu rozprawy sądowej i porzuciła natychmiast ciche ustronie nad morzem, chcąc znajdować się w tym ciężkim dniu w pobliżu Gilberta. Jadąc z dworca usłyszała złowróżbne okrzyki chłopców, sprzedających gazety, którzy obwoływali po wszystkich ulicach, wyrok śmierci wydany na Gilberta i Vaucheray'a.

— To nic nie znaczy! — próbował ją uspokoić Arsen. — To było przecie przewidziane, musieli ich skazać. — Ale przecież nie dopuścimy do spełnienia wyroku. Mam już plan. Tej nocy jeszcze Daubrecq będzie w naszym ręku.

— Tej nocy? — pytała z niedowierzaniem Klarysa.

— Tak, tej nocy jeszcze; wszystko gotowe, tej nocy jeszcze porwiemy Daubrecq'a, a gdy raz będzie w naszej mocy, wymusimy na nim uwolnienie Gilberta, poczem odjedziesz pani z obu braćmi. Musi pani odpocząć, trzeba się usunąć.

— Tak, tak — powtórzyła Klarysa, odzyskując zwolna nadzieję. Było to jej marzeniem, odjechać

z tych miejsc, gdzie tyle wycierpiała, rozpocząć nowe życie, choćby na drugiej półkuli, byle daleko od Daubrecq'a.

— Widzi pani, jak się wszystko dobrze układa, oto już dzwonek. To zapewne Le Balu, któremu poleciłem zgłosić się zaraz po rozprawie.

Był to istotnie Le Balu. Szofer wszedł do pokoju i stanął przed Arsenem, czekając rozkazu.

— No, cóż Le Balu? Czy wszystko gotowe?

— Gotowe szefie, a tylko...

— Co tylko?

— Niema się po co trudzić?

— Jakto? Co mi tu bredzisz? Tłómacz się jaśniej.

— Poseł Daubrecq został porwany z własnego mieszkania.

— Porwany? i to nie przez nas. Śni ci się chyba.

— Porwany przed chwilą. — Czterech ludzi zamaskowanych ukryło się w jego gabinecie, a gdy wszedł do domu, wracając z rozprawy, rzucili się na niego i wynieśli go do oczekującego na dole automobilu. Widziała to służąca jego, ta, co jest na miejscu Wiktorji, a także dozorca domu i jego żona.

— I nie starali się przeszkodzić?

— Mówią, że się bali. Ci ludzie mieli rewolwery. Strzelali podobno, jedna kula trafiła w zwierciadło. Arsen pobiegł natychmiast dla sprawdzenia. Nieoczekiwane nowiny. Le Balu mówił prawdę. Daubrecq porwanym został przez zamaskowanych ludzi i uwięziony samochodem.

Tłum ludzi gapił się przed willą, opowiadając sobie szczegóły tego porwania. W mieszkaniu posła gospodarowała już policja, szukając nie tyle sprawców zamachu, co listy 27. Arsen próbował przekonać Klarysę, że porwanie Daubrecq'a wpłynie raczej korzystnie na losy Gilberta, w gruncie jednak był sam zaniepokojony.

Była to nowa, nieprzewidziana komplikacja.

Kim mogli być nieznani sprawcy zamachu? Chwi-

lami przychodziło na myśl Arsenowi, że to policja porwała Daubrecq'a przez postawionych ludzi, lub że on sam zarządził udane swe porwanie dla uniknięcia niebezpieczeństwa.

To ostatnie przypuszczenie było jednak mało prawdopodobne. Wszak teraz właśnie nasycić mógł Daubrecq swą żądzą zemsty. Wszak wyrok śmierci, wydany na Gilberta, zmusić mógł Klarysę do szukania jego opieki i zdania na jego łaskę. Zdawna już przecież oczekiwał na taką chwilę, nie usunąłby się więc teraz właśnie.

Klarysa była niemniej zdziwiona tem porwaniem. W pierwszej chwili sądziła, że przyjdzie jej teraz łatwiej uzyskać ulaskawienie Gilberta, ale przekonała się wnet, że w losie jej brata nic się nie zmieniło. Nie mogła zresztą występować otwarcie w obronie skazanego, bo rzuciłoby to na nią dziwne światło. Przyszedł jej z pomocą Arsen, który przedzierzgnął się w tym celu w skromnego adwokata z prowincji i przedstawił się w tym charakterze policji. Postarał się też o listy polecające, które przedstawiały go jako dzielnego poszukiwacza w sprawach ciemnych i zawikłanych. Wybieg ten udał mu się w zupełności, a Prasville, który z kilku słów z nim zamienionych, ocenił jego zdolności, przypuścił go wkrótce do poszukiwań w mieszkaniu Daubrecq'a, bo jeżeli porwanie pana posła nie mogło uratować skazanych już na śmierć więźniów, to za to dawało ono policji wyborną sposobność do przetrząśnięcia jego mieszkania.

Klarysa dopuszczoną została także do tych poszukiwań. Ale tu stanęło przed nimi widmo nowego niebezpieczeństwa. Ten, kto porwał Daubrecq'a, musiał mieć na celu zdobycie listy — jeżeli więc udało mu się ją dostać, to zapewne zechce ją zużytkować.

Zechce zapewne wywierać nacisk na osoby wysoko położone, których nazwiska znajdują się na niej. Wiedzano już, że Daubrecq poprzestaje najczęściej na wyłudzeniu pieniędzy.

Kto wie jednak, jakie żądania postawi ten nowy posiadacz listy. Należało go koniecznie odkryć, należało dowiedzieć się kim był.

Klarysa ze swej strony drżała na myśl, że dobre imię jej ojca, dotąd nietknięte, wystawione zostanie na ludzką poniewierkę.

Daubrecq wiedział dobrze, że hrabia de Mergy był niewinny, mimo, że podjął 15.000 franków, ale inni uważać go będą na tej podstawie za nędznego sprzedawczyka.

To też hrabianka brała czynny udział w poszukiwaniach sprawców zamachu — pytając wciąż Prasville'a:

— Czy być może, aby nie znaleziono żadnego po nich śladu?

— Nic, lub prawie nic — odpowiadał dyrektor policji.

A jednak Prasville miał w posiadaniu swem mały drobiazg, znaleziony w pierwszym dniu po porwaniu, na progu gabinetu Daubrecq'a.

Nie przywiązywał jednak do niego zbytnej wagi. Słyszając o tem Klarysa prosiła o pokazanie tego przedmiotu.

Podczas gdy obecny przy ich rozmowie Arsen, siedział skromnie na rożku krzesła, jak przystało biednemu adwokatowi bez klientów, uprawiającemu na starość rzemiosło tajnego detektywa, Prasville wezwał go ruchem ręki.

— Patrz pan — rzekł — oto mały ułamek jakiegoś wyrobu z kości słoniowej, upuszczony przez jednego z ludzi, którzy porwali Daubrecq'a. Niema to żadnego określonego kształtu i wyznaje, że nie odgadł dotąd pochodzenia tej drzazgi; może pan będzie szczęśliwszy panie Nikol?

Nikol, było to nazwisko przybrane przez Arsena i pożyczone mu uprzejmie przez człowieka, który je nosił naprawdę i mieszkał w odległym prowincjonalnem miasteczku w głębi Bretanii. Arsen miał kilku

takich najemników, którzy za rocznem wynagrodzeniem — pożyczali mu swych dokumentów. Należało to do jego metody.

Prawdziwy Nikol żył w biedzie i szczęśliwym się uczuł, gdy ofiarowano mu ten łatwy sposób zarobkowania, oddanym też był ciałem i duszą Arsenowi.

Na wezwanie Prasville'a mniemany Nikol wziął do ręki podany sobie ułamek i oglądał go na wszystkie strony.

— I cóż? — spytał go Prasville z pobłażliwym i nieco niedowierzającym uśmiechem.

Ale odpowiedź pana Nikol wypadła niespodzianie.

— Panie dyrektorze — rzekł on — gdy przed stu laty Napoleon pierwszy utracił władzę...

— Co mi tu pan zaczynasz od historii Francji? Nie żądam wcale od pana popisów erudycji.

— Kiedy to jest konieczne, panie dyrektorze — odparł skromnie Nikol.

— No! to w każdym razie staraj się pan być zwięzłym — rzucił lekceważąco Prasville.

— Otóż panie dyrektorze, po upadku Napoleona pierwszego pozostało we Francji kilku jego współziomków Korsykańów, których cesarz obdarzył był bogactwami i tytułami.

— Cóż stąd? — przerwał mu niecierpliwie Prasville.

— Ludzie ci, prześladowani następnie za swoje przywiązanie do cesarza, musieli się z niem kryć i utworzyli rodzaj tajnego stowarzyszenia.

— W każdym razie stowarzyszenie to nie istnieje już dzisiaj.

— Zapewne, chociaż i dzisiaj Francuzi pochodzący z Korsyki, trzymają się z sobą bardzo solidarnie.

— Być może, ale jakież to ma związki z porwaniem Daubrecq'a? — przerwał niecierpliwie Prasville.

— Zaraz skończę, panie dyrektorze — mówił uniżenie Nikol. — Ten ułamek, ten żółtawy drobiazg z kości słoniowej, jest pewnego rodzaju godłem.

— Czyjem?

— Korsykańskich Bonapartystów. Racz pan spojrzeć nań pod pewnym kątem — tu Nikol, a raczej Arsen, począł obracać żółtawą skorupkę przed oczyma zdumionego dyrektora — i ustawił ją pod pewnym kątem, na tle białego arkusza papieru. — Następnie zrobił na papierze kreskę ołówkiem.

— Czy widzisz pan teraz panie dyrektorze, czy rozpoznajesz pan?

— Jest to jakgdyby rzeźbiony medaljon — profil twarzy ludzkiej.

— Profil Napoleona — dokończył Nikol, dorysowując szybko wieniec z liści laurowych — profil cesarza uwieńczonego wawrzynem, podług znanego biustu.

— Tak! to prawda — przyznawał Prasville.

— Dawniej godło spiskowe, dziś może pamiątka rodzinna, profil ten należeć musi do jednego z Bonapartystów, których przecie nie brak i dziś jeszcze w Paryżu. Przypomnij sobie pan, czy między wrogami Daubrecq'a niema któregoś z wybitnych Bonapartystów. — Sądzę, że imię jednego z nich znajdować się musi na liście 27-miu. Czy mam to imię wymienić?

— Margrabia Albufex? — wyszeptał Prasville.

— Tak jest, panie dyrektorze, margrabia Albufex; on to zgubić musiał ten mały przedmiot, który nosił przy sobie może jako talizman. — Widziałem wiele takich okazów, przechowywanych dziś po muzeach. — Margrabia Albufex jest potomkiem korsykańskiej rodziny i on to musiał porwać pana posła.

— Tak, to bardzo możliwe — potwierdził Maurycy Prasville. — Albufex jest człowiekiem bardzo śmiałym i hazardownym. Przypominam sobie teraz, że był on mocno zaplątany w sprawę kanału.

Arsen był w gruncie pewnym, że nie kto inny, tylko Albufex dokonał zamachu. Wszak pamiętał jeszcze dokładnie wstrząsającą scenę nocną, w czasie której

markiz włóczył się u kolan Daubrecq'a, a potem próbował go zastrzelić. — Ten człowiek zaprzysięgnąć musiał zemstę, straszliwą zemstę, a mógłże wymyślić lepszą, jak odebranie Daubrecq'owi listy dwudziestu siedmiu, wyrwanie mu żądła tej broni obosiecznej, która dawała mu taką władzę.

— Czekaj pan — rzekł Prasville — zastanówmy się nad pańskim odkryciem.

— Tak jest, zastanówmy się — dodała Klarysa, która z szeroko rozwartemi oczyma słuchała wywodów Arsena.

— Jeżeli Albufex odebrał Daubrecq'owi listę 27-miu, to wyręczył nas niejako — rzekł Prasville.

— Albufex nie cieszy się zbyt dobrą sławą — zauważyła Klarysa.

— Kto wie, jaki użytek robi ze swej zdobyczy — dodał Nikol.

Dla niego nie ulegało wątpliwości, że nowy posiadacz listy zechce z niej ciągnąć zyski podobne, jak poprzedni, nie ograniczając się do zemsty nad Daubrecq'em. Z drugiej strony nie wątpił, że Daubrecq nie podda się tak łatwo.

Wszak umieścił swoją listę w bezpiecznem miejscu, wszak niema jej zapewne przy sobie — należy więc pośpieszyć i odszukać go, zanim Albufex wymusi na nim wyznanie, gdzie ukrył ten bezcenny dokument.

Przełożył te swoje przypuszczenia dyrektorowi policji, a Maurycy Prasville uderzony został trafnością jego uwag. Skromny, prowincjonalny detektyw imponował mu coraz bardziej bystrością swych kombinacyj.

— Gdzie pan mieszka, panie Nicol? — zapytał go.

— Tu w Paryżu; zatrzymuję się na placu Clichy pod num. 27. Jest to mieszkanie jednego z moich przyjaciół, który udziela mi gościny.

— Chciałbym mieć pana pod ręką.

— Będę bardzo szczęśliwy, panie dyrektorze, jeśli moje skromne usługi przydadzą się na co.

— Liczę na nie — a w pierwszym rzędzie polecam opiece pana markiza Albufex. — Oto adres jego, a za parę godzin otrzymasz pan treściwą notatkę o zwyczajach jego i sposobie życia.

— Mam go zatem śledzić, panie dyrektorze?

— Musisz się pan stać jego cieniem, rozumie pan, nieodstępny jego cieniem.

— Zrozumiałem, panie dyrektorze — odparł z niskim ukłonem mniemany Nikol. — W chwili, gdy Maurycy Prasville nie patrzył na niego, Arsen wymienił nieznacznie poufne spojrzenie z hrabianką de Mergy.

— Panie Prasville — rzekła Klarysa — ja także chcę działać; czy pozwoli mi pan współdziałać z panem Nikol?

— Ależ naturalnie — odparł Prasville. — Któż ma większe do tego prawo od pani. Możecie też liczyć na wszelkie z mej strony ułatwienia.

— W takim razie, panie Nikol, pojedzie pan ze mną i naradzimy się dokładniej. — Pan, panie dyrektorze, prześle do mego mieszkania notatkę o markizie Albufex.

— Tak, tak, bezwątpienia — odparł Prasville. — Wzrok jego błędził jeszcze po gabinecie Daubrecq'a, jakby w poszukiwaniu za listą.

— A jednak niema jej tutaj — dodał w zamyśleniu — pozostaje mi jeszcze przeszukać ogród. Ta nieobecność Daubrecq'a jest nam bardzo na rękę. Nigdy jeszcze nie przetrząsnęliśmy tak dokładnie jego mieszkania.

W dwie godziny później Klarysa i Arsen odczytywali notatkę, przysłaną im z policji.

Brzmiała ona jak następuje:

„Markiz Albufex, zażarty Bonapartysta, był jakiś czas szefem biura swego stronnictwa, obecnie jest prawie zrujnowany. Zmuszony był sprzedać wszyst-

kie swe majątki, z wyjątkiem jednego folwarku. Grywa dużo i szczęśliwie. Bywa codziennie w klubie. Stwierdzono, że w dniu porwania Daubrecq'a czekano go tam napróżno, powrócił dnia tego do domu po północy".

Arsen odczytał te wiadomości, siedząc naprzeciw hrabianki de Mergy, w zacisznym jej saloniku.

Rozbierali oboje punkt po punkcie, każdy szczegół notatki. Piękne oczy Klarysy spotykały się często z zwrokiem Arsena, który ubolewał w duchu nad niepozornem przebraniem, w jakim się musiał przedstawić hrabiance. Ona jednak traktowała go serdecznie i z coraz większym zaufaniem.

— Nieobecność markiza w Paryżu trwała tylko sześć do ośmiu godzin — zauważył Arsen.

— Dowodzi to, że nie ukrył Daubrecq'a zbyt daleko — odparła hrabianka.

— Zapewne, choć niech pani zważy, że dobry samochód może ujechać w tym czasie spory kawał drogi.

— Jakże więc odgadniemy, gdzie ukrył swego więźnia?

— W sposób nadzwyczaj prosty. Markiz będzie go zapewne odwiedzał.

— A jeśli już dostał do niego listę?

— To niemożliwe, taki człowiek, jak Daubrecq, przewiduje wszystko. Jestem pewien, że teraz nawet, będąc w mocy swego wroga, walczy z nim skutecznie chytrą i podstępem.

— Ale Gilbert! — zawołała nagle Klarysa — co się stanie z Gilbertem?

— Tak, teraz przysłoby nam może łatwiej wykraść go z więzienia. Tylko, że widzi pani, nie można robić dwóch rzeczy naraz, musimy więc wybierać pomiędzy listą a uwolnieniem Gilberta.

— Ach panie! — rzekła na to Klarysa — myślałam już o tem, ale jeśli lista wyjdzie na jaw, Gilbert odbierze sobie życie, jak mój ojciec. Musimy więc wpierv odszukać listę.

Tegoż jeszcze wieczora Arsen, z pomocą swych wspólników, zaczął śledzić Albufex'a. Żaden krok markiza nie uszedł ich baczości, ale jak na złość Albufex pędził przez kilka dni następnych zwykle, normalne życie. Uczęszczał do klubu, bywał w parlamencie i nie wydalał się wcale z Paryża.

Wreszcie, w tydzień może po porwaniu Daubrecq'a, dowiedział się Arsen od służby markiza, że ten zaproszony jest na polowanie do księcia Montemar.

Istotnie w dniu tym Albufex w towarzystwie jednego tylko służącego udał się na dworzec północny.

Arsen oczywiście kupił sobie bilet na tenże pociąg i pojechał w ślad za niedomyślającym się niczego markizem.

Przejechawszy kilka stacyj, markiz wysiadł, a z nim oczywiście Arsen.

Przed dworcem, obok kilku nędznych furmanek, oczekiwał zgrabny wózek, wysłany zapewne przez księcia Montemara.

Markiz wsiadł do niego, podczas gdy strzelec jego wskoczył na kozioł. Stangret miał na sobie także strzeleckie ubranie, a gdy uchylił kapelusza, witając markiza, Arsen zauważył, że człowiek ten ma typ południowy, zdradzający cudzoziemskie pochodzenie.

Niewiele myśląc, Arsen wynajął pierwszą z brzegu furmankę i kazał się wieźć do zamku księcia Montemar.

— Pan zapewne na polowanie? — zapytał go powożący chłopak.

— Tak jest.

— A to w takim razie powiozę pana do oberży w lesie, bo tam spotkać się mają wszyscy panowie, biorący udział w polowaniu.

— A tak, masz słuszość, przyjacielu, zapomniałem o tem. Popędzajże dobrze, abyśmy mogli doścignąć margrabiego Albufex. Nie pożałuję ci napiw-

ka. — To mówiąc, błysnął przed oczy chłopcu złotą dziesięciofrankówką.

— To będzie trudno, proszę pana, bo stary Sebastiani lubi gnać jak wicher, a i konie ma lepsze od moich.

— Któż to jest stary Sebastiani? Zapewne stangret księcia Montemara.

— O nie, Sebastiani jest strzelcem, i służył w pierw u pana Albufex, ale gdy markiz sprzedał swoje dobra, Sebastiani przeszedł na służbę księcia i jest leśnikiem w puszczy Darlen, ale dziś wyjechał na spotkanie dawnego swego pana.

— Tak więc jest do niego przywiązany?

— Sebastiani i jego synowie zawdzięczają wiele markizowi Albufex, a przytem są jednego z nim rodu.

— Jakto jednego rodu? Przecież to są ludzie prości, a markiz jest wielkim panem.

— No tak, ale stary Sebastiani przyjechał tu z daleka, z jakiejś wyspy, z której pochodzi także rodzina pana margrabiego.

— Z wyspy mówisz? Może z Korsyki?

— Tak właśnie — potwierdził chłopak — ludzie tu nazywają ich Korsykanami.

Arsen aż uniósł się w siedzeniu, słysząc te słowa. A więc domysły jego były prawdziwe. Albufex był Korsykaninem, a ci ludzie musieli mu być oddani. Kto wie, czy nie oni to właśnie byli sprawcami zamachu. Wszakże mówiono o czterech ludziach, którzy unieśli związanego Daubrecq'a, piąty zaś oczekiwał na nich w samochodzie. Musieli to być właśnie ów stary Sebastiani i jego trzech synowie.

Na tem urwała się jego rozmowa z woźnicą, który zachęcony nadzieją datku, popędzał tak dzielnie swoje koniki, że przedział między nimi a zaprzęgiem Albufex'a nie zwiększał się wcale, tak, że Arsen mógł mieć wciąż markiza na oku. Wreszcie z pomiędzy drzew ukazały się dach i ściany ładnej leśnej gospody. Arsen rozkazał stanąć swemu woźnicy w pewnej

odległości, a sam wyskoczył i udał się pieszo w stronę oberży.

Chciał mieć swobodę ruchów i nie zwracać na siebie zbyt wiele uwagi. Po drodze już obmyślił sobie rolę, jaką ma odegrać, wyjął więc z kieszeni podręczny aparat fotograficzny i rozglądał się z miną człowieka, który szuka odpowiedniego miejsca dla wykonania zdjęć.

Pomysł to był wyborny, gdyż nie był tu jedynym; kilku reporterów pism sportowych, przybyłych umyślnie z Paryża, dla opisanego arystokratycznego polowania, zajętych było podobnymi zdjęciami. — Mógł więc uchodzić za jednego z nich, a w ten sposób obecność jego była zupełnie usprawiedliwioną. Nie spuszczał oczywiście z oka margrabiego i jego stangreta. Markiz wyskoczył z karjolki, a stary Sebastiani, powierzwszy zaprzęg jakiemuś wieśniakowi, przyprowadził przed ganek oberży dwa osiodłane konie. Arsen mógł się wtedy przypatrzeć twarzy starego Korsykanina.

Była to twarz sucha, koścista, z wydatnym orlim nosem i głęboko osadzonemi, czarnemi oczyma. Było w tym człowieku coś drapieżnego, a przytem rysy jego nacechowane były wyrazem zaciętego uporu.

Obchodził się z markizem z wielkim szacunkiem i widocznem było, że uważa go za swego pana i rozkazodawcę raczej, niż gościa, zaproszonego na polowanie.

— Człowiek jak wymarzony na powiernika w tajemniczych knowaniach — pomyślał Arsen. — Musi być wiernym, oddanym sługą i nie zdradzi z pewnością swego pana.

— Postaram się o wierzchowca — pomyślał Arsen — i pojedę za nimi, a w razie gdyby się rozłączyli, śledzić będę raczej sługę niż pana.

Wykonał natychmiast swój zamiar. Dostał bez trudności osiodłanego konia, bo było ich kilka przy-

gotowanych dla reporterów paryskich, ale większość tych panów wołała jechać powozem.

Arsen był doskonałym jeźdźcem, więc nie potrzebował się zbytnio wyęźać, tembardziej, że markiz i jego strzelec jechał stępą dość długo w głąb lasu wraz z całą gromadą myśliwych.

Gdy byli już niedaleko wyznaczonych stanowisk, Albufex zamienił kilka słów ze starym Sebastianem, poczem ten uchylił kapelusza i zawrócił, spotykając się oko w oko z Arsenem, któremu twarz Korsykana wydała się jeszcze dzikszą, niż poprzednio.

Od tej chwili Arsen czekał tylko sposobności, aby uskoczyć w bok, a gdy znalazł się między drzewami, zawrócił w tymże kierunku, w jakim widział odjeżdżającego strzelca.

Stary nie śpieszył i jechał zwolna, puszczając dym z fajki. Jechali tak w stosownej do siebie odległości, dobre pół godziny, poczem las zaczął rzednąć, a poprzez pnie drzew błysnęła wstęga rzeki. Arsen zatrzymał się, bo tu zaczynała się bezdrzewna dolina, gdzie śledzony przez niego strzelec mógł go łatwo zauważyć. Niewiele myśląc, zeskoczył ze swego wierzchowca, zostawiając mu swobodę, z której spokojne zwierzę skorzystało dla skubania trawy, sam zaś podsunął się ostrożnie aż na skraj lasu, a potem cicho i zgrabnie jak kot wydrapał się na szczyt rozłożystego dębu.

Widok, jaki stamtąd dojrzał, oczarować mógł każdego. Środkiem doliny płynęła srebrną wstęgą śliczna, o bystrych nurtach rzeka, a po obu jej brzegach wznosiły się malownicze skały. Nie było tu żadnego śladu ludzkiego mieszkania.

Co więcej, w czasie, gdy Arsen wdrapywał się na drzewo, stary strzelec, za którego śladem tu przybył, znikł mu gdzieś z oczu wraz z koniem. A przecież nie było tu innej drogi, prócz tej, która biegła wzdłuż rzeki, a którą Arsen widział wybornie, w całej rozciągłości z wysokiego swego stanowiska.

Kilka minut upłynęło, zanim zagadka ta została mu wyjaśniona. Po rzece płynęło czółno, pchane silną ręką przez szerokiego i barczystego przewoźnika.

To zapewne Sebastiani przeprowiał się na drugą stronę.

Arsen nie mógł udać się jego śladem, byłby to pościg zbyt wyraźny i Korsykanin spostrzegłby, że jest śledzony. Wahał się więc chwilę, poczem, trzymając się jedną ręką konaru dębowego, na którym siedział, drugą ujął lornetkę, a raczej rodzaj lunety, którą miał przewieszoną przez plecy.

Szklą tej lunety były wyborne, widział przez nie, jak na dłoni, łódkę Sebastianiego i mógł śledzić jego kroki, nawet na przeciwnym brzegu.

Ale tu stało się coś nadzwyczajnego. Łódka, przybiwszy do brzegu, znikła gdzieś, jakgdyby wsiąkła nagle w szarawą, skalistą ścianę, której poszarpane zarysy widne były zdaleka Arsenowi. Na rzece i dokoła niej zapanowała cisza i pustka. Dokoła nie było widać żywego ducha.

Arsen zsunął się z drzewa i począł iść w kierunku rzeki, chcąc zbadać na miejscu dziwne zjawisko, jakiego był przed chwilą świadkiem. Ale zanim wy dobył się na skraj lasu, uderzył go przybliżający się tętent galopującego w całym pędzie konia.

Zaledwie też zdołał się przycisnąć do rosochatego dębu, którego gałęzie dały mu dostateczną osłonę.

Tuż obok niego przebiegł w pełnym galopie jeździec, w którym poznał odrazu markiza Albufex'a. Markiz zatrzymał się o jakie 10 kroków od jego kryjówki i gwizdnał trzy razy.

Na to wynurzył się jak z pod ziemi młody, ogorzały strzelec, którego rysów Arsen nie widział, ale w którym domyślił się jednego z synów starego Sebastianiego.

Strzelec zbliżył się z czołobitną grzecznością do Albufex'a. Szeptali ze sobą chwilę, poczem zwrócili się na prawo, ku rzece. Arsen podążył niezwłocznie

za nimi. O jakie sto metrów znajdował się skraj lasu. Tuż za nim ciągnęły się widne pośród drzew wzgórza, pokryte bujną roślinnością.

Albufex i Sebastiani wyszli szybkim krokiem z lasu, jakby dążyli do dobrze im znanego miejsca. Zanim Arsen zdołał wydobyć się z pośród krzewów, bowiem nie śmiał zdążyć otwartą ścieżką, znikli mu z przed oczu pośród skał.

Arsen uważał za niebezpieczne dłuższe tu przebywanie. Ustroń ta była widocznie dobrze strzeżona. Przytem, zaraz po odejździe markiza, zauważył wąską smugę dymu, strzelającą w górę z pomiędzy skał. Znajdowało się tam więc jakieś ludzkie mieszkanie.

Na dziś miał już dosyć swych odkryć i postanowił wrócić do Paryża.

Przed odejściem dokonał jeszcze paru zdjęć malowniczej miejscowości, która służyła widocznie za mieszkanie rodzinne Sebastianiego.

W powrocie nie zaznał żadnych szczególnych przygód. Odnalazł bez trudności swego konia, pasącego się w lesie, a potem zatrzymał się jeszcze w gospodzie leśnej dla upozorowania swej dłuższej nieobecności tem, że zbłądził w lesie.

Zamówił szklanekę wina, którą podała mu zażywna jejmość, będąca zapewne właścicielką gospody. Wykazywała tyle gadatliwości, że wreszcie postanowił z niej skorzystać.

Pytała go, gdzie był przed chwilą, więc opisał, jak to zagłębiał się w gąszcza, aż przyszedł na brzeg rzeki i widział tam dziwne skały i wzgórza, których nie mógł dokładnie rozróżnić, bowiem przeszkadzało mu w tem bujne podszycie.

— Ach, więc pan był w ruinach zamku Mortepierre — rzekła bufetowa.

Ruiny zamku? A więc te szare skały nad rzeką są to ruiny, że też odrazu się tego nie domyślił.

Ruiny. W takim razie wszystko tłómaczy się samo przez się.

Prosta rzecz, że w ruinach tych znajdować się musi jakiś zachowany od zniszczenia kątek, w którym gnieździ się stary leśnik z synami.

A może tu właśnie znajduje się kryjówka, jakieś lochy średniowieczne, gdzie ludzie ci trzymają na uwięzi Daubrecq'a.

Wyobraźnia Arsena pracowała żywo, stawiając cały szereg związanych ze sobą przypuszczeń. Po chwili jednak zmienił zdanie.

— Nie! To byłoby zbyt proste.

Ruiny zamku Mortepierre, przypomniał je sobie teraz. Znane są przecie powszechnie. Z całej Francji zjeżdżają się podróżni i turyści dla oglądania ich. Stara ta budowla, sięgająca jeszcze czasów rzymskich, zniszczoną została ostatecznie za dni rewolucji. Ale zostały z niej jeszcze ciekawe szczątki. Bastjony, fragmenty murów. Całość oddana została teraz pod opiekę specjalnej komisji archeologicznej.

A jednak, jeśli Sebastiani jest stróżem tej miejscowości, to ułatwiłoby to znakomicie margrabiemu trzymanie tam swego więźnia.

Stare zamki, rzecz wiadoma, miewają zawsze jakieś lochy, przejścia podziemne. Badanie takich osobliwości było zawsze namiętnością Arsena.

Gdyby nie był słynnym włamywaczem, zostałby z pewnością archeologiem. Mając głowę nabitą temi myślami, pojechał Arsen do Paryża i stawił się tegoż jeszcze wieczora w mieszkaniu Klarysy de Mergy.

— Zamek Mortepierre? — zawołała hrabianka, gdy opowiedział jej swoje przygody — zamek Mortepierre, czekaj pan, słyszałam wiele o tych pięknych ruinach jeszcze w dzieciństwie.

— A czy zwiedzała je pani kiedy?

— Tak, zdaje mi się, jeszcze za życia mego ojca. Tu hrabianka zamyśliła się.

— Już wiem — rzekła po chwili namysłu — w bi-

bljotece naszej znajduje się stara broszura, opisująca ten zamek z czasów, gdy był jeszcze w dobrym stanie.

— Co pani mówi? — zawołał z radością Arsen. — Książka taka może nas lepiej objaśnić, niż żywy przewodnik. Gdyby pani raczyła ją odszukać.

— Ależ naturalnie, uczynię to natychmiast. — Rzekłszy to, Klarysa wyszła i wróciła po upływie kilkunastu minut, niosąc w ręku starożytny egzemplarz, oprawny w skórę z wytartymi już złoceniami.

Arsen rzucił się chciwie na książkę i przerzucał jej kartki drżącemi rękoma.

Klarysa pochyliła się nad nią również i pomagała mu w poszukiwaniach, wskazując na staroświeckie ryciny, odtwarzające zamek w różnych jego przemianach. Pomimo palącej ciekawości, jaką wzbudzała w nim ta książka, Arsen czuł się zmięszany tak bliską obecnością hrabianki de Mergy.

Wyczuwał nozdrzami subtelny woń, wydzielającą się z jej włosów, widział tuż przy sobie delikatny jej profil.

Mały Armand zaciekawiony był także widokiem tych starych, dziwnych ruin.

Nie bał się już wcale Arsena. Owszem, oswoił się z nim i zaprzyjaźnił. A ktoby widział w tej chwili tych troje, skupionych około pięknego mahoniowego stołu, oświetconego lampą, wzięłby ich zapewne za cichą, szczęśliwą rodzinę.

A przecież spokój dalekim był od serca hrabianki de Mergy, a nawet mały Armand, dziecko nad wiek roztropne — przeczuwał właściwe znaczenie tej narady.

Słyszając rozmowę siostry z Arsenem o podziemiach, biegnących spodem zamku — wyszeptał przyciszonym głosem:

— Więc może to tam ukryto kryształowy korek, siostrzyczko? Prawdziwy kryształowy korek? Tak-bym go chciał widzieć.

— Będiesz go widział chłopcze — upewniał go Arsen.

— A potem będzie znów wszystko dobrze, nieprawdaż panie? — pytało dziecko. — Ten korek jest może zaczarowany?

Nie było dziwnem, że w rozbującej wyobraźni malca sprawa kryształowego korka przybrała kształty jakiejś bajki czarodziejskiej.

Klarysa westchnęła smutnie..

Arsen chciał jej powiedzieć coś pocieszającego, ale nie zdobył się na to narazie. Przerzucił już książkę aż do ostatniej stronicy, gdy naraz z ust jego wyrwał się radosny okrzyk.

— Plan zamku, hrabianko! — zawołał, rozkładając arkusz szarego papieru, przyklejonego do okładki. — Plan zamku Mortepierre z 1724 roku, ależ to skarb prawdziwy. — Zagłębił się w badanie tego papieru, porównywując cyfry i znaki zawitych linii z opisem zamku, zawartym w książce.

— To zaczyna być naprawdę ciekawe — powtarzał. — Posłuchaj, hrabianko. Zamek wznosił się za swych dobrych czasów na trzypiętrową wysokość, ale prócz tego liczył jeszcze dwa dolne piętra, wykute w skale, pod poziomem rzeki, która go opływa. Miały to być suche, piękne komnaty, do których chronili się ludzie okoliczni w czasie wojny.

Nieledwie drugi zamek podziemny, nie murowany z cegieł, lecz wykuty w naturalnej skale. Górne piętra zostały zburzone, ale podziemia istnieć muszą jeszcze dzisiaj, i tam to jęczy bezwątpienia nasz „przyjaciół” Daubrecq.

— Tak, to bardzo możliwe — potwierdziła Klarysa — trzeba więc może uprzedzić o tem policję.

— O nie, hrabianko! Widok policji spłoszyłby tylko Sebastianiego, który musi być stróżem więźnia. A zresztą chciałbym dokonać odkrycia na własną rękę, niech mi pani zaufa.

— Wpierw przeczytamy uważnie wszystko, co dotyczy zamku — doradzała Klarysa.

Zaczęli więc czytać powoli, starannie, rozważając każde słowo.

ROZDZIAŁ VIII.

SALA TORTUR.

Była to naprawdę ciekawa opowieść. — Zamek Mortepierre przechodził różne koleje, a stare jego mury były świadkami niejednej ponurej tragedji. Miał też w podziemiach obszerne więzienia, w których jęczała niejedna ofiara, a także nieuchronny zabytek barbarzyńskich dawnych zwyczajów — izbę poświęconą na specjalny użytek dręczenia „winowajców.”

Izba ta zaznaczona była na planie ponurem mianem sali tortur.

Wśród licznych legend związanych z tem okropnem miejscem, jedna zwłaszcza zajęła szczególnie Arsena, a to z powodu, że zawierała pewne wskazówki co do sposobu, w jaki można było dostać się do tej podziemnej izby.

Legenda ta brzmiała jak następuje:

„Jeden z właścicieli zamku, hrabia de Mortepierre, żyjący jeszcze w XV. wieku, dowiedział się, powróciwszy z wojny, iż małżonka jego nie była mu wierną w czasie kilkuletniej jego nieobecności. Hrabia ten, który był człowiekiem dumnym i mściwym, ukarał w straszliwy sposób niešťczęśliwą kobietę.

„Osadził ją w sali tortur, gdzie przykuta do nędznego tapczanu żelaznemi łańcuchami, pędziła marne życie, otrzymując zaledwie tyle pożywienia, by nie umrzeć z głodu.

Krewni hrabiny Mortepierre wstawiali się za nią, ale obrażony mąż był nieubłagany.

Nie próbowali też oswobodzić jej siłą, bo zamek

był dobrze obwarowany, a jedyny dostęp do izby tortur, zamknięty podwójnemi, żelaznemi drzwiami, strzeżony był dniem i nocą przez uzbrojonych strażników.

Ale pewnej nocy kochanek więzionej hrabiny, pan de Tancarville, ważył się na krok szalony.

Wsiadł na łódź, która go podwiozła pod granitową skałę, stanowiącą jedną ze ścian zamku. W skale tej istniał zaledwie widzialny dla oka otwór zakratowany, służący za okno straszliwej sali tortur.

Odważny kochanek ustawił pod skałą składaną drabinę, której podstawę zatknął w mule rzecznym. Z jej pomocą wdrapał się aż do owego okna. Spuścił się przez nie niedostrzeżony przez strażników i oswobodził z więzów hrabinę Mortepierre.

Dalsze losy dwojga kochanków nie są znane.

Jedni opowiadali o nich, że uszli szczęśliwie, inni, że zginęli w chwili wsiadania do łódki, dostrzeżeni przez jednego ze strażników. Bądź co bądź nie słyszano już o nich więcej".

Po odczytaniu tej opowieści nastało głucho milczenie.

Arsen i Klarysa patrzyli na siebie, nie wypowiadając głośno swych myśli. A jednak w głowie Arsena powstał już śmiały plan.

Dlaczego ważyć się nie miał na to, czego dokonał przed dwustu laty ów pan de Tancarville?

— Czy tylko dostęp ten do zamku istnieje dziś jeszcze? — zagadnęła Klarysa.

— Patrz pani, oznaczony jest na planie czerwonym krzyżykiem.

— Ale po zawaleniu zamku za rewolucji mógł być zasypany.

— Zapomina pani, że cała ta część zamku znajduje się pod ziemią i że wykuta jest w naturalnej skale. Nie wysadzono jej z pewnością, tembardziej, że ludzie z czasów rewolucji nie znali jeszcze dynamitu.

— Panie! — zawołała hrabianka z nagłym zapamię. — Jeśli pan tam pojedzieiesz, to i ja także będę panu towarzyszyć. Czy tylko nie jest zapóźno?

— Nie, nie, sędzę, że mamy jeszcze czas. Polowanie, na którem bawi teraz margrabia Albufex, trwać będzie trzy dni jeszcze. Sędzę, że skorzysta on z tego, by odwiedzić swego więźnia.

— Ależ to nam utrudni nasze zadanie.

— Bynajmniej. Nikomu na myśl nie przyjdzie, żeśmy odkryli to zapomniane przejście. A przytem chciałbym być świadkiem rozmowy margrabiego z jego więźniem.

— A jeśli go tam wcale niema?

— W takim razie przekonamy się o tem naocznie i obrócimy poszukiwania nasze w inną stronę. Rzecz cała rozstrzygnie się w paru dniach.

Noc cała zeszła Arsenowi na przygotowaniach. Jeden tylko Le Balu dopuszczonym został do tajemnicy i on tylko towarzyszyć miał wyprawie.

Nazajutrz wczesnym bardzo rankiem Klarysa pojechała na dworzec, powierzywszy wprzód małego Armanda staraniom Wiktorji. Arsen nadjechał innym pociągim i oboje spotkali się w leśnej gospodzie. Zachowywali się wszakże względem siebie jak ludzie obcy.

Le Balu ukryty w zagłębieniach skał, sterczących na przeciwnej stronie rzeki, robił tymczasem niezbędne przygotowania. Przywiózł z sobą krótką drabinę drewnianą i dłuższą sznurową i postarał się o łódkę. Pod wieczór zajechał samochodem przed gospodę, a nie zdziwiło to nikogo, gdy Klarysa, ubrana w skromny lecz elegancki strój turystki, wsiadła do tego ekwipażu i odjechała w stronę Paryża. Był to właśnie manewr, który połączył troje spiskowych. Hrabianka de Mergy w ciągu dnia nie straciła zresztą czasu. Usiadłszy przy ustronnym stoliku, w gospodzie leśnej, przysłuchiwała się rozmowom, a imię margrabiego Albufex'a obito się kilkakrotnie o jej słuch.

— Margrabia zabił dzika — upewniał jeden ze strzelców.

— Dzielny to myśliwy, jakich już dziś mało — dodał inny.

— Nie chce nawet sypiać w zamku, lecz przyjął gościnę u starego Sebastianiego.

— Przyjeżdża tam co noc, a potem wstaje o świcie i jest zawsze pierwszy na stanowisku.

Ludzie tak rozmawiający należeli przeważnie do służby myśliwskiej i posilali się w gospodzie, podczas gdy panowie ich podejmowani byli w pałacu księcia. Żaden z nich nie zwrócił uwagi na siedzącą na uboczu hrabiankę, która zapisywała skrzątnie w pamięci niektóre ich słowa.

Jeżeli markiz spędzał noc w leśnem mieszkaniu dawnego swego sługi, to przypuszczenia Arsena były bardzo prawdopodobne. Dawało mu to wyborną sposobność odwiedzenia ruin nocną porą — a jeżeli Daubrecq był tam istotnie ukryty, jakże straszne sceny musiały się rozgrywać w tem ponurem podziemiu.

Arsen ze swej strony błędził po lesie w przebraniu artysty malarza. Zatrzymywał się tu i ówdzie kreśląc nieudolne szkice, których na szczęście nikt nie oglądał. Powoli, ostrożnie zbliżał się coraz bardziej do rzeki.

Pod wieczór połączył się z Klarysą i z Le Balu w miasteczku; dla lepszego zatarcia śladów po sobie, kazali się zawieźć na dworzec, jakgdyby mieli zamiar udać się w dalszą drogę koleją.

Zamiast tego, udali się naprzód nad brzeg rzeki, a około 10-ej w nocy znajdowali się wszyscy obok łódki przygotowanej przez Le Balu.

Serca im biły mocno, gdy przeprawiwszy się na drugą stronę, stanęli pod skalistą ścianą, podpierającą ruiny Mortepierre.

Arsen wydał ostatnie polecenia towarzyszowi. Obecność Klarysy dodawała mu szalonej odwagi.

Przytwardzono drabinę i Arsen zaczął się wspinać

w górę. Była to niebezpieczna droga, bo skalisty brzeg był tu wysoki na kilkadziesiąt metrów.

Wkrótce drabina się skończyła i Arsen postępował w górę, mając powróż opasany kilkakrotnie dokoła pasa. Szedł wciąż wyżej i wyżej, stawiając stopy na wystęпах i wydrążeniach, które spotykał po drodze. Chwilami robiło mu się straszno, gdy widział się zawieszonym nad wodą i zdawało mu się, że ta podróż nigdy się nie skończy. Chwytał się rękami ostrych kamieni, podrapał się do krwi, a wciąż jeszcze miał przed sobą chropowatą, szarą skałę bez śladu żadnego okienka, otworu lub strzelnicy.

Gdyby tak poszło dalej, wyprawa jego byłaby chybiona. Parę razy pośliznął się i o mały włos nie stoczył się do rzeki.

Nagle uszu jego dobiegł daleki, głuchy szmer głosów ludzkich. Znieruchomiał, trzymając się konwulsyjnie skalistej ściany.

W tej chwili odezwały się głosy, które dochodziły go z dołu, od prawej strony.

Co więcej, zwróciwszy głowę na prawo, dojrzał coś, jakby wąską smugę światła. Teraz czekała go najtrudniejsza część zadania.

Łatwiej było pisać się prosto w górę, niż posunąć się w bok, po strasznej, spadzistej ścianie. Należało jednak koniecznie tego dokazać, inaczej cała wyprawa na nic.

Ostatnim wysiłkiem woli dopiął jednak i tego. Powolnemi, nieznacznymi ruchami, podobny do wielkiego owada pełznącego po skale, zbliżył się do miejsca, skąd pochodziło światło.

Tu niespodzianie znalazł wcale bezpieczne stanowisko. Skała gruba w tem miejscu na kilka metrów, przebita była na wylot, wskutek czego utworzył się tu rodzaj korytarza, w którym od biedy pomieścić się mógł człowiek w postawie leżącej.

Skorzystał z tego Arsen i wsunął się w ów otwór, opatrzony z przeciwnej strony kratą żelazną.

To właśnie musiało być owe okno, przez które legendarny kochanek wykradł niegdyś więzioną hrabinę.

Naprawiono je widocznie od owego czasu, kto wie, może nawet w ostatnich czasach, bo krata nie była wcale zardzewiała.

Arsen posunął się leżąc plackiem aż do przeciwnego końca zakończonego kratą i podparłszy głowę na rękach, zapuścił do wnętrza ciekawy wzrok.

To co zobaczył, przenosiło go w odległe czasy i wydać się mogło bajką opowiadaną dla zdziwienia naiwnych słuchaczy, nie zaś rzeczywistością.

Miejsce, w którym się znajdował, było oknem, wyciętem wysoko w górze, w jednej ze ścian obszernej, ponurej sali, której sklepienie podtrzymywało kilka kamiennych filarów.

Wilgoć sączyła się po ścianach, zatechła, spleśniała woń wydzielala się z każdego zda się kąta.

Podłoga wyłożona była szerokimi kamiennymi płytami.

W sali tej nie było żadnych sprzętów prócz staroświeckiego, prostej budowy łóżka, na którym leżał skępowany mocno więzień.

Poznał w nim Arsen posła Daubrecq'a, odróżnił dokładnie jego rysy, pomimo znacznej odległości, bo w nawpół ciemnej sali miejsce, gdzie leżał, było jedynym oświetlonym punktem.

Arsen zauważył odrazu wszystkie środki ostrożności, jakimi otoczono jeńca. Nie dość, że Daubrecq był przymocowany do łóżka mocnym powrozem, ale jeszcze łóżko samo przykręcone było do podłogi zapomocą mocnych śrób.

Prócz tego ręce i stopy posła opasane były w kostce skórzanymi rzemykami. Lampa, ustawiona na kamiennym stole, oświecała doskonale twarz więźnia. Przy nim stało dwóch ludzi, a jednym z nich był margrabia Albufex. Arsen widział dokładnie jego pociągłe blade rysy i szpakowaty zarost z ostro za-

kończoną brodą, tak zwaną napoleońską. Dostrzegał też wyraz okrutnego zadowolenia, malujący się na jego twarzy. Przez chwilę panowało milczenie. Potem Arsen usłyszał głos margrabiego:

— Sebastiani, zapal jeszcze trzy pochodnie, abym się mógł lepiej przyjrzeć.

Wtedy Albufex pochylił się nad swym spętanym wrogiem i rzekł prawie łagodnie:

— Słuchaj, nie wiem, co się stanie ostatecznie ze mną i z tobą, ale bądź co bądź przeżywam dzięki tobie w tej ponurej sali prawdziwie rozkoszne godziny. Miałeś mnie w ręku, ha! ha! Ty mnie. Ja margrabia Albufex, żołnierz i syn żołnierza, uniżyłem się przed takim jak ty płazem, błagałem ciebie o litość, płakałem niemal żywymi łzami. Ograbieś mnie, ogołociłeś z majątku, zmuszałeś do tego, że pracowałem na ciebie jak niewolnik. Tak jest, pracowałem na swój sposób. Gdy spędzałem noce całe w klubie, stawiając coraz wyższe stawki; gdy z krwią nabiegłemi oczyma nie wstawałem od zielonego stolika przez długie, długie godziny, ludzie mówili o mnie: „Co za namiętny gracz z tego Albufex'a, hazard jego życiem.” — Nie wiedzieli, że chodziło mi o to jedynie, by wygrać kwotę potrzebną na okupienie twego milczenia. Drżałem o honor swój, o wiecznie zagrożone dobre imię. Wiedziałeś o tem, jak dalece jestem na to czuły.

Margrabia umilkł, a Arsen przeniósł z kolei wzrok na leżącego Daubrecq'a.

Twarz pośła, oświecona żywym blaskiem kilku pochodni, wydała mu się jakaś dziwnie upiorna. Policzki miał zapadłe, rudy zarost niegolony od dłuższego czasu, zwichrzone rude włosy, tworzyły dla twarzy fantastycznie groźne obramowanie.

Wyglądał naprawdę na spętanego potwora. Oczu tylko nie mógł Arsen widzieć, bo zakrywały je okulary, w których odbijały się, jak w dwóch zwierciadłach, migotliwe płomyki świec. Po krótkiej pauzie margrabia mówił dalej:

— Muszę sobie przypominać przeszłość, ilekroć tu przychodzę, aby się lepiej jeszcze nasycić zasłużonym odwetem. Wiem, że to już nie potrwa długo. Podejrzani ludzie kręcą się w okolicach tych ruin.

Prasville nasyła mi swoich szpiclów. Boi się biedaczysko o losy fatalnej listy. A ty milczysz upornie, milczysz wciąż. To nic. Przedłużasz przez to swoją niewolę. Musisz wkońcu przemówić. Stanie się to może dziś jeszcze. Ciekawe! Prawda? Doznasz wnet na własnej osobie, czym były średniowieczne tortury. Rachujesz możesz na pomoc, liczysz na przyjaciół? Nie, nie, wiesz równie dobrze jak ja, że taki wyrodek plemienia ludzkiego jak ty, nie może mieć przyjaciół. Chyba sam belzebub stanie w twojej obronie, chociaż sądzę, że i on pogardza takim jak ty kumotrem. A zresztą, gdyby ktoś pokusił się o wyswobodzenie cię stąd, nie dla twych pięknych oczywiście oczu, lecz dla twej listy — to i na to znajdzie się rada...

— Sebastiani! — rozkazał, zwracając się do Korykanina — pokażno temu ptaszкови klatkę, do której go wsadzimy w razie ostatecznym.

Na ten rozkaz, Sebastiani przykląkł na podłodze i jakimś wiadomym sobie sposobem poruszył sztuczną sprężynę, poczem największa płyta kamienna, umieszczona pośrodku sali w podłodze odsunęła się, odsłaniając bezdenną czeluść.

— Patrz tylko — mówił margrabia. — To ostatecznie schronienie dla twej marnej osoby. Tu straci cię Sebastiani, w razie gdyby policja zapędziła się za tobą aż tutaj. Sam widzisz, że nie zapomniałem o niczem, wszystko przewidziałem, czy jeszcze chcesz się opierać? Czy się jeszcze nie przyznasz?

Daubrecq milczał wciąż. — Arsen słuchał tej rozmowy z bijącym sercem. Ostatnie słowa margrabiego wlały w niego tuchę. A więc Daubrecq nic jeszcze nie wyznał, nie było więc nic straconego, tajemnica kryształowego korka nie została odkrytą Albufex'owi. A jeśli Daubrecq powie coś wreszcie, jeśli oprawcy

jego wymuszają na nim wyznanie torturą, to i tak on, Arsen, usłyszy owo wyznanie współcześnie z Albufex'em, a skorzysta z niego wcześniej, uprzedzi margrabiego.

Margrabia przemówił znów:

— Po raz czwarty wzywam cię do mówienia. Wypluń wreszcie swoją tajemnicę, bo ci ją i tak z gardła wydrzemy. Nie doprowadzaj mnie do ostateczności. Nie mam wogóle miękkiego serca, a z pewnością nie ty wzbudzisz we mnie litość... No cóż? Będiesz mówił, czy nie?

Przy ostatnich słowach czuć było już głuchą furję w głosie margrabiego.

— Milczysz! a no dobrze, sam tego chciałeś — Sebastiani, zaczynaj!

Na rozkaz ten Korsykanin przystąpił do więźnia wraz z dwoma synami. Jeden z nich trzymał w ręku rodzaj drążka.

— Zastanów się — rzekł jeszcze markiz — czy warto narażać się na ból.

Daubrecq milczał. Wtedy Sebastiani, zwolniwszy nieco rzemyki krępujące w kostce obie ręce Daubrecq'a, wsunął pod nie ów drążek, to samo zrobili jego synowie, wsuwając narzędzie tortury pomiędzy związane stopy pana posła.

Arsen patrzył ze zgrozą.

Na dany znak czterej oprawcy zaczęli naraz swą okropną robotę. Polegała ona na powolnem odchyłaniu drążka, aż do wykonania nim całkowitego obrotu. Była to straszna tortura. Za każdym poruszeniem drążka rzemienie wpijały się głębiej w ciało.

Arsenowi zdało się, że słyszy już trzask gruchotanych kości.

Daubrecq wydał głuchy jęk.

— Głupcze — krzyknął margrabia — czy myślisz, że wzruszą mnie twoje jęki? Lubimy jak widzisz rozmaitość, ja i moi współpracownicy. Co dnia inną, co dnia wy-

myślniejszą zadamy ci mękę. Powtórzy się na tobie cała historia dawno zapomnianych sposobów.

— Czy nie masz jeszcze dość tej swojej listy? Czy nie nasyciłeś się nią dotąd? Użyłeś jej do syta bratku, teraz kolej na innych. — Mów! Jedno słowo a zostawimy cię w spokoju.

Daubrecq był niewzruszony.

Arsen podziwiać musiał żelazną wytrzymałość tego człowieka.

— Powtórz Sebastiani — rozkazał margrabia.

Korsykanie zabrali się znów do dzieła. Obracali drążki z widocznym wysiłkiem. Opór był coraz większy, a ból zadawany dręczonemu coraz sroższy. Wreszcie z gardła torturowanego wydarło się charczenie, nie przypominające prawie ludzkiego głosu, a potem zdało się Arsenowi, że słyszy wołanie o ratunek.

— Dosyć — rzekł margrabia, który sam miał twarz zmienioną i któremu pot kroplisty wystąpił na czoło.

— Widzisz, że przemówiłeś, musisz wyznać.

Arsen myślał w tej chwili, że mimo, iż jest rzeźmieszkciem, nie potrafiłby znęcać się w tak okropny sposób nad ludzką istotą. Mniemał wszakże tak samo jak margrabia, że Daubrecq ulegnie teraz. Nastawiał więc pilnie uszu, by pochwycić jego tajemnicę. Myślał już o odwrocie, o samochodzie oczekującym na niego przy drodze. Jakże się będzie musiał śpieszyć do Paryża, by przybyć pierwszemu na miejsce.

— Mów! — powtarzał margrabia, pochylony nad swą ofiarą.

— Powiem... tak.. już powiem — wyjąkał Daubrecq.

Na twarzy margrabiego odbiła się dzika radość.

— Mów-że...

— Nie, nie, jutro dopiero, powiem wam jutro.

— Co? Jutro? Kpiny sobie z nas stroisz? Sebastiani, zaczynaj!

Ale Daubrecq nie czuł się widocznie na siłach

opierać dłużej. W chwili, gdy oprawcy pochyłili się nad nim, dla zadania mu, jak się zdaje, nowego udręczenia, poseł krzyknął niehumanym prawie głosem:

— Dosyć! dosyć! Powiem wam, gdzie jest ukryty.

— A zatem!

— *Märy...* — wyjąkał dwukrotnie — *Märy...* — ale wnet umilkł. Twarz jego stała się blada jak papier, rysy zeszywniały.

— Ho! ho! Czyżbyśmy przesadzili dozę — zaśmiał się margrabia. — Przyjacielu! Cóż to?

Ale Daubrecq nie dawał znaku życia — usta miał niedomknięte, białe zęby lyskały martwo z pośród rozwartych warg. Podobny był w tej chwili do ranego zwierza. Było to omdlenie.

Na skinienie margrabiego skropiono mu twarz wodą, do ust wlano przemocą kieliszek koniaku.

Margrabia sam opadł na stołek, umieszczony obok łóżka, ocierając chustką zroszone czoło.

— Oh! Co za plugawa robota — rzekł na głos.

— Może będzie dość na dziś — zaproponował stary Sebastiani, którego ponura twarz wyrażała przecież pewne wzruszenie.

Margrabia nie odrzekł nic.

Nalał sobie pełną szklanek koniaku i wychylił ją duszkiem.

To mu dodało odwagi.

— Nie, nie — rzekł. — Odkładać nie mogę. Pewien jestem zresztą, że powie dziś. Wszak już coś zaczął.

Odprowadziwszy następnie na stronę leśnika, zaczął z nim coś szeptać.

Stali tak blisko okna, w którym znajdował się Arsen, że ten dosłyszeć mógł niektóre urywki ich rozmowy.

— Powiedział dwa razy *Märy...* — wołał margrabia.

— To zapewne nazwisko osoby, której dał do schowania papier.

— Nigdy w świecie — zaprzeczył margrabia. — Nie oddał on nikomu listy. Ukrył ją sam i sam tylko wie o miejscu, gdzie jest przechowana. Skoro się tylko obudzi, przeciągnięcie mu znów wasze drążki.

— Skórę ma już zdartą dokoła.

— Tem lepiej, prędzej usłucha głosu rozsądku.

Margrabia był podniecony trunkiem i widocznem było, że się przed niczem nie cofnie.

Synowie Sebastianiego zajęci byli tymczasem trzęsieniem omdlałego. Daubrecq długo nie dawał się przywołać do życia, chciał może udawać omdlenie, ale powracający oddech zdradził w nim iskrę życia.

— No! no! nie rób trupa — zauważył sucho margrabia.

Ale już na sam widok narządzi tortury, Daubrecq rzucił się na łóżku, o ile na to pozwalały jego więzy.

— No dobrze, dobrze — pocieszał go margrabia — widzę, że masz ochotę pogodzić się z koniecznością. Sam widzisz przyjacielu, że niema co bawić się w bohatera. Ból jest zawsze bólem — i rozumny człowiek nie daje się napróżno torturować, skoro wie, że jedno jedyne słówko może go uratować. Opowiesz teraz wszystko, jasno, porządnie, nie bawiąc się w półsłówka. No! Sebastiani, poświeć mu dobrze w oczy.

Stary leśnik podniósł lampę wprost głowy leżącego. Markiz wpatrywał się chciwie w twarz Daubrecq'a — bladą i zmienioną od bólu.

— Rusza ustami, mówi, naturalnie, że mówić będzie. Dobrze, przyjacielu — słucham cię, jestem cały słuchem.

Tu Arsen Lupin zaklął w duchu, najstraszniejszymi klątwami, jakie zna mowa ludzka. Bo i na cóż mu się przyda cała zasadzka, urządzona z takim trudem?

Daubrecq mówił, wyznawał coś margrabiemu Albufex, którego twarz rozpozodziła się nagle.

Ale cóż, wyznanie to, cała historia kryształowego

korka, czy też innej jakiej skrytki, w której przechowany był fatalny papier, wypowiedaną była tak cicho, że ani jeden wyraz nie dochodził do uszu Arsena.

Słyszał tylko wykrzykniki margrabiego, jak na przykład:

— Bardzo dobrze, wyśmienicie, wspaniale pomyslane. I to tak pod nosem dyrektora policji? Ha, ha! wyborna sztuczka. A tylko czy można ci wierzyć? Czy mówisz prawdę? Chyba, że tak, bo wszak rozumiesz dobrze bratku, że nie wypuszczę cię stąd, dokąd nie sprawdzę na miejscu. Jadę zaraz, dziś jeszcze do Paryża.

Arsen wściekał się w swojej kryjówce. Tego nie przewidział. Pewien był, że uchwyci jakiś pewny wątek, a tu nie usłyszał nic prócz owego dwukrotnie wypowiedzianego słowa *Mary*. Co to mogło znaczyć? Byłóż to imię?

Mary jak wiadomo oznacza po angielsku Marja. Podobnie, jak przed chwilą markiz, łamał sobie Arsen głowę nad rozwiązaniem łamigłówki. Spowiedź Daubrecq'a skończyła się wreszcie.

Markiz powstał i spojrział na zegarek.

— Sebastiani — rzekł. — Odwieziesz mnie na dworzec, mamy jeszcze trzy godziny czasu do odejścia pociągu.

Arsen zadrżał.

— Markiz więc odjedzie za trzy godziny — myślał Arsen — i rankiem już będzie w Paryżu, a potem...

Tu jakby w odpowiedzi na jego obawy ozwał się głos starego Sebastianiego:

— Ale jakże to będzie, panie margrabio. Dom pana posła obsadzony jest przez policję, nie uda nam się przedostać do niego w dzień.

— A więc spróbujemy w nocy. Nie bój się, wejdę tam drzwiami czy oknami, najdalej jutro o tej porze.

Słyszając to, Arsen odetchnął. Miał więc przed sobą jeszcze całą dobę czasu.

Margrabia i Sebastiani zabierali się już do odwrotu.

— Wy chłopcy — rzekł margrabia odchodząc — miejcie go wciąż na oku, aż do naszego powrotu. Ty zaś, przyjacielu — dodał jeszcze, zwracając się do swego więźnia — odpoczniesz teraz. Wolno ci użyć trochę swobody. Jeśli tym razem powiedziałaś prawdę, nie zapomnę ci nigdy oddanej przysługi. Gdybyś był kiedy w biedzie, co łatwo może się zdarzyć teraz, gdy już nie będziesz w posiadaniu tego małego kryształku, który był dla ciebie prawdziwą kopalnią złota, ja sam gotów jestem wesprzeć cię w potrzebie. W mojej izbie czeladnej znajdzie się zawsze dla ciebie kęs chleba i łyżka zupy. Rachuj na to obywatelu, bo co się tyczy twego posłowania, musisz się z niem pożegnać, a i z wpływami także. O! Francja odetchnie teraz naprawdę. Ze też i fortuna zdobywa się czasem na dobre uczynki! Żaden filantropby temu nie uwierzył. Dajcie mu jeść i zwolnijcie mu trochę więzów.

Arsen słuchał z zapartym tchem długiego tego przemówienia. Najbardziej uderzyła go wzmianka o kryształ. Nie korek kryształowy, lecz kryształ.

W każdym razie Klarysa de Mergy miała słuszość. Wydmuchany kryształ był widocznie ową kryjówką, w której umieszczoną była lista, ale prócz tego, musiał być gdzieś zamknięty.

„Pod nosem dyrektora policji“, mówił margrabia, a więc na wierzchu w mieszkaniu posła, ale gdzie. Wszak tyle razy już on i Klarysa oglądali każdy przedmiot.

Margrabia i Sebastiani wyszli — Lupin zaś został jeszcze w swej kryjówce. W pierwszej chwili chciał śpieszyć za margrabią, schwytać go po drodze z pomocą Le Balu i uwięzić we własnym samochodzie do swego domu pod Paryżem. Gdyby zamach się udał, wynusiłby od margrabiego jego tajemnicę temi samymi środkami, jakich margrabia użył przed chwilą względem Daubrecq'a. Byłoby to tylko oddaniem na-

leżytej kary winnemu. Ale zaraz osądził sam, że zamiar to był niepraktyczny. Miał tu przecie Daubrecq'a, mniej pilnie strzeżonego. Prościejby było dotrzeć do niego i wydobyć wprost od niego wiadomość o liście 27-miu. Skoro powiedział ją margrabiemu, może ją i komuś drugiemu powtórzyć. Będzie to nawet zemsta nad tym, który go przed chwilą torturował. Pod wpływem tej nadziei Arsen pozostał na miejscu — i śledził dalej wewnątrz izby tortur. Zwolniono istotnie więzy Daubrecq'a, pozwolono mu nawet usiąść. Pilnował go jeden tylko z synów Sebastianiego, uzbrojony w strzelbę, było to aż nadto dostateczne wobec człowieka skrępowanego i osłabionego torturą, a zresztą i samo więzienie było chyba dość warowne.

— Jeżeli ten obywatel zamierza czuwać całą noc — mówił do siebie Arsen — na nic moje zamyśły; gdyby też nieba zesłały na niego sen, dobry, mocny sen.

Ale bracia zamierzali widocznie zmieniać się kolejną przy więźniu, bo po chwili ten, który pozostał przy nim, powstał i uchyliwszy drzwi, rozmawiał z braćmi. Arsen dosłyszał tylko, że mówili coś o wieczery. Zapewne tamci posilają się, a ten czeka na swoją kolej. Co tu robić? Nigdy jeszcze Arsen nie był w tak trudnem położeniu. Powracać z niczem nie chciał, nie czuł się zaś na siłach podejmować walki z trzema krzepkimi jak dęby chłopakami. Ale naraz los mu posłużył.

Stróżujący przy Daubrecq'u powstał, przeciągnął się leniwie i posunął ku drzwiom. Widocznie nie czując nad sobą surowego oka starego ojca, synowie Sebastianiego wyłamywali się z karności. Młody żołądek upominał się o swoje prawa, i ten, który siedział przy Daubrecq'u, śpieszył do swych braci dla wzięcia udziału w wieczery, zapewne sutej, bo margrabia nie żałował niczego swym współnikom. Młody Sebastiani obejrzał się raz i drugi na więźnia, a potem zniknął, zamykając za sobą ciężkie żelazne drzwi.

Zaledwie się to stało, Daubrecq, który dotąd udawał śpiącego, podniósł nagle głowę, potem, o ile mu pozwalały więzy, próbował poruszać rękami i nogami. Robił to wcale sprawnie. Nie połamano mu widocznie kości. Nie tracąc czasu Arsen wydarł ćwiartkę papieru ze swego notatnika, nakreślił na niej kilka słów, a zwinąwszy papier w kulkę, cisnął ją tak celnie, że ugodziła w sam nos Daubrecq'a, a potem upadła obok jego nóg na podłogę. W pierwszej chwili Daubrecq drgnął, więcej prawie przestraszony niż zdumiony; podejrzewał widocznie nową zasadzkę. Patrząc nieufnie na papierową kulkę, a wreszcie nagłym ruchem pochylił się i podjął z ziemi.

„Przyjaciele blisko, baczność — w górze okno, podnieś głowę, możemy pomówić“.

Przeczytawszy raz i drugi kartkę, Daubrecq podniósł istotnie głowę. Wtedy Arsen zawołał stłumionym głosem:

— Tędy można uciec, kratę przepiłuję. Czy synowie Sebastianiego sypiają w tej izbie?

— Nie zawsze — brzmiała odpowiedź.

— Spuszczę ci drabinę sznurową, potrafisz się na nią wdrapać.

— Ręce mam związane — odrzekł Daubrecq.

Na to Arsen rzucił mu ostry nożyk kieszonkowy.

Daubrecq posunął się na łóżku, a potem opadł znów, zamykając oczy.

Ostrożność ta nie była zbyt użyteczną.

Sebastiani wszedł wraz z synami do izby.

Daubrecq podniósł nagle głowę, jakby dopiero teraz zbudzony.

Stary leśnik przystąpił do niego i ujawszy się pod boki, stanął przed więźniem z fantazją i rozpoczął długą przemowę. Wino rozwiązało mu język.

— Jak zdrowie wasze, panie? — zaczął. — Cóż? Czy dopiekły wam te różne sztuczki, któreśmy tu z wami robili? Ha, ha, dawniej to było w modzie. Niejedno widziała ta izba, o niejedno. Dziś to rzadkość.

Mówił nam pan margrabia, że trzeba mieć osobne szczęście, żeby się tu dostać. Ale też pan margrabia rad jest teraz z was, bardzo rad. Kazał mi dać wam wina. Wypijcie panie, proszę.

Podawał flaszkę Daubrecq'owi, ale wpierw sam z niej dobrze pociągnął.

Pan poseł nie odmówił wina; w jego położeniu nie było to do odrzucenia, dodać mu mogło sił.

— A teraz, smyki, precz stąd! — krzyknął Sebastiani do synów — możecie legnąć na siennikach, tam, za drzwiami, a my tu sobie zostaniemy z panem posełem.

Synowie wypełnili rozkaz ojca.

— Pan margrabia jest bardzo rad — mówił dalej stary — ale nie śmiał się z waszej kryjówki. Korek, ktoby pomyślał, taki szklanny korek, wszyscy się za nim uganają, a dostać go nie mogą. Zwiedliście nas z początku, pana margrabiego i mnie tem imieniem *Mary*, myśleliśmy, że to kobieta, że się tak nazywa; ale gdzieby zaś, ktoby tam babie powierzał takie dokumenta, wyście na to zbyt mądrzy. *Mary*, prawda, że *Mary*, ale to wcale co innego. Ha, ha!

O ile obecność starego leśnika nie była na rękę Arsenowi, o tyle gadulstwo jego mogło mu oddać nie-zrównaną przysługę.

Jeszcze chwila, a stary wygada się wszystko, a wtedy nie pozostanie nic, jak wrócić jak najprędzej dla odszukania kryształowego korka.

Na nieszczęście stary coraz bardziej zamroczony, mówił coraz ciszej i niewyraźniej, wkońcu wyciągnął na środek izby siennik, ułożył się na nim wygodnie i wkrótce rozległo się już tylko silne jak grzmot chrapanie.

Arsen wiedział tyle co i pierwej.

Zagadkowe słowo *Mary*, z którem związany był korek kryształowy. Trzeba się więc było trzymać dawnego planu. Wyzwolić trzeba było Daubrecq'a, a mając go w swej mocy, uczynić z niego swego współnika.

Niema już przecie żadnego interesu w ukrywaniu tajemnicy, którą powierzył margrabiemu Albufex. A zresztą gdyby nie chciał, łatwo będzie wymusić od niego wyznanie.

Krata była już przepiłowana. Stary Sebastiani nie był groźnym. Widocznem było, że się nie zbudzi.

Arsen spuścił teraz drabinę sznurową. Daubrecq nie tracił widocznie czasu. Wysunął rękę z obrączki rzemyków i przeciął nożykiem więzy, które miał na nogach. Powłókł się do miejsca, gdzie wisiała drabina i nadspodziewanie sprawnie wspinać się począł po jej szczeblach. Gdy znajdował się już blisko okna, zachwiał się i byłby runął na ziemię, gdyby nie to, że Arsen uchwycił go za rękę i wciągnął przemocą prawie do kamiennego korytarza.

Ucieczka była faktem dokonany, ale ból i znużenie osłabiły tak Daubrecq'a, że omdlał tym razem naprawdę.

Arsen ratował go jak najbliższego przyjaciela, nacierał, potrząsał, aż wreszcie ten przyszedł do siebie.

— Gdzie jestem? — spytał.

— Nie trać słów napróżno, musimy się jeszcze spuścić na dół do rzeki.

— A więc jest rzeka.

Daubrecq odzyskiwał powoli przytomność.

— Nie wiem, kto jesteś — mówił do Arsena — i pewien jestem, że chodzi ci tylko o listę 27-miu, ale w każdym razie wdzięczny ci jestem za figla, jakiego wypłatałeś margrabiemu. Och panie margrabis, zobaczmy się jeszcze, zapłacisz mi za wszystko. Uf! jaki ból.

— Nie traćmy czasu — powtórzył Arsen.

— Że też tamten nie pomyślał o tem oknie. Zapomniał idjota.

— Nie zapomniał, ale wiedział, że przystęp jest niemożliwy, skała prosta tu jest jak ściana.

— Ty jednak, nieznany mój zbawco, wydrapałeś

się po niej, musisz być djabelnie biegłym gimnastykiem.

Byli już u wejścia otworu, Arsen umocował koniec sznura, przywiązując go do wystającego cypla skały. Wziął w rękę jeden koniec sznura, drugi podał Daubrecq'owi, spuszczała się jeden obok drugiego, jak dwaj przyjaciele. Doszli wreszcie do połowy skały.

— A teraz baczność — rzekł Arsen. — Tu czeka na nas wysoka drewniana drabina, której dolny koniec utkwiony jest w dnie rzeki tuż obok łodzi. — Rzekłszy to, gwizdnął trzy razy.

— Dlaczego gwizdasz? — spytał Daubrecq.

— Daję znać przyjaciołom.

— A więc są przyjaciele?

— Tak jest, czekają na nas w łodzi.

— Poczekaj, odetchnijmy nieco, jestem znużony.

Arsen zgodził się na to, zatrzymali się obaj.

Arsen spojrzał w dół, skąd dochodził go już szmer głosów.

— Klaryso! O Klaryso! — szepnął z czułością.

Zaledwie imię hrabianki wybiegło z jego ust, uczył nagle przenikliwy ból w szyi, potem zaćmienie, słabość.

To Daubrecq ugodził go nożem w szyję, jednocześnie przywiązywał go mocno sznurem do drabiny.

Krew płynęła z rany, siły uciekały.

— Podły! Och, podły! — zdołał jeszcze wyszeptać Arsen.

Pochylony nad nim Daubrecq mówił szyderczo:

— Poznałem cię odrazu, głupcze! Myślałeś, że dam się wieść jak baran, gdzie ci się podoba, że ci wszystko wyśpiewam. — Biedaku! Żal mi cię. — Zdaż mi się, że już z tego nie wybrniesz, chyba, że ręka, którą te psy korsykańskie zmordowały, osłabła trochę. Będziesz tu sobie wisiął, dopóki cię twoi przyjaciele nie odczepią. — Trupa tylko znajdą, śmiertelne szczątki pięknego Arsena, któremu zachciało się romansować z hrabiankami. Klarysa będzie moja i lista

także. Z Albufex'em rozprawię się jak należy. Za to jedno jestem ci wdzięczny. — Bywaj zdrow Arsenie, zobaczymy się na tamtym świecie, a zamów tam dla mnie mieszkanie, lokal wygodny, godny takiego jak ja rozbójnika. Ha! trudno... Wszyscy są przeciw mnie... A! jeszcze jedno... Musisz mieć rewolwer... Zabiorę go z sobą, abym miał czem uspokoić zdziwienie twoich przyjaciół w Łodzi.

Mówiąc to, rewidował kieszenie Arsena i wydobył z nich istotnie rewolwer. Potem zwolna, spokojnie, spuszczać się zaczął po drewnianej drabinie.

Lupin podniósł jeszcze rękę, próbując uchwycić go za kołnierz.

Zrozumiał dopiero, co się stało i jak lekkomyślnie zrobił, zawierając choć przez chwilę temu człowiekowi i działając z nim wspólnie.

Czuł się coraz słabszym, śmiertelny chłód ogarniał zwolna jego członki. Chciał krzyczeć, ostrzec swoich przyjaciół, ale zabrakło mu sił. Szumiało mu coś w głowie, zapadał w coraz większą niemoc.

Zbudziły go na chwilę strzały z dołu... jeden, drugi, trzeci.

Potem noc... nicość... zapadanie się w jakąś otchłań...

Nie czuł już nic, nie widział, nie słyszał...

Czy to już śmierć?...

ROZDZIAŁ IX.

W CIEMNOŚCIACH.

Arsen odzyskał przytomność i otworzył oczy, nie znaczyło to wszakże, by zdawał sobie sprawę z ostatnich wypadków. Powiódł wzrokiem dokoła i usiłował sobie przypomnieć gdzie się znajduje. Miejsce to było mu nieznane. Obicia na ścianach w jasne bukiety — wprost naprzeciw niego drzwi przysłonięte ja-

skrawą portjera. Słońce przedzierało się nieśmiało przez zapuszczone firanki. Spróbował podnieść głowę, ale uczuł natychmiast przejmujący ból i jęknął głucho. W tejże chwili usłyszał lekkie kroki, a potem pochyliła się nad nim twarz kobieca, blada twarz rozświecona parą wielkich szaro-niebieskich oczu.

— Klarysa! — wyszeptał z zachwytem i przymknął oczy, nie chcąc spłoszyć rozkosznego widzenia. Po chwili otworzył je znów i uśmiechnął się. Hrabianka de Mergy stała przed nim.

— Pst! — rzekła, kładąc palec na ustach. — Nie ruszaj się pan i nie mów ani słowa, trzeba być rozsądniejszym. Jesteś jeszcze bardzo osłabiony.

Nalała mu sama jakiegoś płynu, którego wypił pełną łyżkę, nie troszcząc się o jego smak. Był to widocznie bardzo skuteczny kordjał, bo wypiwszy go uczuł przyjemne ciepło rozchodzące się po ciele i zrobiło mu się jakoś raźniej.

— Gdzie jestem, hrabianko? — zapytał wtedy.

Na te słowa przybliżył się do łóżka Le Balu i młody człowiek z czarną strzyżoną bródką, w którym Arsen rozpoznał znajomego sobie doktora z Paryża, nazwiskiem Martin. Był to dobry jego przyjaciel, któremu pożyczył niegdyś kwotę, potrzebną do skończenia uniwersytetu, a którego Klarysa sprowadziła tu widocznie z Paryża.

Doktor wziął go za puls, dotknął jego szyi, która była obandażowana, a potem rzekł:

— Jesteśmy na dobrej drodze, ale musi pan kilka dni jeszcze leżeć nieruchomo, bo ma pan tu cięcie, ranę niewygojoną jeszcze, która jednak zabliznia się wcale nieźle.

— Ach, już wiem! — zawołał Arsen. — Daubrecq! Gdzie jest Daubrecq? — Czy udało się wam schwytać go — a przytem...

Tu nagle urwał. Chciał spytać o listę 27-miu, ale rozumiał, że nie należy mówić o niej w przytomności doktora.

Za to oczy jego szukały Klarysy, a hrabianka dostrzegła w nich najżywszy niepokój.

— Jak pan sądzi, doktorze? — spytała. — Czy można mówić z nim o... interesach? — dodała, szukając widocznie odpowiedniego określenia.

Doktor odgadł odrazu, że obecność jego tu zaczyna być krępująca dla ludzi, którzy mają widocznie swoje tajemnice, wziął więc kapelusz, ale pierwiej odpowiedział hrabiance.

— Może mu pani teraz wszystko powiedzieć, a nawet najlepiej będzie nic nie tać bez względu na to, czy wiadomości są mniej czy więcej pomyślne. Skoro przyszedł do siebie, siły będą mu powracać szybko. — Wszelka niepewność drażnić go tylko będzie i może wywołać gorączkę. Żegnam panią a jutro powrócę.

Skoro znikł za drzwiami, Klarysa i Le Balu usiedli obok łóżka.

Arsen pamiętał już teraz wszystko, aż do chwili, w której ugodzony przez Daubrecq'a, omdlał skutkiem upływu krwi.

— Co się stało z Daubrecq'em? — zapytał znów.

— Posłuchaj! — zaczął Le Balu. — Siedzieliśmy z hrabianką w łodzi, licząc kwadranse i minuty, wreszcie zagwizdałeś, poznaliśmy zaraz hasło. Dobra nasza! pomyślałem sobie, Arsen powraca i podniosłem oczy w górę. Ktoś schodził po drabinie, ale robił to niesprawnie, jakby mu nogi nie służyły. Tknęło mnie coś odrazu. Ale tamten zstąpił do łodzi, jakby mu się ta z prawa należała. Hrabianka poznała go.

— Co to jest? — zawołała. — Gdzie jest Arsen?

— Właśnie przychodzę od niego — odparł tamten. — Spieszcie do niego, tam, na górę, bo potrzebuje waszej pomocy. Co do mnie, nie chcąc obciążać waszej łódki, popłynę sobie wpływ. I skoczył do wody, zanim opamiętaliśmy się, co nam czynić należy. Wreszcie hrabianka zawołała:

— Tu zdrada! Z pewnością zdrada.

Nie wiem, czy usłyszał to, ale znikł nam z oczu,

bo noc była ciemna. Ja zaś pobiegłem co żywo po drabinie.

Tu opowiedział Le Balu, że znalazł Arsena leżącego bez duszy, że go odwiązał i zniósł go potem na dół, założywszy go sobie na plecy, że zresztą przyszedł mu z pomocą członek bandy Broniard, który czekał na brzegu z samochodem, a który, usłyszawszy sygnał, przeprawił się do nich małym czółnem.

— Dowieźliśmy pana do oberży w lesie, a następnego dnia przyjechaliśmy tu do Amiens — dokończyła hrabianka.

— Jesteśmy więc w Amiens?

— Tak jest, w pokoju hotelowym, gdzie leży pan już trzy dni pod naszą opieką.

— Muszę wstać, muszę podnieść się jak najprędzej — powtarzał Arsen, a przypomniawszy sobie ułamki rozmowy zasłyszane w sali tortur, zawołał rozpaczliwie:

— Ależ lista! Lista 27-miu. Daubrecq musiał ją odzyskać, a może Albufex. Lista była tam w jego mieszkaniu na biurku. Musieli już ją zabrać.

— Nie, nie — upewniła go hrabianka. — Tej samej nocy, w której zostałeś pan raniony, ostrzegłam dyrektora policji osobnym bilecikiem, który doręczył mu Groniard.

— Albufex mógł go uprzedzić.

— O nie! bo markiz pojechał koleją, Groniard zaś pędził pańskim automobilem. Ostrzegłam wyraźnie Maurycego Prasville, aby nie wpuszczał nikogo do mieszkania Daubrecq'a i żeby miał na oku Albufex'a. Doniosłam mu także, że nie potrzebuje już szukać Daubrecq'a, gdyż został oswobodzony dzisiejszej nocy.

— Ależ, skoro Daubrecq powróci do swego mieszkania, nikt nie będzie miał prawa bronić mu wstępu.

— Nie ukazał się jednak dotąd. Mamy przecie w Paryżu zaufanych ludzi, a Groniard przesyła nam codziennie wiadomości.

Arsen nic na to nie odrzekł, „czuł się jeszcze tak słaby, ogarniała go senność.

— *Mary* — wyszeptał tylko parę razy. — *Mary...* Co to być może... — Z temi słowami usnął.

Hrabianka słyszała je, ale sądziła, że Arsen wspomina imię przyjaciółki swej lub kochanki. Nie obeszło ją to zbytnio. Jeśli pielęgnowała go z największą troskliwością, to robiła to jedynie dlatego, że widziała w nim dzielnego, niezrównanego współnika, który pomoże jej wyzwolić Gilberta, a może i odnaleźć listę 27-miu.

Mając tyle dowodów nieustraszonej jego odwagi, nabrała dla niego szacunku. Nie zapomniała jednak o tem, że był to bądź co bądź opryszek, słynny włamywacz, a to trzymało na wodzy poryw jej serca, który inaczej pociągnąłby ją może do niego, bo w duchu przyznawała nieraz, że jest odważny i szlachetniejszy od wielu ludzi, których spotykała w swoim świecie.

Zresztą umysł Klarysy tak był zaprzątnięty podziemną walką, jaką toczyła z Daubrecq'em, że nie zostało w nim prawie miejsca na inne wrażenia.

Wieczorem tegoż dnia ranny uczuł się gorzej, wywiązała się gorączka. Arsen majaczył. W majaczeniach tych wyrywały się nieraz z ust jego wyrazy namiętne, tkliwe wyznania, to znów zdawało mu się, że jest w izbie tortur, z której wybawiła go hrabianka de Mergy.

Błagał Klarysę o pomoc, wyznawał jej miłość, błogosławił ją za okazywaną sobie dobroć.

Gdy nad ranem przyszedł znów do siebie, przypomniawszy sobie ze strachem nocne swe majaczenia. Czy hrabianka zrozumiała je? Czy jej nie obraził?

Spojrzał nieśmiało w oczy Klarysy, ale przekonał się wnet, że może mówić, co mu się podoba. Siedziała przy nim całą noc, czuwała nad nim, ale słów jego nie słyszała, nie rozumiała zapewne ich znaczenia. Myśl

jej była gdzieindziej, pochłonięta całkowicie sprawą Gilberta i listą 27-miu.

Zaczęli rozmawiać o tej sprawie, snuć różne domysły. Arsen powtórzył hrabiance wszystko, co mu się udało podsłuchać w czasie niefortunnej swej wycieczki do zamku Mortepierre.

Hrabianka przypuszczała, że *Mary* jest może tytułem jakiej książki, w której kartkach Daubrecq ukrył listę.

— O nie! — zaprzeczył Arsen. — Mówili także o kryształach wydmuchanym, czy też o korku kryształowym.

Szczegół ten zajął mocno hrabiankę. A więc domysł jej był prawdziwy, wpadła więc na prawdziwy trop i należało szukać jakiegoś szklanego, czy kryształowego przedmiotu, w którym lista musi być ukryta. Rozmowy, jakie zajmowały ich przez długie godziny, skracaly Arsenowi czas jego rekonwalescencji.

Upłynęło tak dni kilka, aż pewnego ranka Klarysa otrzymała depezę wzywającą ją do Paryża.

Pojechała natychmiast i wróciła tegoż dnia jeszcze, rozgorączkowana i przejęta trwogą.

Arsen poznał z wyrazu jej twarzy, że musiało zajść coś złego.

— Trybunał kasacyjny odrzucił wniosek o ułaskawienie Gilberta — rzekła.

— Czy spodziewała się pani czego innego?

— Nie, nie, ale pan wie, człowiek chwyta się do ostatka najwątплиwszej choćby nadziei.

— I kiedyż to się stało? — spytał Arsen.

— Przed tygodniem już, Le Balu ukrywał to przed nami, nie chcąc pana zmartwić, a ja nie miałam odwagi przeglądać gazet.

— Przed tygodniem! — zauważył Arsen — a więc we dwa dni po mojem zjściu z Daubrecq'em.

— Tak, to on — wybuchnęła Klarysa — nikt inny,

tylko on, nie powrócił jeszcze do swego mieszkania, ale działa z ukrycia.

— Pozostaje jeszcze ułaskawienie prezydenta rzeczypospolitej — zauważył Arsen.

— Pan myśli, że ułaskawi on tak łatwo współnika Arsena Lupin — zawołała hrabianka; ale wnet się opanowała i rzekła łagodnie:

— Wybacz pan, sama nie wiem co mówię.

— Jeżeli Albufex nie ukradł mu listy 27-miu, to jeden tylko Daubrecq uratować może mego brata.

Słyszając to Arsen, podniósł się nawpół i usiadł na łóżku.

— Co pani mówi? Czy pani widziała tego człowieka?

Patrzył badawczo w oczy Klarysy, chcąc wyczytać z nich najgłębsze tło jej myśli.

— Nie — odparła hrabianka — nie widziałam go jeszcze.

— Ale pani chce go widzieć, pani chce układać się z nim. O! niech pani tego nie robi, hrabianko de Mergy. Ten człowiek wyzyska tylko panią, nie dotrzyma żadnej obietnicy, uczyni z pani swoją niewolnicę. To rozpacz dyktuje pani tak szalone zamiary. Niech mi pani zaufa.

Usiadła obok niego, ale widocznem było, że nie powiedziała jeszcze wszystkiego. — Arsen próbował ją pocieszyć.

— Zobaczy pani, że prezydent ułaskawi Gilberta.

— Nie zrobi tego. Nie może iść wbrew opinii, a opinia cała jest przeciw nam. Gdybyś pan wiedział, co piszą i mówią o całej tej sprawie.

Zamyśliła się znów, a on rzekł: Za parę dni będę już mógł działać, a wtedy zobaczymy. — Klarysa uspokoiła się nieco.

— Czy wie pan — rzekła po chwili — że byłam u adwokata Gilberta i powiedziałam mu wszystko?

— Jakto? Co mu pani powiedziała?

— Nie wspomniałam mu nic o liście 27-miu, a tyl-

ko wyznałam mu, że Gilbert jest moim bratem, odkryłam przed nim prawdziwe jego nazwisko.

— I dlaczego pani to uczyniła?

— Myślałam, że jeśli odkryje trybunałowi kim jest więzień, jeśli pomogę im do stwierdzenia jego tożsamości, wyrok wypadnie inaczej, a przynajmniej wykonanie jego zostanie opóźnione.

— I cóż pani odpowiedział adwokat?

— Powiedział, że to nic nie pomoże i wyroku nie zmieni, że przeciwnie tem ostrzej dochodzić będą winy popełnionej przez Juljana hrabiego de Mergy.

— Byłem tego pewny — odparł Arsen — a przeto wybacz hrabianko, ale zapominasz pani o głównym celu rozpoczętej przez siebie walki. Wszak nie masz pani prawa okrywać niesławą nazwiska swego ojca; cóżby się stało zresztą z małym Armandem?

Klarysa spuściła głowę i przyznała mu słuszność. Ale Arsen lękał się czego innego. Odgadywał z właściwą sobie przenikliwością, że hrabianka, przyprowadzona do ostateczności, zaczyna godzić się z myślą oddania swej ręki Daubrecq'owi, że sądzi, iż jej obowiązkiem jest uczynić z siebie ofiarę dla uratowania brata, postanowił nie dopuścić do tego za żadną cenę.

— Przypominam pani — rzekł prawie uroczystie — że mi pani przysięgła nie przedsiębrać nic bez mojej porady w naszej walce z Daubrecq'em, a zwłaszcza nie widywać się z nim, nie przyjmować od niego listów.

— Nie wiem nawet, gdzie on jest teraz — odparła wymijająco hrabianka.

Po tej rozmowie zakradło się między Arsenem a Klarysą jakby ziarno nieufności. Było to bardzo bolesne dla Arsena. Przedewszystkiem nie mógł zaprzeczyć, że jak dotąd, Daubrecq pobił go na każdym kroku. Nawet wtedy, gdy uwolnił go z więzienia, oswobadzając go zarazem od tortur zadawanych mu przez Sebastianiego, nawet wtedy Daubrecq nie zaufał mu ani przez chwilę, przeczuł jego zamiary i udaremnił

je. Cóż dziwnego, że hrabianka de Mergy nie ufa mu teraz. Na cóż się zdały bohaterskie jego wysiłki?

— Posłuchaj mnie, hrabianko — rzekł po namyśle. — Proszę panią jeszcze o dwa lub trzy dni cierpliwości, najdalej pojutrze będę już mógł wstać o własnych siłach. Pojadę natychmiast do Paryża.

— A cóż ja mam robić przez ten czas? — spytała Klarysa.

— Dziękuję pani stokrotnie za troskliwość i dobroć, jaką mi pani okazała, ale jedź pani teraz do Paryża i zamiast do swego mieszkania, zajedź pani do hotelu Franklina przy ulicy Trokadero. Stamtąd będziesz pani mogła śledzić każdy krok Daubrecq'a. Groniard i Le Balu będą na twoje usługi. Gdybyście co dostrzegli, dacie mi znać depeszą.

Tegoż dnia, w czasie zwykłej wizyty swego lekarza, Arsen zapytał go, czy mógłby wstać zaraz nazajutrz.

— O nie, powinienes pan zostać w łóżku przynajmniej do końca tygodnia.

— A jeżeli wstanę wcześniej, cóż mi się stanie?

— Gorączka powróci.

— Czy tak? Dziękuję ci doktorze.

Ale w myśli postanowił wstać zaraz nazajutrz i udać się bez zwłoki do Paryża. Następnego dnia, nie radząc się nikogo, wykonał swój zamiar.

Pierwszy dziennik, który kupił po drodze, przyniósł mu ważną wiadomość. Margrabia Albufex aresztowanym został pod zarzutem defraudacji w sprawie kanału. A zatem Daubrecq już się mścił, a co ważniejsza, miał w ręku swem listę. A tylko nauczony poprzedniem doświadczeniem, nie pokazywał się publicznie i rzucał z ukrycia pociski swej zemsty.

Na dworcu Le Balu, uprzedzony przez Arsena depeszą, oczekiwał na niego.

Arsen zapytał go zaraz o panią de Mergy.

— Nie widzieliśmy jej od wczoraj — objaśnił Le

Balu — wyjechała z hotelu w pogoni za Daubrecq'em i nie wróciła jeszcze.

— W pogoni za Daubrecq'em? Więc dowiedziała się coś o nim.

— Widziała go przejeżdżającego dorożką i zapamiętała sobie numer tego fiakra, opierając się na tem, zaczęła swoje poszukiwania, i obiecała uwiadomić nas, skoro go tylko odnajdzie.

— Czy to już wszystko?

— Nie jeszcze. Margrabia Albufex odebrał sobie życie w więzieniu.

Usłyszawszy to Arsen, stanął jak wryty. Miał prawie na sumieniu śmierć tego człowieka.

Zapewne, margrabia posunął się za daleko, używając tortury — a i przedtem umoczył zapewne rękę w przekupstwach kanałowych, a jednak, mimo wszystko, był mu sympatyczniejszym od Daubrecq'a. A przytem Arsen miał zamiar sprzymierzyć się z margrabią w dalszych poszukiwaniach.

Wspólnik taki jak on, wraz z Sebastianim i jego synami, była to pomoc nie do pogardzenia. A tu śmierć jego udaremniła te projekty.

— W jaki sposób odebrał sobie życie? — zapytał jeszcze.

— Rozciął sobie żyły szkłem, rozbiwszy poprzednio szybę. Zostawił podobno długi list, w którym przyznaje się do winy, ale i oskarża Daubrecq'a.

— A Gilbert? Co słyhać z jego sprawą?

— Pojutrze adwokaci jego mają być u prezydenta rzeczypospolitej.

— Pojutrze? A więc w tydzień potem stanie pod gilotyną. Jak widzę, nie tracą czasu. To także Daubrecq! Odzyskał już swój przeklęty wpływ i wywiera nacisk na władzę. Biedny Gilbert! Gotów nałożyć głowę, bo oni go nie ułaskawią.

— Jakto szefie i pan traci nadzieję?

— Nie, nie, co za niedorzeczność. Za godzinę mieć będę w ręku kryształowy korek, za dwie godziny

adwokat Gilberta będzie u prezydenta i postawi mu nasze warunki.

— A gdybyś nie znalazł korka, szefie?

— W takim razie odbijemy Gilberta, odbijemy go, choćbyśmy mieli przewrócić do góry nogami cały Paryż.

Te słowa dopiero uspokoiły Le Balu, a dodały też otuchy Arsenowi.

Pożegnawszy swego współnika, Arsen pośpieszył przedewszystkiem do mieszkania Daubrecq'a, strzeżonego jeszcze przez policję.

Przywitano go tam, jak dobrego znajomego, przybył bowiem w przebraniu detektywa Nikol.

Pierwsze pytanie, jakie zadał dyżurującemu inspektorowi, dotyczyło oczywiście Daubrecq'a.

— On tu był — oznajmił inspektor.

— Kto? Daubrecq?

— Tak jest. Bawił tu zaledwie dziesięć minut i odjechał, prosząc, abyśmy strzegli nadal jego mieszkania.

— Czy wchodził do swego gabinetu?

— Tak jest.

— I pozwoliliście na to?

— Jakże mogliśmy mu wzbronić, jest przecież panem swego mieszkania.

— A czy mieliście go przynajmniej na oku?

— Stałem sam w progu w chwili, gdy był w gabinecie, zabawił zresztą zaledwie kilka sekund.

— Czy zabrał co ze sobą?

— Przeglądał papiery. Zabrał zdaje się parę drobiazgów.

— Czy tak?

Arsen wiedział już teraz, że Daubrecq zabrał oczywiście listę i uzbrojony w ten dokument, rozpoczął kampanję przeciw margrabiemu Albufex.

— Zostaniemy tu jeszcze do powrotu pana pośła — mówił dalej inspektor.

— Cóż z tego — mruknął Arsen — skoro tam-

ten zabrał już kryształowy korek. Rzecz to obojętna, czy będziecie strzec jego domu, czy też go opuścicie. Widocznem było, że policja popełniła grubą omyłkę, pozwalając Daubrecq'owi gospodarować w swym gabinecie, choćby tylko kilka sekund. Co za nieuk z tego inspektora?

— Czy przynajmniej zauważyłeś pan co za drobiazgi zabrał z sobą poseł?

— Ależ i owszem, za kogoż mię pan ma — odparł inspektor z urazą. — Pan poseł chciał zapalić cygaro wchodząc do gabinetu, wziął więc najpierw stalowe pudełko z zapalnikami, stojące na biurku.

— Ależ może tam właśnie była lista.

— Cóż znowu? Przeglądaliśmy wszystko pierwiej, każda zapalnik była policzona.

— Czekaj pan — zawołał Arsen — zobaczę sam.

Miał on wyborną pamięć i wiedział doskonale, co leżało na biurku Daubrecq'a po jego porwaniu.

Wszedłszy do gabinetu, objął wzrokiem wszystkie przedmioty i omal nie krzyknął z radości.

Zauważył natychmiast czego brakuje. Wiedział już teraz napewno, gdzie była ukryta lista. Zgadzało się to wybornie z tem, co usłyszał z ust Sebastianiego i z owym wyrazem *Mary*.

Daubrecq ma listę przy sobie. Cóż stąd? Dopadnie Daubrecq'a choćby się skrył pod ziemię i odbierze mu ten przedmiot.

Ożywiony najlepszymi nadziejami, powrócił do hotelu Franklina, gdzie oczekiwali go jego współpracownicy. Zapytał ich o hrabiankę.

— Nie było jej dotąd — odparli obaj.

— Ale może pisała?

— Dotąd nie.

Nie poprzestając na tem upewnieniu, Arsen poszedł na dół i zapytał portjera hotelowego, czy nie było listu pod adresem pana Nikol.

Odpowiedź wypadła przecząco.

— W takim razie nadejdzie tu lada chwila list, albo telegram od pani *Oder*.

Było to nazwisko, pod którem Klarysa zameldowała się w hotelu.

— Ależ ta pani była tu przed godziną — zawołał portjer i zostawiła list dla panów w swoim pokoju. Czy służący nie wspomniał o tem?

— W takim razie proszę o klucz.

— Ależ i owszem. Ta pani wyjechała i zostawiła mieszkanie swe do rozporządzenia panów.

W dwóch skokach Arsen był już na górze w mieszkaniu Klarysy.

List leżał rzeczywiście na stole. — Arsen rozwinął go.

— Co to jest? — zawołał. — Patrzcie, list jest uszkodzony, dwa wyrazy wycięte zostały nożyczkami.

I zaczął czytać co następuje:

„Znalazłam Daubrecq'a. Spędził cały tydzień w hotelu centralnym, a dziś kazał zanieść swoje pakiunki na dworzec... — tu następowało puste wycięte miejsce.

„Wiem także, że telefonował z hotelu, zamawiając sobie przedział w sypialnym wagonie, na pociąg do... — Tu znowu pustka wycięta. — Jadę oczywiście za nim. Liczę na was, że przyjedziecie tam również następnym pociągiem. Klarysa“.

— Co się stało hrabiance? — zawołał Le Balu. — Czy straciła głowę, przysyłając nam takie listy.

— To prawda — potwierdził Goniard. — Jedzie, ale gdzie? Kiedy? I największy mędrzec nic z tego nie dojdzie. Szukaj teraz wiatru w polu.

Arsen Lupin nie rzekł nic. Fala krwi uderzyła mu do głowy, tak, że ścisnął z całej siły skronie, aby mu krew nie rozsadziła mózgu. Czuł, że gorączka powraca. Postanowił sobie stłumić ją żelazną wolą i nie poddać się.

Nie chcę być chorym i nie będę nim. Zdrowie można wymusić, jeśli się ma bardzo silną wolę.

To też po upływie kilku minut, uczuł się prawie spokojnym, puls uderzał mu normalnie.

— Nie oskarżajcie hrabianki de Mergy — rzekł spokojnie — to nie ona.

— A więc któż?

— Daubrecq tu był, odczytał list i wyciął dwa najważniejsze wyrazy.

— Jakimże sposobem tu wszedł?

— Nie traćmy czasu na dochodzenie, jak i który wszedł, skoro wiemy, że tu był, a fakt ten nie ulega wątpliwości — odrzekł Larsen.

Obejrzał potem raz jeszcze na wszystkie strony uszkodzony list i rzekł:

— Chodźmy więc!

— Gdzie?

— Na dworzec Lyoński.

— Dlaczego właśnie tam?

— Nie wiem, nie jestem pewny niczego, ale wybieram najprawdopodobniejszą kombinację. Sądzę, że jeśli Daubrecq wyjechał z Paryża, to głównie dla poratowania zdrowia, które ucierpiało bądź co bądź na skutek kilkutygodniowego przebywania w wilgotnem podziemiu, nie mówiąc już o torturach. Jesień mamy dżdżystą, nadchodzi słotna pora, którą korzystniej mu będzie spędzić na południu.

Pojechali więc na dworzec Lyoński w nadziei, że zastaną tam jeszcze Klarysę.

Napróżno jednak przejrżeli salę restauracyjną, peron i wszystkie zakątki, nie znaleźli nigdzie hrabianki.

Odchodził właśnie wieczorny pociąg. — Biegli jakiś czas obok niego, zaglądając do wszystkich wagonów.

W żadnym z nich nie dostrzegli wytwornej twarzyczki Klarysy de Mergy.

Odchodzili już rozczarowani, gdy przystąpił do nich jeden z posługaczy kolejowych, ubrany w nie-

bieską bluzę i trzymający w ręku czapkę, opatrzoną numerem.

— Czy panowie szukają kogo? — zapytał.

Arsen spojrzał na niego nieufnie; Groniard i Le Balu przystanęli.

— A cóż cię to obchodzi mój przyjacielu — rzekł trochę szorstko Arsen Lupin.

— Przepraszam, omyliłem się widocznie — odparł posługacz i usunął się na stronę.

— Szeffie! — szepnął Le Balu — a jeśli ten człowiek ma jakie polecenie do nas od hrabianki de Mergy?

— W takim razie zgłosi się powtórnie, nigdy nie można być dość ostrożnym, musimy mu dać czas do namysłu.

To mówiąc, Arsen zasiadł przy jednym z małych stolików i obstałował naprędce przekąskę dla siebie i swych przyjaciół. Jedli nie śpiesząc się, w nadziei, że otrzymają wreszcie pożądaną wiadomość i odnajdą kierunek podróży Klarysy i Daubrecq'a. Rzeczywiście w chwili, gdy już mieli wstać od stołu, ten sam posługacz zbliżył się znów do nich, mnąc z zakłopotania czapkę w ręku.

— Przepraszam bardzo panów — rzekł — ale pewna podróżna, która odjechała stąd przed godziną, poleciła mi czekać tu na trzech panów i powiedzieć im...

— Co? co kazała powiedzieć? — zawołali razem prawie Groniard i Le Balu, Arsen zaś zawsze ostrożny dodał:

— A czy ta podróżna nie zostawiła jakiej kartki?

— Nie było na to czasu. Ta dama zmieniła zamiar w ostatniej chwili i zaledwie zdążyła wsiąść do wagonu.

— Ta dama, mówisz? A jakże wyglądała, jaki miała strój?

Posługacz zaczął opisywać powierzchowność podróżnej.

— Ta pani jest młoda, ale ma twarz zmęczoną i bardzo duże oczy, któremi patrzy tak dziwnie na człowieka. Ubrana była czarno — była bardzo niepokojna. Kazała mi powiedzieć, że odjeżdża do Monte Carlo — a oprócz tego kazała jeszcze dodać...

Tu posługacz zaczął szukać po kieszeniach, a potem wydobył zatłuszczony notatnik i zaczął go przerzucać, poczem zawołał z radością:

— Już wiem, byłbym może zapomniał już, ale zapisałem sobie dla pamięci. Człowiek nie napróżno przecie chodził do szkoły — i przeczytał co następuje: „Hotel Franklina, gdyby się co zmieniło, ta pani telegrafować będzie do hotelu Franklina”.

— To ona, niema żadnej wątpliwości — zauważył Le Balu. — Arsen zaś nie rzekł nic, tylko wynagrodził hojnie posługacza, który zdawał się na to oczekiwać.

— Więc dobrze trafiłem — rzekł jeszcze uchylając czapki. — Uważałem pilnie na przechodniów, ale panowie tylko przyszli tu we trzech i twarze panów zgadzały się z opisem, jaki mi podała pani o swych znajomych.

— Owszem, owszem, dziękujemy ci przyjacielu, nie masz potrzeby dzielić się z nikim innym twemi wiadomościami.

— Co robić? — zapytał Le Balu po oddaleniu się posługacza.

— Mieć się na ostrożności — odparł Arsen. — Wszystko to wygląda bardzo prawdopodobnie, ale nie możemy być pewnymi niczego, odkąd Daubrecq jest na wolności. W każdym razie nie wolno nam lekceważyć i tych wskazówek. Musimy podzielić się rolami.

— Ja pojedę do Monte Carlo wraz z Le Balu. Groniard zaś zostanie w hotelu Franklina i oczekiwać będzie na przyrzeczone depesze.

W ten sposób będziemy mogli sprawdzić, czy wia-

domość, udzielona nam przez posługacza, jest prawdziwą.

Plan zdawał się być roztropny i został też ściśle wykonany.

Arsen kupił sobie natychmiast bilet do Monte Carlo, Groniard zaś zainstalował się w hotelu Franklina, skąd miał też dawać pilne baczenie na sprawę Gilberta i w razie nagłej potrzeby wezwać Arsena depeszą.

ROZDZIAŁ X.

EXTRA-DRY ?

Klarysa bawiła już od trzech dni w Nicei, dokąd podążyła za Daubrecq'em.

Zajęła numer w jednym z ustronnych hoteli, gdzie oczekiwała niecierpliwie na Arsena, do którego posyłała depeszę za depeszą.

Miała istotnie jechać do Monte Carlo, ale po drodze przekonała się, że Daubrecq zmienił kierunek podróży, więc pojechała za nim.

Śledziła go niezmordowanie, z niesłychaną przebiegłością, jadąc zrazu tym samym, co on, pociągiem, ukrywając się przytem tak starannie, że mogła być pewną, iż jej nie dostrzegł.

W połowie drogi dopiero wybrała inny pociąg, aby nie wysiadać równocześnie z nim w Nicei.

Zachowała, słowem, wszelkie możliwe środki ostrożności.

Przybywszy do Nicei, śledziła znów Daubrecq'a, co przychodziło jej łatwo, bo czcigodny poseł nie ukrywał się bynajmniej.

Ogłosił owszem swoje nazwisko na liście podróżnych i spacerował codziennie nad brzegiem morza, w kostjumie z białej flaneli, mieszając się chętnie w modny i elegancki tłum, snujący się na wybrzeżu.

Klarysa, która uwiadomiła niezwłocznie swych przyjaciół, oczekiwała niecierpliwie przybycia Arsena i nie wiedziała, czem wytłómaczyć sobie jego nieobecność.

Wreszcie nadeszła depesza, w której Arsen donosił jej, że przyjedzie za parę dni i prosił ją, by oczekiwała na niego w hotelu, oznaczając godzinę swego przyjazdu.

Czekała więc, nie wychodząc dnia tego z numeru. Czekała do późna, licząc niecierpliwie minuty.

W pokoju jej były drzwi oszklone, a za niemi balkon, wychodzący na morze.

Nie odkręciła elektrycznego światła i siedziała tak w mroku, słabo rozjaśnionym blaskiem, płynącym z dołu od bulwarowych latarni.

Nagle kulka papierowa wpadła na balkon tuż przed nią.

Klarysa powstała.

Wiedziała, że Arsen porozumiewa się niekiedy w ten sposób ze swymi współnikami.

Ale pocóżby miał bawić się w takie środki, tu, gdzie mógł poprostu zapukać do jej drzwi. Zresztą, nie była to jeszcze godzina, w której miał przyjechać.

— Czy to Arsen? — szepnęła półgłosem.

— O, nie, śliczna hrabianko — odpowiedział ktoś tuż poza nią.

Odwróciła się i poznała Daubrecq'a.

— To ja hrabianko, to ja — mówił poseł. — Śledziłaś mnie od ośmiu dni, nie domyślając się zapewne, jaką mi sprawiasz rozkosz. Czułem się dumny, mając na swoim tropie tak czarującego detektywa, a chcąc oszczędzić ci trudów, przeniosłem się do twego hotelu i jestem teraz twoim sąsiadem. Tak jest, moja piękna, zająłem pokój sąsiadujący z twoim i mamy wspólny balkon. Przeznaczyłaś go jak się zdaje dla kogo innego, ale rządca hotelu był tyle uprzejmy, że mnie go ustąpił. A teraz będziesz może tyle uprzejma i zaszczycisz mnie odwiedzinami. Wiesz przecie sa-

ma, do jakiego stopnia uszczęśliwisz mnie swoją obecnością. Liczyłem właśnie na nią i zamówiłem kolację na dwie osoby.

Mówiąc to, odstąpił od niej, a otworzywszy drzwi łączące oba pokoje, odkręcił elektryczne światło, które zalało pokój potokiem jasności.

Klarysa stała bez ruchu. Nie zlekła się jednak, a nawet nie zdziwiła. Tyle przeszła w ciągu ostatnich dwóch lat, tyle wycierpiała, że była już stępioną, odrętwiałą na wszystkie wrażenia.

— Dobrze — odrzekła suchym, drewnianym głosem — chętnie odwiedzę pana.

— I zjesz ze mną kolację?

— I zjem z panem kolację.

— Brawo! — zawołał Daubrecq, pokładając się od śmiechu — brawo! to lubię. Wywietrzały więc już pani z głowy hrabiowskie tony. Nie jesteś już dumną Klarysą de Mergy. No! prawda, że towarzystwo, w jakim obracałaś się w ostatnich czasach... to już widoźnie familijne. Braciszek w kryminale pod zarzutem morderstwa, a siostra uganiania się po świecie w towarzystwie opryszków i włamywaczy. — Ale nie chcę im ubliżać, skoro są twymi przyjaciółmi. Proszę, wejdź pani.

Z temi słowy uklonił się jej nisko z urągliwą grzecznością i zapraszał ją gestem, by weszła do jego pokoju.

Klarysa czuła tylko, że ogarnia ją jakaś bezdenna, bezgraniczna obojętność. Weszła automatycznie, powtarzając sobie w myśli prawie machinalnie:

— Arsen przyjedzie za chwilę. Arsen mnie oswobodzi.

Potem przyszła jej nagle myśl, że należy skorzystać z tego niesłychanego położenia i odszukać listę dwudziestu siedmiu. Obrzuciła bystro wzrokiem wszystkie kąty pokoju.

Ale Daubrecq odgadł ją natychmiast.

— Ależ i owszem — rzekł drwiąco — szukaj pa-

ni. Jest tu, w tym pokoju, na jednym ze stolików. No zgadujemy, spróbuję pani dopomóc. Cóż to właściwie jest? Przybory do pisania, do palenia, do jedzenia. Czy mogę obrać dla pani jabłko, lub pomarańcze, nie chce pani? Słysznie. Lepiej zachować apetyt na gruntowniejszy posiłek, który zamówiłem. Czy mam zadzwonić?

Zadzwonił istotnie. Starszy kelner ukazał się natychmiast.

— Proszę podać kolację — rozkazał.

— Dobrze, panie.

— Na dwie osoby.

— Dobrze, panie.

— A przytem wino i likiery.

— Za małą chwilę.

— A zwłaszcza szampan. — Szampan z lodu, rozumiesz?

Służący wyszedł, a po chwili powrócił, niosąc nakrycie i tacę zastawioną przekąskami. Nakrył stół białą serwetą i poustawiał na nim wszystko. Drugi lokaj ukazał się, niosąc blaszane naczynie z lodem, z którego wyglądała cała baterja flaszek. Klarysa patrzyła na te przygotowania błędnymi oczyma.

— Służę pani — zaczął Daubrecq, zawsze równie drwiącym tonem, choć równocześnie brzmiało w jego głosie echo tłumionej namiętności.

— Proszę, zasiądź naprzeciw mnie, hrabianko de Mergy. Dawno już marzyłem o tak rozkosznem sam na sam. Dawno już nie byliśmy tak sami we dwoje. Ostatni raz było to w teatrze, pamiętasz? Popsuł nam wówczas wieczór twój przyjaciel, Arsen, ale dziś to już się nie powtórzy, nie mamy potrzeby obawiać się jego wtargnięcia.

Nie przeczuwał zapewne czcigodny poseł, że te słowa jego dodały otuchy hrabiance.

— Arsen! tak, on przybędzie za chwilę. — Słowa te podziały na nią jak eliksir magiczny.

Podniosła się i postąpiła kilka kroków, usiadła

naprzeciw Daubrecq'a. Niech się stanie co chce, ona nie okaże lęku i może wyzyska to spotkanie dla ułatwienia Arsenowi jego zadania.

Daubrecq ułożył na kolanach serwetkę i zaczął przegryzać kanapki i kawior, nalał sobie przytem kieliszek koniaku, który wychylił duszkiem. Nalał też pełen kieliszek Klarysie, ale ta odsunęła go z odrazą.

— Nie pije pani? Bardzo dobrze, oszczędzajmy sił na szampan, bardzo dobrze, wspaniałe *extra dry*. Nieraz łamałem sobie głowę, myśląc o takiej chwili jak dzisiejsza, zastanawiając się, jaki też gatunek wina przypadnie pani najlepiej do smaku i wybrałem ostatecznie *extra dry*. A gdy jeszcze dojrzałem na dworcu Lyon'skim twoje cudowne oczy, pomyślałem odrazu, że spotkamy się tu, w Nicei. Jednego się tylko bałem, byś nie straciła mego śladu. Brakłoby mi niewypowiedzianie tych twoich oczu, w których czytam tak bezdenną do mnie nienawiść. W tem jest przedziwna rozkosz. Przysięgam ci, hrabianko, że odczuwam niewymowną rozkosz na myśl, jak bezmiernie mnie nienawidzisz i jak bardzo musisz mi być uległą.

Ale ją uderzyło jedno tylko w tych szczególnych wyznaniach. A więc on wiedział, że jest przez nią śledzonym.

On zaś mówił dalej:

— Dziwi to panią, hrabianko de Mergy, że zamiast ukrywać się przed tobą, zdradziłem swoje miejsce pobytu, a nawet prawdę mówiąc, zwabiłem cię tu rozmyślnie. Cóż to? Czy zapomniałaś już, jakie żywie dla ciebie uczucia? Daj mi swą rączkę, swą śliczną mściwą rączkę, która na szczęście nie może mi zaszkodzić, bo...

— Bo co — krzyknęła hrabianka, wrywając ze wstrętem rękę swą, którą Daubrecq mimo oporu z jej strony, przycisnął do ust, a potem zatrzymał z bezczelną poufałością, w olbrzymich swych łapach, porośłych obficie rudym włosem.

— Pytasz mnie jeszcze? A więc dobrze, przeczytaj.

Mówiąc to, wydobył z kieszeni blankiet telegraficzny i rozłożył go przed Klarysą.

— Patrz, hrabianko! Oto depesza, którą otrzymałem dziś prywatnie, a którą powtórzyły już wszystkie wieczorne dzienniki.

Ona nie chciała czytać, przeczuwając nowy jakiś podstęp. Wtedy Daubrecq zaklął straszliwie, a potem zadzwonił na służącego.

— Garçon! — zawołał. — Podać mi tu natychmiast wszystkie wieczorne dzienniki.

Spełniono jego rozkaz, on zaś chodził tymczasem wielkimi krokami po pokoju.

— Nie czytasz pani, nie chcesz wiedzieć, tem gorzej dla ciebie, a gorzej jeszcze dla tego gągatka, twojego braciszka, który zapozna się teraz z bliską z szanownym aparatem, zwanym gilotyną.

Słowa te nie chybiły celu. Klarysa zadrżała. Może zaszło coś nowego od dnia wyjazdu jej z Paryża. Ale wszak Arsen przyrzekł uwiadomić ją w takim wypadku. Drżącemi rękoma przerzucała jedną po drugiej przyniesione gazety i wszędzie wyczytała tę samą straszną nowinę, zamieszczoną między sensacjami dnia, iż prezydent rzeczypospolitej odrzucił prośbę wniesioną o ułaskawienie współników Arsena Lupin, egzekucja tych zbrodniarzy nastąpi we wtorek o godzinie dziewiątej zrana. Przeczytawszy to hrabianka zbladła jak chusta, ale nie ugięła się pod ciosem, nie uległa, przeciwnie, rzuciła się ku swemu prześladowcy, wołając z jakąś dziką energią:

— To nieprawda, to kłamstwo! Zmyśliłeś pan tę fałszywą wiadomość, przekupiłeś dzienniki. Pan jesteś zdolnym do wszystkiego. We wtorek, pojutrze? To niemożliwe. Gdym wyjeżdżała z Paryża, podanie nie było jeszcze przedstawione prezydentowi. Mamy jeszcze czas, przynajmniej 10 dni.

Daubrecq przeczekał ten wybuch, a potem rzekł zimno:

— Tak było istotnie, ale ja przyspieszyłem akcję. Prezydent rzeczypospolitej jest jak wiesz moim dobrym przyjacielem, inni także.

W miarę jak hrabianka unosiła się i traciła zimną krew, on odzyskiwał równowagę. Igrał ze swą ofiarą jak kot z myszą, traktując ją jak rozkapryszone dziecko.

— Chodź tu do mnie, moja mała — rzekł z obelżywą poufałością — pogadamy rozsądnie.

— Milcz pan — krzyknęła hrabianka, doprowadzona do ostateczności. — Zabraniam panu mówić do mnie w ten sposób. Ach, co za nędznik!

Daubrecq wzruszył ramionami.

— No, no! Widzę, że nie zdajesz sobie dość jasno sprawy z naszego stosunku. Liczysz na pomoc. Spodziewasz się, że zjawi się tu nagle rycerz-obronca uciśnionej niewinności, wyrwie cię ze szponów tego potwora Daubrecq'a i uratuje ci brata dla twoich pięknych oczu. I któżby to uczynił? Może Prasville, ten pocziwy Prasville, któremu służysz tak wiernie, jak gdybyś była agentką tajnej policji. Najpierw Prasville jest typowym niezdara, a następnie... Myślisz może, że jedynie przez pamięć zmarłej kochanki śle dzi mnie i podkopać mnie usiłuje? Bajki, moja piękna, romansowe bajki. Pan dyrektor umoczył ręce jak inni w sprawie kanału, brał pieniądze jak inni, tylko że zrobił to pod przybranem nazwiskiem. Odkryłem to niedawno, ha! ha! Uwiadomiłem już o tem starego mego druha.

— Pan dyrektor jest dziś na mojej łasce, jak drudzy — nie robi ani jednego kroku bez mojej woli. On sam, na żądanie moje, przyłożył się dzielnie do przyspieszenia dnia egzekucji Juljana hrabiego de Mergy.

Zacierał ręce, chodząc po pokoju i śmiał się przykrym, gardłowym śmiechem.

— Widzisz więc sama, kochana Klaryso, że z tej strony nie masz co liczyć na pomoc. Ale, ale zapomniałem, że pozostają ci jeszcze panowie. Arsen Lupin, Le Balu, Groniard i kilku innych... Piękna kompanja, nie ma co mówić. A przytem musisz sama przyznać, że ci panowie nie mieli dotąd szczęśliwej ręki. Arsen Lupin, bohater bulwarowy, w którego wierzysz z naiwnością panny sklepowej. Poczekaj chwilkę, pokażę ci bohatera tego w właściwym świetle. Przekonasz się sama, czy jest w stanie zrobić coś dla twego brata.

Usiadł przy telefonie i kazał się połączyć z numerem 129.

— Proszę poprosić do mnie, tu, na górę, pana Jakóba, tego, co czeka w tej chwili w biurze. Upowiedziałem go już. Wie, że będzie mi potrzebny. Tak, dobrze, dziękuję pani.

Zakręcił telefon i zwrócił się do Klarysy:

— Nie lękaj się hrabianko, ten człowiek jest uosobieniem dyskrecji. Towarzyszył ci, nieodstępny, jak cień, w ostatnich czasach i śledził cię równie gorliwie, jak ty mnie śledziłaś. Ale, oto właśnie on.

Powstał i sam drzwi otworzył.

Wsunął się przez nie niski, chudy człowieczek z złotymi wąsikami.

— Przyjacielu — rzekł do niego Daubrecq. — Bądź tak dobry i zdaj sprawę hrabiance de Mergy ze wszystkich swych kroków od chwili wyjazdu tej pani z Paryża. Staraj się mówić krótko, lecz ściśle.

Na to wezwanie mały człowieczek wydobyl z kieszeni notatnik i czytać zaczął monotonnym głosem, jakby wygłosić miał urzędowe sprawozdanie.

Środa, wieczór. Oczekuję na dworcu Lyon'skim na trzech panów, których powierzchowność zgadza się dokładnie z rysopisem, który posiadam.

Przystępuję do nich, wypożyczywszy sobie wpierrw bluzę i czapkę z numerem posługacza kolejowego.

Udzielam tym panom fałszywej wiadomości o hra-

biance de Mergy, mówiąc, że pojechała do Monte Carlo.

Następnie telefonuję do hotelu Franklina, w imieniu tychże panów, polecając, aby wszystkie depesze od panny de Mergy odsyłane były pod pewnym, wiadomym mi adresem.

Czwartek. Odnajduję w Monte Carlo trzech panów, którzy szukają napróżno panny de Mergy we wszystkich miejscowych hotelach.

Piątek. Pan Daubrecq daje mi znać depeszą, że należy wyekspedjować tych panów do Włoch.

Sobota. Oczekuję na tych panów na dworcu w San Remo.

Tam uproszony przezemnie portjer oddaje im depeszę od hrabianki de Mergy, datowaną z Genui. Jeden z tych panów, Arsen Lupin, okazuje niepokój. Dzięki moim staraniom, doręczają mu drugą depeszę, potwierdzającą wiadomość zawartą w pierwszej. Ci panowie wsiadają do pociągu jadącego do Genui. Co do mnie, jadę w odwrotnym kierunku i powracam do Nicei, aby zdać sprawę panu Daubrecq'owi z powodzenia mej misji. A teraz?

— Teraz pozostaje ci jeszcze zanotować to, czego masz dokonać dzisiaj.

Niedziela wieczór. Pan Daubrecq poleca mi udać się do biura kolejowego dla zamówienia dwóch łóżek w wagonie sypialnym na pociąg, który odchodzi do Paryża w nocy o godzinie drugiej, minut 48. Oddaję kupione bilety panu Daubrecq'owi, sam zaś jadę na granicę włoską, na stację Ventimille i oczekuję na możliwy powrót moich trzech panów. Tam, gdy się ukazują, donoszę telefonicznie policji, że trzech podróżni są członkami bandy włamywaczy, operującej pod rozkazami Arsena Lupina i że jeden z podróżnych jest właśnie samym hersztem.

— Dosyc, zrozumiałeś, mam nadzieję. Idź, a za pół godziny oczekuję cię z biletami.

Mówiąc to, Daubrecq wyprowadził agenta, wy-

pchnął go prawie z pokoju i drzwi za nim zatrzasnął. Następnie zbliżył się do Klarysy i rzekł, kładąc jej poufale rękę na ramieniu.

— A teraz słuchaj mnie, Klaryso.

Tym razem nie zdobyła się na żadne słowo protestu. Otchłań otworzyła się pod jej stopami. Rozumiała teraz, dlaczego nie miała żadnej odpowiedzi na trzy depesze wysłane do hotelu Franklina.

Zrozumiała, że nie może już liczyć na pomoc Arseny, który omamiony, wyprowadzony w pole, błąka się gdzieś po Włoszech, podczas gdy ona zdana tu jest na łaskę i niełaskę swego prześladowcy.

Uczuła słabość swą i osamotnienie. Pozostawał jej jeden jeszcze środek — zabić jego i siebie. Miała przy sobie rewolwer, który nosiła zawsze w torebce, w przewidywaniu podobnej ostateczności. Ale Gilbert? Co się stanie wówczas z Gilbertem? Kto zechce starać się o jego ułaskawienie. Arsen?

Przestała w tej chwili wierzyć w Arsena. Daubrecq dał przecież tyle dowodów, że jest od niego silniejszy. Daubrecq odgadywał zresztą jej myśli, patrzył ze złą radością na jej rozpaczliwe wahania. Wreszcie przemówił znów:

— Słuchaj mnie, Klaryso. Już blisko północ. Za dwie godziny odchodzi stąd ostatni pociąg, który przewieźć nas może na czas do Paryża. Na czas, by ocalić twego brata. Ten pociąg jest błyskawiczny, wszystkie inne przyszyby zapóźno. Słowem o drugiej 48 pojechać musisz wraz ze mną.

— Czy zgadzasz się na wspólną ze mną podróż?

— Tak.

— Czy znasz warunki, pod jakimi zobowiązałem się wstawić za twoim bratem?

— Tak.

— Przyjmujesz je więc?

— Tak.

— Zostaniesz moją żoną?

— Tak.

Ach, te okropne tak, to potwierdzenie i niejako zaprzysiężenie, te ofiary z siebie na całe życie, ten związek z człowiekiem ohydny, który budził w niej tak straszną odrazę...

Wymawiając wymuszone przyrzeczenie, Klarysa czuła się już prawie wymazaną z liczby żyjących. Marzyła o śmierci. Wiedziała jednak, że nawet ten sposób uchYLENIA się od przemocy Daubrecq'a jest dla niej niedostępny.

Nie mogła odebrać sobie życia, bo w takim razie głowa Gilberta spadnie pod nożem gilotyny. Musi żyć, musi przyjąć haniebne propozycje nikczemnego szantażysty, musi zostać żoną tego potwora.

Słuchając jej odpowiedzi, wygłoszonych jakimś obcym, bezdźwięcznym tonem. Daubrecq patrzył na nią niedowierzająco, a potem wybuchnął cynicznym śmiechem.

— Ha! ha! co za uległość. — Tak i zawsze tylko tak, ani jednego słowa przeczenia, żadnego buntu. Oswoiłaś się więc nareszcie, moja dzika turkaweczko. Ale czekajno — ciągnął dalej, zmieniając nagle ton. — Łatno ci przyrzekać, bo myślisz, że skoro brat twój będzie wolnym, znajdziesz sposobność wyprowadzenia mnie w pole. — „Ten pocziwy Daubrecq, myślisz, jest tak we mnie rozmiłowany, że poprzestanie na przyrzeczeniach. Uwolni mi brata, a potem znajdzie się ktoś, w rodzaju tego chłystka Arsena Lupin, i osłoni mnie swoją opieką. Powtórzą się znów dawne sceny, szukanie listy 27-miu i t. p.” Nie, nie, moja gołąbko. Powinnaś to sobie dobrze zapamiętać, że nie jestem wcale pocziwym, ani też łatwowiernym. Nie wierzę ci ani odrobinę, to jest nie wierzę w twą dobrą wolę, ale potrafię cię zmusić do posłuszeństwa. Gilbert, a raczej mój przyszły szwagier, Julian hrabia de Mergy, nie zostanie odrazu uwolnionym, wyrobię tylko dla niego zwłokę, narazie tygodniową. — Przez ten czas zaręczymy się oficjalnie. Rozeszlemy wiadomienia o dniu naszego ślubu, który odbędzie się

możliwie okazale. A dopiero gdy zostaniesz moją żoną, słodką, kochającą, uległą, gdy wypróbuję cię należycie, postaram się wtedy dopiero o całkowite oswobodzenie Gilberta, a uzyskam je bez trudności, możesz być tego pewną. Zrozumiałaś mnie?

— Zrozumiałam — odparła cicho Klarysa.

— Zaprzestaniesz też tych nieustannych poszukiwań. Lista 27-miu stanie się zresztą naszą wspólną własnością. Gdybyś jednak nie była taką żoną, jaką cię mieć pragnę, potrafię jeszcze i po ślubie zemścić się na tobie, — radzę ci więc, abyś dobrze rzecz rozważyła. — Co się zaś tyczy czcigodnego Arsena Lupin, wydam go prędzej czy później w ręce sprawiedliwości, gdzie za mojem staraniem zapozna się wpędce z katem.

Klarysa nie słyszała już dalszych wywodów. Siedziała nawpół przytomna, z głową opartą o poręcz fotela, podczas gdy Daubrecq spacerował po pokoju, zatrzymując się przed nią od czasu do czasu.

— Ach! gdybym mogła umrzeć — powtarzała sobie w duchu.

— Możesz mnie nienawidzieć — mówił dalej Daubrecq — możesz się mną brzydzić, ale nie masz prawa okazywać mi tych uczuć. A teraz na zadatek przyszłości musisz mi dać pierwszy pocałunek.

Co? nie chcesz? nie śpieszysz na wezwanie swego oblubieńca, w takim razie ja przyjdę do ciebie sam, ja sam ukradnę z twych dumnych usteczek pierwszą należną mi pieśczętę.

Klarysa przymknęła oczy. Czuła, że los jej się dopełnia, że wszelki opór byłby już daremny. — Westchnęła tylko:

— Och Boże! mój Boże! czyż niema już innego sposobu?

Nie widziała już nic, słyszała tylko kroki Daubrecq'a, zbliżającego się do miejsca, gdzie siedziała. Ale upłynęło kilka sekund, a to, czego się tak obawiała, nie stało się jeszcze. W pokoju cisza, jakaś dzi-

wna przerażająca cichość. Zdziwiło ją to. Cóż to? Czy w ostatniej chwili, ten człowiek nie znający skrupułów, uczuł wyrzuty sumienia?

Podniosła z wolna powieki.

O parę kroków od siebie ujrzała stojącego Daubrecq'a, ale twarz jego była dziwnie zmieniona. W miejsce poprzedniej namiętności malował się na niej bezgraniczny, nieopisany lęk, przytem głowę miał podniesioną. Oczy jego, przykryte okularami, jakby dojrzały tam coś okropnego. Klarysa odwróciła się i spojrzała w tym samym kierunku. Zrozumiała teraz powód tej nagłej zmiany. Tam, wysoko ponad drzwiami była dawniej rama oszklona; rama ta znikła nagle a z pustego otworu wysuwały się dwie ręce uzbrojone w rewolwery, a lufy obu rewolwerów wymierzone były w stronę Daubrecq'a. Ten to widok unieruchomił go nagle i przykuł do miejsca.

Trwało to parę sekund, po których drzwi wchodowe zostały otworzone, a w progu ukazał się Arsen. Skłonił się z wdziękiem hrabiance, a potem jednym skokiem znalazł się przy Daubrecq'u, któremu przyłożył na twarz maskę przesyconą chloroformem. Ostry zapach narkotyku rozszedł się w powietrzu, a w minutę potem Klarysa ujrzała swego prześladowcę leżącego bez ruchu. Zwalił się jak martwa kłoda i był już w tej chwili rzeczą nieszkodliwą, prawdziwym żywym trupem. Wtedy dopiero dwa groźne rewolwery cofnęły się z posterunku, a Groniard i Le Balu wkroczyli triumfalnie do pokoju. Zabrali się natychmiast do pana posła i skrupowali go gruntownie, przyłożywszy mu jeszcze raz na twarz sporą dawkę chloroformu.

Wierny swej metodzie, Arsen Lupin ubezwładnił swego przeciwnika bez rozlewu krwi. Po dokonaniu tego pogromu, ogarnął go prawdziwy szal radości. Zapomniał o wszystkim i tańczyć zaczął po pokoju, wyprawiając najpociesniejsze skoki, krokiem kankana, maczicza, — tańca niedźwiedzia, foki i tyśiąca innych, praktykowanych w przedmiejskich ha-

lach muzycznych przez bulwarowo-karnawałową publiczność. Rozbudził się w nim z pierwotną siłą temperament paryskiego gawrosza, jakim był w głębi swej istoty i nie krępowała go już dziś nawet obecność hrabianki, przy boku której starał się dotąd zachowywać poprawne formy prawdziwego *gentlemana*. Wyglądał przytem tak pocieszenie, że patrząc na niego hrabianka musiała się uśmiechnąć, a był to może pierwszy jej uśmiech od wielu, wielu miesięcy, od czasu, gdy podjąć musiała tę ciężką, zawziętą walkę o dobre swe imię, a potem o życie ukochanego brata, walkę tę, przechodzącą o wiele siły słabej kobiety.

Ale wnet przypomniała sobie, jak dalece czas jest drogi. Już tylko 40 minut dzieliło ją od chwili odejścia pociągu, krótkich 40 minut, po upływie których wyzwolenie Gilberta stanie się niemożliwem.

— Błagam pana! — rzekła. — Jedźmy natychmiast, niema chwili czasu do stracenia.

Na te słowa, Arsen zaniechał na chwilę swych popisów tanecznych, a stanąwszy przed hrabianką, pochylił się nad nią i ucałował ją szybko w oba policzki.

Zrobił to tak nagle, a przytem tak jakoś naiwnie i dobrodusznie, że Klarysa nie obraziła się, a nawet się nie zdziwiła. Nie dał jej zresztą czasu do rozbierania swych wrażeń, bo zaraz po tym śmiałym pocałunku przykląkł przed nią, przybierając skruszoną postać.

— Gniewa się pani? Nie — prawda i słusznie pani robi. Lepszy przecie pocałunek uczciwego człowieka, który szanuje panią i czci, niż plugawe pieszczoty łotrowskiego szantażysty.

Skończyliśmy z panem posłem i to spodziewam się na dobre, tak, na dobre — a nagroda twoja, piękna hrabianko, to korek kryształowy. Będiesz go miała za chwilę, Klaryso de Mergy. Słyszałem hrabianko całą twoją rozmowę z Daubrecq'em. Stałem za

drzwiami i tam, wysoko w górze, wyjąwszy okno, byłem świadkiem całej sceny. Co za nikczemnik.

Tak, tak, panie pośle — mówił zwracając się do nieruchomej figury Daubrecq'a, leżącej na podłodze. — Powążyłeś się wątpić o talentach Arsena Lupin, o jego sprycie, potraktowałeś go, jak głupca, masz więc teraz za swoje.

Oszukał mnie coprawda z początku; pojechałam do Włoch, wprowadzony w błąd przez jego agentów. Ale ci ludzie używać zaczęli zbyt grubych wybiegów.

Wodzili mnie z miejsca na miejsce, przysyłając mi fałszywe telegramy. Pomiarkowałem to już w drodze do Genui, no! i wtedy, bez namysłu, wyskoczyłem na pierwszej lepszej stacji.

— Uwiadomiłeś mnie pan o tem telegramem? — zapytała Klarysa.

— O nie, chciałem pani zrobić niespodziankę.

— A więc depesza była zmyślona.

— Przysłał ją zapewne agent Daubrecq'a, nie wiedząc, jak dalece bliskim jest prawdy... A teraz poczekaj, hrabianko, wręczę ci korek kryształowy. Obaczysz sama, jakie to było proste, śmiać się będziesz razem ze mną.

Rzekłszy to, Arsen podszedł do kominka i wziął stamtąd paczkę zaklejoną, zawierającą tytoń.

— Przeczytaj to, pani — rzekł do Klarysy — ten tytoń nazywa się *Mary-land*, ulubiony tytoń naszego przyjaciela.

Rzekłszy to, Arsen rozerwał papierową opaskę, na której widniał ów napis, a potem delikatnie, dwoma palcami, wygrzebał z tytoniu zawartego w niej, mały, błyszczący przedmiot, na którego widok Klarysa wydała okrzyk, a potem chwyciła się za serce, jakby jej nagle zabrakło tchu.

— Korek kryształowy.

Tak, to był korek, wyrobiony zgrabnie z kryształu, ze złoceniami na spojeniach.

Tu hrabianka, nie panując nad sobą, poskoczyła

do Arsena i wyrwała mu prawie z rąk tajemniczy przedmiot.

Na twarz jej wystąpiły krwawe rumieńce, usta miała spalone gorączką, nie posiadała się wprost z radości, zdziwienia, a także z lęku, czy odnaleziony przedmiot jest właśnie tym, za którym goniła tak uporczywie. Czy być może, aby to był ten sam? To byłoby naprawdę zbyt proste, śmiesznie proste.

Daubrecq, który był namiętnym palaczem, miał zawsze przy sobie zapas tytoniu *Mary-land*, codziennie prawie kupował nową puszkę i nikomu dotąd nie przyszło na myśl doszukiwać się w tak niewinnej kryjówce kryształowego korka.

— Patrz pan — mówiła Klarysa — tu na spojeniu widać małą, niedostrzegalną prawie szczerbę, a tu pocisnąć tylko trzeba paznokciem. Czy widzisz pan, otwiera się. Nie! nie mam siły dokończyć, otwórz pan sam.

Ręce drżały jej tak mocno, że Lupin musiał wziąć jej z rąk korek kryształowy i sam go otworzył.

Z okrągłej główki kryształowego przedmiotu, wydążonej od środka, wypadł mały zwitek papieru.

— Papier tajnego ministerjum — szepnął Arsen. — Cienka bibuła, jakby do zawinięcia tytoniu, a przecież mocna jak pergamin. To lista! Niema wątpliwości, że to lista 27-miu. Nastała chwila ciszy, wszyscy czworo skupili się dokoła bezcennego dokumentu. Słyszeli wzajemnie bicia własnych serc.

— Och, Boże! — wyszeptała hrabianka — och, Boże!

Arsen rozwinął papier.

Był to spis, długi spis nazwisk, było ich 27, shańbione nazwiska tych, którzy zaprzepaścili sprawę kanału, okrywając niesławą Francję i rujnując życie tylu biednych, uczciwych ludzi.

U dołu świecił podpis prezesa rady administracyjnej, podpis czerwony, jakby skreślony krwią.

Klarysa znalazła wśród tych nazwisk imię swego

ojca, niesłusznie zbezczeszczone, a przypomniawszy sobie tragiczną jego śmierć, przysłoniła oczy ręką, a z oczu tych spływać zaczęły ciche łzy.

— Nie płacz hrabianko, proszę nie płacz pani, bo mi się serce kraje — zaklinał ją Arsen. — Pozostaje nam do spełnienia jeszcze ostatnia część trudnego zadania. Śpieszyć musimy do Paryża.

— Ach tak, tak, musimy śpieszyć, jedźmy natychmiast — zawołał hrabianka, już strwożona.

— Za pozwoleniem — zaprzeczył Arsen — głodny jestem, a przytem musimy wypić na cześć kryształowego korka, nasz przyjaciel Daubrecq pomyślał o winie na ten toast.

Usiadł przed zastawionemi przekąskami i ukroił sobie sporą ćwiartkę pasztetu. Nie zapomniał też o towarzyszach.

— Groniard! — Le Balu — rzekł do nich — po-krzepcie się i wy.

— My nie od tego, szefie.

Zasiedli więc, ale wpięrw Arsen zmusił hrabiankę do przełknięcia paru łyżeczek kawioru i uprosił ją, aby zechciała umoczyć usta w kieliszku szampana.

— No, a teraz my, bracia. — Zdrowie chloroformu, zdrowie posła Daubrecq'a. Niech żyje korek kryształowy! — I wypili duszkiem, trąciwszy się poprzednio kieliszkami.

ROZDZIAŁ XI.

KRZYŻ LOTARYŃSKI.

Teraz dopiero Arsen spoważniał i odzyskał całkowicie panowanie nad sobą. Rozumiał sam, że położenie jest zbyt krytyczne, aby można było bawić się w żarty i niespodzianki.

Mieli wprowadzić w rękę korek kryształowy, odkryli listę 27-miu, ale jedna minuta spóźnienia mogła

udaremnić całą ich robotę. A przytem, znalazłszy się w Paryżu, trzeba było postępować ostrożnie, nie zboczyć ani na włos z obranej linii, dać uczuć policji wartość zrobionego odkrycia, a przytem nie dać się poznać, bo on, Arsen Lupin, był dla policji tak cennym łupem, że pojmanie go, równałoby się prawie zdobyciu listy 27-miu. Trzeba też było zrobić coś z Daubrecq'em i ukryć go starannie do czasu przynajmniej.

— Groniard! — rozkazał jednemu ze swych wspólników — idź natychmiast do gażaru i zamów najlepszy samochód.

— A pieniądze, szefie.

— Pieniądze! Zaraz. Pan poseł opłaci oczywiście sam koszt podróży.

To mówiąc, Arsen zrewidował bez ceremonji kieszenie Daubrecq'a i wydobył grubo wyładowany portfel. Znalazł w nim 10.000 franków.

— Ho! ho — rzekł — nasz przyjaciel musiał wygrać grubą stawkę.

Zaopatrzył hojnie Groniarda i Le Balu, a gdy odeszli spojrział na Klarysę.

Hrabianka zajęta była oglądaniem drogocennego korka. Korzystając z tego, Arsen schował do kieszeni portfel Daubrecq'a. Uważał jego pieniądze za prawowicie zdobyty łup, ale wiedział, że Klarysa patrzy na to inaczej.

Nie chciał zasłużyć na jej pogardę.

Ale hrabianka myślała tylko o pośpiechu. Tymczasem z polecenia Arsena wniesiono do numeru spory kosz podróżny, obity ceratą.

Groniard powrócił pierwszy. Daubrecq leżał wciąż jeszcze odurzony. Arsen z pomocą towarzysza, posadził go w koszu, który był dość wysoki i zamknął go nakrywą. Wywiercił własnoręcznie trzy otwory w pobliżu twarzy, aby po obudzeniu się pan poseł miał czem oddychać.

— Widzisz przyjacielu — przemawiał do nie-

go — myślimy tu, o twojej wygodzie. Poczęstowałeś mnie wtedy nożem, a jednak nie wypłacam ci się wzajemnością. Arsen nie przelewa krwi, a zresztą czemu jesteś teraz, gdyśmy ci odebrali twój korek kryształowy.

Nie masz większego znaczenia, niż wąż, któremu by wyrwano jadowite żądło, lub tygrys, pozbawiony kłów i pazurów. — No zabierajcie go teraz — rozkazał, widząc, że i Le Balu już powrócił.

— A jeśli nas kto spotka?

— No! to powiecie mu, że niesiecie kosz waszej pani, która właśnie odjeżdża.

— Ależ to szaleństwo — zawołał Klarysa — ja nie pojadę samochodem.

— To też odwiezie nas on tylko na dworzec, stamtąd pojedziemy pociągiem.

— A bilety?

— Mamy je przecie. Zamówił je dla nas agent Daubrecq'a. Przysłano je właśnie do hotelu. Podróżować będziemy jako pan i pani Daubrecq. Wszystko zostało przewidziane.

Wyruszyli wreszcie; po drodze Arsen udzielał współnikom swym ostatnich instrukcyj.

— Zrobicie przeciętnie 50 kilometrów na godzinę. W takim razie staniecie w Paryżu jutro, to jest w poniedziałek, o godzinie 9 wieczór. Strzeżcie go jak oka w głowie, bo mimo wszystko chciałbym go mieć pod ręką przez kilka dni jeszcze. Potem wypuścimy pocziwca na wolność.

Byli już na dworcu. Pozostawało jeszcze 5 minut do odejścia pociągu. Arsen skorzystał z tego dla wyprawienia pod adresem Maurycego Prasville następującej depeszy:

Prefektura policji w Paryżu
do rąk Maurycego Prasville.

Znalazłam człowieka i dokument. Jutro w poniedziałek o 11 godzinie przed południem.

Klarysa.

Następnie wsiedli do pociągu. Nie dłużył się im czas w drodze. Opowiadali sobie wzajemnie swoje przygody. Klarysa dowiedziała się, że depesza, którą otrzymała dnia poprzedniego, a która dodawała jej tyle otuchy w czasie okropnego jej sam na sam z Daubrecq'em, nie była wysłaną przez Arsena. Był to wybieg Daubrecq'a, który zwrócił się przeciw niemu.

— Ależ to cud, że pan przybyłeś tak w samą porę — zawołała hrabianka.

— Tak, to graniczy rzeczywiście z cudem — odparł Arsen.

Już kiedyś jechał z San Remo do Genui, tknęło mnie coś nagle, tak, że chciałem wyskoczyć z wagonu, czemu Le Balu przeszkodził. — Było to w chwili odejścia pociągu. Spuściłem wtedy szybę i wychyliłem się z wagonu jak mogłem najgłębiej. I cóż ujrzałem? Portjer, który mi wręczył pani depeszę, zacieśniał ręce z wyrazem takiego zadowolenia, że nie miałem już żadnych wątpliwości. Wiedziałem już, że wyprowadzony jestem w pole, oszukany, wystrychnięty na dudka. Drżałem na myśl, że będzie zapóźno, lecz nie straciłem resztek nadziei. Wyskoczyć w drodze z pociągu byłoby szaleństwem, któreby do niczego nie doprowadziło. Dojechałem więc do stacji, gdzie wysiedliśmy wraz z Le Balu. Na szczęście w tej chwili właśnie nadchodził pociąg, powracający do Francji. Wsiedliśmy do niego. W San Remo odszukałem natychmiast człowieka, który wysłał nam depeszę. Nie zdążył jeszcze wyjechać, bo musiał wpierw zmienić ubranie i przedzierzgnąć się w imię pana Jakóba, agenta Daubrecq'a.

— Widziałem go, jak wsiadał do wagonu, odjeżdżającego do Nicei, od tej chwili zwycięstwo miałem w ręku.

— I cóż potem? — pytała Klarysa, którą, mimo niepokoju, zajmowało opowiadanie Arsena.

— Potem wszystko już było bardzo proste. Od-

prawiłem Le Balu, a sam towarzyszyłem, jak cień, Jakóbowi, nie widziany przez niego. Przybyliśmy jednocześnie do Nicei. Agent udał się natychmiast na plażę, ja za nim. Widziałem go rozmawiającego z Daubrecq'em, poczem obaj udali się do tego hotelu. Daubrecq zatrzymał się na dole i polecił swemu agentowi czekać na siebie. Posadził go w biurze, wprost naprzeciw telefonu, a sam wsiadł do windy. W parę minut później wiedziałem już, że na górnych piętrach mieszka pewna dama pod numerem 130. Z opisu poznałem panią. Pobieglem natychmiast na górę, drzwi do pokoju pani znalazłem na klucz zamknięte.

— I jakże pan wszedłeś?

— Ha, ha! — zaśmiał się Arsen. — Żleby to już było, gdyby Arsen Lupin nie zdołał wniknąć do zamkniętego pokoju z braku klucza. Otworzyłem więc, wchodzę — w pokoju niema nikogo, ale z sąsiedniego numeru dochodzą mnie głosy, widzę światło wpadające przez górną szybę. W dwóch skokach byłem na górze i widziałem przez szybę panią i jego, a co najważniejsze, zaklejoną paczkę tytoniu, leżącą na kominku.

— Więc pan wiedziałeś?

— Dowiedziałem się już w zamku Montepierre, że wyraz Mary jest kluczem zagadki. Reszty doszedłem sam. Mary — a dalej Mary-land. Doszedłem do tego w gabinecie Daubrecq'a, gdym dostrzegł, że brakuje na biurku owej paczki. Wiedziałem to skądinąd. Taki gatunek tytoniu Daubrecq pali najchętniej.

Tu Lupin zaśmiał się.

— Należy jednak przyznać — mówił dalej — że była to genialnie obmyślana kryjówka, właśnie z powodu swej prostoty. A przytem, nikt absolutnie, nikt nie mógłby powziąć podejrzenia, że tu właśnie ukrywa się korek. Bo pomyśl tylko, hrabianko, tytoń jest przecież artykułem zmonopolizowanym przez rząd. Opaski na paczkach i paczki same wypełniane są i za-

klejane pod ścisłą kontrolą. I komużby przyjść mogło na myśl, że tu właśnie ukrytym został dokument antyrządowy, groźny dla członków rządu, bo nie da się zaprzeczyć, że większość ludzi rządzących dziś Francją, to właśnie ci, których nazwiska spisane są na liście dwudziestu siedmiu, ci, którzy umoczyli rękę w przekupstwach.

Arsen rozwodził się dalej nad zręczną pomysłowością swego przeciwnika, a robił to tem chętniej, że przeciwnik ten został już, jak mniemał, pokonany.

Uważał więc za rzecz rycerską przyznać należną wartość jego metodzie walki.

Ale Klarysa nie słuchała go prawie.

Myśl jej była zajęta czem innem. Czy przybędą na czas, a co ważniejsze, czy uda się im uzyskać owo ułaskawienie. Czy lista 27-miu jest naprawdę dokumentem tak ważnym, że na podstawie posiadania go można wszystko otrzymać?

To też pytała od czasu do czasu:

— Czy tylko jesteś pan pewny, że się nam uda?

— Najpewniejszy w świecie.

— Słyszałeś pan, co tamten mówił o Maurycym Prasville. Utrzymywał, że ma przeciw niemu jakieś nowe dowody, że i jego także ma teraz w ręku.

— Tem skwapliwiej zapragnie Maurycy Prasville pozbyć się niewygodnego dokumentu.

— Ale niema go teraz w Paryżu?

— Telegrafowałem już do niego do Hawru, przyjedzie niezawodnie do Paryża, dla widzenia się z nami.

— A lista, sama lista? Czy naprawdę jest tak ważną?

— Pani jeszcze wątpi?

Tu stanął przed hrabianką, nie tając swego zdziwienia.

— Przypomnij pani tylko, czego dokazał Daubrecq, posiadając ten dokument. — Nie robił przecież żadnego użytku z listy — nie ogłosił przecież żadnego

nazwiska z wyjątkiem jednego Albufex'a, do którego żywił wyjątkową nienawiść. Wystarczyło, że miał listę, wystarczyło, że wiedziano o tem. Z tego jedynie powodu nie odmawiano mu niczego. Dlatego tylko został posłem, należał do wszystkich komisyj przynoszących jakikolwiek zysk, posiadał ogromny majątek, zrujnował kilku ludzi. Mógłby zostać ministrem, nawet prezydentem rzeczypospolitej, ale on wolał robić pieniądze i kochać się w pani, czemu się zresztą nie dziwię.

Klarysa nie słyszała tej ostatniej uwagi, troszczyła się tylko o brata.

— A więc ułaskawia Gilberta? — spytała znów. — Nie odmówia nam tego?

— Odmówiliby mieli? i czego? Takiej drobnostki, tam, gdzie moglibyśmy żądać Bóg wie czego? Będą nam wdzięczni, nieskończenie wdzięczni, że tyle tylko żądamy.

Umilkli wreszcie.

Klarysa znużona wrażeniami usnęła. O ósmej godzinie zrana przybyli do Paryża. Dwie depesze oczekiwały tam na nich. Jedna z nich donosiła, że Prasville nie stanie w Paryżu wcześniej, jak o 5-tej wieczór. Druga pochodziła od Groniarda i Le Balu, którzy dawali znać, że podróż automobilem udaje się im nieźle i że są już w Awinionie.

Klarysę zaniepokoiło spóźnienie Prasville'a.

— Mój Boże! — mówiła. — Dopiero o piątej.

— Wyborna godzina — odpowiadał jej Arsen.

— Ależ jutro...

— Tak jest, egzekucja wyznaczona jest na jutro na godzinę 9-tą zrana, ale pocóż się tem zaprzętać, skoro egzekucji nie będzie.

— A przecież dzienniki...

— Dzienniki? Przedewszystkiem niech ich pani nie czyta, a zresztą...

Tu Arsen wy dobył z szafki kredensowej flaszeczkę

napełnioną przezroczystym płynem. Wpuścił kilka kropel do wody i podał ją Klarysie.

— Niech pani to wypije.

— Cóż to jest?

— Wyborny środek nasenny. Prześpi pani czas oczekiwania.

— Nie, nie.

A przecież czuła się tak wyczerpaną, że ostatecznie usłuchała i wypila, a w kilka minut potem spała już smacznym, głębokim snem.

Wtedy dopiero Arsen zadzwonił na służącego i kazał sobie przynieść poranne dzienniki.

Wiadomość o wyznaczonem na jutro wykonaniu wyroku ogłoszoną była wielkimi literami:

„Dowiadujemy się z pewnego źródła, że egzekucja współników Arsena Lupin odbędzie się jutro. Pan Deibler oglądał już drzewo sprawiedliwości (tak w języku urzędowym nazwano rusztowanie). Wszystko gotowe”.

Przeczytawszy to, Arsen podniósł głowę i spojrzał przed siebie wyzywająco.

— Wspólnicy Arsena Lupin!... Egzekucja!... Zobaczmy! Spodziewacie się widowiska. Tłumy oczekują... Przykro mi panowie, ale doznacie zawodu. Wspólnicy Arsena Lupin wypuszczeni zostaną na wolność z polecenia władzy, a władza, to ja.

Mówiąc to, uderzył się z dumą po kieszeni, w której spoczywała słynna lista 27-miu.

Po południu otrzymał od współników swych drugą depeszę, donoszącą, że automobil z cennym pakunkiem dojechał już do Lyonu.

O trzeciej godzinie Klarysa przebudziła się.

Pierwsze jej słowa były:

— Jutro egzekucja...

Arsen nie odrzekł nic, ale widziała go tak spokojnym, uśmiechniętym, że sama uspokoiła się natychmiast i pewną była, że wszystko ułoży się pomyślnie podług woli Arsena.

O czwartej udali się do prefektury policji. Sekretarz Prasville'a, uprzedzony o ich przybyciu, chciał wprowadzić ich do tajnego gabinetu, ale Arsen zatrzymał go gestem.

— Nie, nie, tu będziemy oczekiwać pana dyrektora... Dopiero on sam...

Sekretarz zrozumiał, że sprawa jest tak dalece tajemnicza, że nawet jego obecność staje się zbyt częstą i usunął się dyskretnie.

W kwadrans potem, Maurycy Prasville wbiegł do gabinetu. Na twarzy jego malował się gorączkowy niepokój, którego nie umiał ukryć.

Sklonił się z pośpiechem Klarysie i dał tylko znak ręką, by hrabianka udała się za nim wraz z towarzyszem. Wydobyl z kieszeni klucz i otworzył drzwi ukryte w ścianie.

Klarysa i Arsen, w przebraniu Nikoła, towarzyszyli mu.

Przeszli mały korytarz, wstępowali po wewnętrznych schodach, to się znów spuszczała, wreszcie znaleźli się w kwadratowym pokoiku, wysłanym dywanem. Ściany tego gabinetu były grube, a przytem wymatracowane, nikt absolutnie nie byłby w stanie podsłuchać prowadzonej tu rozmowy.

— Macie listę? — rzucił bez wstępu Prasville.

— Mamy.

— A więc mi ją dajcie.

Arsen usunął się w cień. Główną rolę odegrać tu miała hrabianka, którą nauczył wprzód dokładnie, jak się ma zachować.

— Proszę o listę! — powtórzył Prasville.

Klarysa nie ruszyła się. Prasville spojrzał na nią uważnie i zrozumiał.

Jeśli poszukiwała tak gorliwie tego dokumentu to prócz nienawiści i zemsty, musiała mieć inne cele. Chciała coś dostać, coś wytargować.

— Proszę, niech pani siada — rzekł; a było to

znakiem, że gotów jest wejść w układy. Hrabianka usiadła naprzeciw niego.

Prasville był człowiekiem chudym, o twarzy nerwowej, wstrząsanej ciągłymi drgawkami. Kalectwo to uwydatniało się mocniej jeszcze w chwilach wewnętrznego wzruszenia. Klarysa wystawiała na próbę jego cierpliwość, nie mówiąc ani słowa. Przemówił więc pierwszy.

— Proszę hrabianki, zechciej postawić swoje warunki. Przygotowani jesteśmy do pewnych ustępstw, do pewnych ofiar.

— Do wszelkich ofiar — sprostowała hrabianka.

— Tak, tak, do wszelkich ofiar, leżących w granicach możliwości.

— A gdybym przekroczyła te granice? — rzekła Klarysa.

Prasville zniecierpliwił się.

— Nie bawmy się w słowa. Mów pani jasno, czego pani żąda.

— Wybacz mi pan. Chodziło mi przedewszystkiem o stwierdzenie niesłychanej wprost ważności tego dokumentu, który panu przynoszę, a której pan nie zaprzeczy.

— Nie zaprzeczę — powtórzył Prasville z głuchem rozdrażnieniem.

— Nie potrzebuję chyba przypominać na tem miejscu, ilu nieszczęść stała się już przyczyną fatalna lista, ilu błędów uniknąłby nasz rząd dzisiejszy, gdyby miał ją w swoim posiadaniu.

— Stałaś się wytrawnym politykiem, hrabianko — rzekł dyrektor, rzucając nieufne spojrzenie w stronę mniemanego pana Nikol. — Czy skończyła już pani? — dorzucił jeszcze.

— Daruj pan, ale nie można być dość ścisłą w sprawie tak niepowszedniej. Zadam więc jeszcze jedno pytanie.

— Słucham panią.

— Nie lekceważę oczywiście wielkiego znaczenia,

jakie nadaje panu pańskie stanowisko, ale poza niem są inni ludzie, postawieni wyżej jeszcze. Czy jesteś pan upoważniony do traktowania ze mną w ich imieniu?

— Tak jest — potwierdził z mocą Prasville.

— A więc, gdy postawię swoje warunki i dam panu godzinę czasu do namysłu, udzielisz mi pan odpowiedzi w imieniu rządu?

— Tak.

— W imieniu pałacu Elizejskiego?

— Tak.

— W takim razie — rzekła — pozostaje mi tylko żądać od pana słowa honoru, że nie będziesz pan szukał przyczyn, które skłaniają mnie do postawienia panu moich warunków, chociażby takowe wydały się panu dziwne i niezrozumiałe. Dajesz mi pan takie słowo?

— Ależ najchętniej.

Klarysa umilkła wzruszona. Zbliżała się chwila stanowcza, tyle oczekiwana. Utopiła wzrok w oczach Maurycego Prasville i rzekła dobitnie:

— Lista 27-miu zostanie panu wręczona, a raczej zniszczona w pańskiej obecności, wzamian za ułaskawienie i wolność całkowitą Gilberta i Vaucheray'a.

— Co? co?

Prasville zerwał się zdumiony.

— Ułaskawienie współników Arsena Lupin? — zawołał.

— Tak jest.

— Ależ to szaleństwo, to nedorzecznosc, co pani na tem zależy?

— Zależy mi wiele i żądam tylko tego.

— Ależ pani! — przerwał jej Prasville, chodząc wielkimi krokami po pokoju. — Jest to za mało i za wiele. Za mało, bo jakąż korzyść pani osiągnie z oswobodzenia opryszków?

— Przypominam panu dane przed chwilą słowo honoru.

— Pamiętam o niem, ale żądanie pani jest tak nieprzewidziane.

— Cóż stąd?

— Ależ zastanów się pani, Gilbert i Vaucheray zostali już skazani na śmierć.

— Właśnie dlatego żądam ich ocalenia.

— Ależ to wspólnicy Arsena Lupin, wyrok na nich obwieszczony został całemu światu. Cały Paryż wyczekuje niecierpliwie dnia egzekucji.

— A więc?

— A więc, rząd nie ma prawa wglądać w wyroki wydane przez sąd, nie może ograniczać niezależności sądów.

— Tego też nikt od was nie wymaga. Odroczycie poprostu egzekucję pod pierwszym lepszym pretekstem, a następnie prezydent ułaskawi skazanych.

— Odmówił już prawie.

— Zrobił to pod naciskiem Daubrecq'a, ale Daubrecq nie istnieje już dziś.

— Ależ to niepodobieństwo. Nie możemy iść tak na przekór i wbrew opinii. Opinia żąda kary śmierci na morderców. Czy myślicie zresztą, że lud paryski da sobie tak łatwo wydrzeć widowisko, na które czeka z taką niecierpliwością?

— Lud paryski poczeka na inną sposobność — mruknął z kąta swojego pan Nikol.

Prasville spojrział nieufnie na powiernika panny de Mergý, zadając sobie pytanie, kim mógł być naprawdę.

Ale Arsen umilkł już i nie wtrącał się do dalszej rozmowy. Dyrektor policji spacerował po pokoju widocznie wzburzony.

— Przyszliście zapóźno z waszemi warunkami — wybuchnął wkońcu. — Jutro egzekucja. Cóż u licha możemy zrobić? Tu się nic nie da zmienić. Już i tak opowiadają sobie po wszystkich bulwarach, że Arsen Lupin drwi sobie z policji, że nie dopuści do egzekucji i inne podobne brednie.

— Mają słuszość — uśmiechnął się ukradkiem pan Nikol.

Na znak dany przez niego Klarysa powstała.

— Jak widzę, nie dojdziemy do porozumienia — rzekła zimno na pozór, podczas gdy serce biło jej jak młotem.

Rzekłszy to, odeszła z godnością ku drzwiom. Ale Prasville skoczył wówczas i zatrzymał ją prawie przemocą.

— Gdzie pani idzie?

— Mój Boże! Sądziłam, że rozmowa nasza już skończona.

— O nie! zostań pani.

Rzekłszy to, Prasville zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku, podczas gdy Arsen, niemy świadek tej sceny, powtarzał sobie w duchu:

— I poco tyle ceregieli, skoro czcigodny Prasville wie bardzo dobrze, na czym się sprawa skończy.

Prasville uchylił w tej chwili rodzaj okienka w ścianie wewnętrznej i telefonował do kogoś.

— Proszę mnie połączyć z pałacem Elizejskim.

Spełniono jego żądanie. Prasville nie dbał już o to, że hrabianka i jej towarzysz słyszą każde słowo przez niego wypowiedziane.

Prosił nagle o godzinę audjencji, zaraz, natychmiast, w sprawie pierwszorzędnej wagi.

— Nie zapominaj pani — rzekł potem, zwracając się do Klarysy — że ograniczę się tylko do pośrednictwa, przedstawiając prezydentowi wasze propozycje.

— Wiesz pan dobrze, że prezydent przystanie bez wahania.

Nastąpiła chwila dłuższego milczenia.

Piękna twarz hrabianki promieniała tak wielką radością, że Prasville przypatrywał się jej z mimowolną ciekawością.

Jaki węzeł tajemniczy łączyć mógł tę dumną, wytworną dziewczynę z dwoma wyrzutkami społeczeństwa, nad którymi zawisł miecz katowski?

Gilbert był wprawdzie młodym, przystojnym chłopcem i zdawał się być mniej zepsutym od swego współnika. Ale zawsze przepaść, cała przepaść, dzielić go musiała od hrabianki de Mergy.

Lupin odgadł jego zaciekawienie.

— Susz sobie bratku głowę, nic nie wymyślisz — mówił sobie w duchu. — Gdybyśmy prosili tylko o łaskę dla Gilberta, mógłbyś łatwo wpaść na trop prawdziwy. Ale my żądamy także ułaskawienia Vaucheray'a, który, mówiąc prawdę, jest złośliwym bydlęciem i nie może mieć nic, ale to nic wspólnego z hrabianką de Mergy.

Tymczasem sygnał telefoniczny zabrzmiał znów w czarnym gabinecie; to sekretarz prezydenta rzeczypospolitej zawiadomił Prasville'a, że za godzinę otrzyma posłuchanie. Dyrektor policji usiadł i zatopił się w myślach.

— Ale, ale! — rzekł nagle — dla lepszego wywiązania się z swej misji usłyszeć muszę jeszcze z ust waszych parę szczegółów. Gdzie znaleźliście listę 27?

— W korku kryształowym.

— Gdzież jest ten korek?

— Ukryty był bardzo dowcipnie w zaklejonej paczce tytoniu. A paczka ta, jeśli pan sobie przypomina, leżała zawsze na biurku Daubrecq'a.

Prasville uczuł się upokorzony. Widział przecie nieraz tę paczkę wypełnioną tytoniem Mary-land, dotykał jej, miał ją w ręku, a jednak nie przyszła mu prosta myśl zdjęcia opaski i przeszukania wnętrza paczki.

Był biurokratą do szpiku kości, a przedmiot opatrzonej etykietą rządową, zdawał się mu być czemś tak niesłychanie pewnem i legalnem. Słowem, nie odgadł.

— No proszę! — mruknął niechętnie. — Że też sam nie wpadłem na to.

— Cóż to szkodzi — przerwała mu Klarysa — skoro lista jest już w naszych rękach.

— Proszę mi ją pokazać.

Klarysa zawahała się.

— Niech się pani nie lęka — uspokajał ją Prasville. — Lista jest pani własnością i nikt jej pani nie odbierze. Chcę tylko wiedzieć, chcę sprawdzić jej tożsamość. Pojmuje pani przecie, hrabianko, że nie mogę mówić z prezydentem, nie mając wprzód absolutnej pewności.

Porozumiawszy się z Arsenem, Klarysa wydobyła z zanadru kryształowy korek i otworzywszy go w oczach Prasville'a, wydobyła z niego cenny dokument.

Prasville porwał go chciwie i obejrzał na wszystkie strony, mówiąc:

— Ależ tak, oczywiście, to lista 27-miu, poznaję pismo kasjera, a to podpis prezydenta, czerwony podpis... Zrobiono już z tego legendę... Utrzymują powszechnie, że jest to podpis skreślony krwią. Ale mam jeszcze inne dowody. W posiadaniu mojem znajduje się strzępek papieru, oderwany od rogu. Bóg wie w jakich okolicznościach. — Otworzył biurko i z małej ukrytej szufladki wydobył wzmiankowany kawałeczek papieru i przyłożył go do listy. Obie części pasowały wybornie.

Oddarty strzępek przylegał dokładnie do całego arkusza.

Klarysa promieniała radością. W chwili, gdy Prasville, przybliżywszy się do okna, oglądał jeszcze dokument, szepnęła do Arsena:

— Powiedz mu pan, żeby ułatwił nam wstęp do Gilberta dziś jeszcze. Chcę mieć pewność, że nie będzie skazany na spędzenie tej jeszcze nocy w oczekiwaniu ohydnej śmierci.

— Naturalnie! — upewniał ją Arsen. — Naturalnie, nikt nie ośmieli się stawiać nam przeszkód.

Tymczasem Prasville prowadził dalej swoje badania zapomocą lupy. Porównywał listę 27-miu z in-

nemi papierami, które wydobywał kolejno ze szkatułki.

Przyglądał się im pod światło. Wreszcie odwrócił się do hrabianki de Mergy.

Gdyby Klarysa mniej była pochłonięta radością swą i nadzieją, dostrzegłaby z pewnością na twarzy dyrektora policji wyraz ironicznego niedowierzania.

— Wybacz pani! — rzekł do niej. — Badanie listy zajęło mi trochę czasu, ale zato doszedłem już do zupełnie pewnych wniosków.

— To znaczy? — spytała hrabianka.

— Chwilę jeszcze... Wpierw muszę telefonować.

Usiadł przy aparacie i jasno, dobitnie wymówił następujące wyrazy:

— Proszę uwiadomić pałac Elizejski, że z powodów odemnie niezależnych, cofam prośbę o posłuchanie. Wiadomość, którą miałem zakomunikować prezydentowi Rzeczypospolitej, nie ma już dla niego żadnej wagi.

Klarysa i Arsen, słysząc te słowa, spojrzeli na siebie z osłupieniem.

— Co to jest? Czy Prasville oszalał? Czy może zamierza przywłaszczyć sobie listę, nie spełniając przyjętego przed chwilą zobowiązania. Ale nie... — Dyrektor policji ujął we dwa palce listę 27-miu i wręczył ją Klarysie — mówiąc:

— Może ją pani zabrać.

— Dlaczego?

— I odesłać ją Daubrecq'owi.

— Poco?

— Chyba, że pani woli ją spalić...

— Ależ to szaleństwo!

— Wcale nie. Zaraz to pani wytłomaczę. Lista 27-miu spisana została, jak wiemy napewno, na papierze ministerjalnym, używanym wówczas oficjalnie, a którego mamy tu kilka próbek. Otóż papier ten przeznaczony był wodnym odciskiem fabrycznym, który dojrzeć można tylko przycisnąwszy arkusz do szyby,

a odcisk ten zaledwie dostrzegalny wyobrażał krzyż lotaryński. Krzyża tego niema na liście, który mi pani wręczyła, z czego wynika, że lista jest fałszywa.

Klarysa nie rozumiała jeszcze, nie chciała rozumieć, za to Arsen pojął odrazu znaczenie tej rewelacji. Zimny dreszcz przebiegł go od stóp do głowy, nie śmiał podnieść oczu na hrabiankę.

Ale wreszcie i ona także zaczęła rozumieć.

— Ależ w takim razie — wyszeptała — Daubrecq został sam wywiedziony w pole. Daubrecq nie posiada listy. Ta lista nie istnieje może wcale.

— Niestety, moja biedna pani, lista istnieje i Daubrecq ją ma w posiadaniu. On to właśnie wywiódł was w pole. Ta cała historia z kryształowym korkiem, to wybieg z jego strony. Podsunął wam sam myśl tej kryjówki, sfabrykował listę i wsunął do korka fałszywą jej kopję. Co się tyczy prawdziwej...

— Będziemy ją mieć, jeśli Daubrecq ją posiada — zawołał z mocą mniemany Nikol, wychodząc po raz pierwszy z roli biernego świadka. — Chociażby późno w nocy powrócimy tu znów, tym razem z prawdziwą listą.

— Ależ ja nie chcę — krzyknęła Klarysa — nie chcę zaczynać na nowo, brak mi już sił. Zresztą niema już na to czasu. Tu chodzi o Gilberta. On musi żyć. Słyszysz pan, on nie może umrzeć, bo ja...

— Na miłość Boga, hrabianko, żadnych zwierzeń — szepnął Arsen.

A widząc, że Klarysa nie panuje już nad sobą i wypowie lada chwila słowo, których przyjdzie jej później żałować, porwał ją za rękę, włókł za sobą prawie przemocą. Wyprowadził przez schody, korytarze i zaułki podworców policyjnych. Uległa mu wreszcie i szła posłuszna jak dziecko, tracąc świadomość swego położenia. On zaś powtarzał jej wciąż:

— Skoro przysięgłem, że Gilbert nie zginie, Gilbert żyć będzie i jakżeby mogło być inaczej, skoro przysięgłem, ja Arsen Lupin.

Zapomniał, jak niebezpiecznem było demaskować się tak w obrębie murów policyjnych. Na szczęście nikt nie dosłyszał jego słów, wszyscy owszem rozstępowali się z szacunkiem przed parą ludzi, dopuszczonych przed chwilą do najtajniejszych biur policyjnych. Zachowanie się Klarysy nie dziwiło nikogo. Widziano już tu przecie niejedną podobną tragedję, niejedna zrozpaczona kobieta przesunęła się przez obręb zabudowań policyjnych.

Arsen z Klarysą wydostali się bez przeszkody na ulicę.

Po wyjściu ich Maurycy Prasville, ogłuszony zrazu wypadkami, odzyskał zimną krew i zaczął się zastanawiać. Co znaczyło zachowanie się Klarysy?

Kim jest ów Nikol, mający nad nią taką przewagę? Kim jest ten człowiek, co przedstawił mu się zrazu w skromnej, potulnej postawie, a wkońcu wybuchnął nagle z tak żywiołową energją, narzucił wolę swą hrabiance i zapowiedział, że odkryje dziś jeszcze listę 27-miu?

Maurycy Prasville nie był zapewne tak bystrym, jak Arsen Lupin i jego przeciwnik, ale posiadał bądź co bądź pewne zdolności, a przytem duże doświadczenie policyjne.

Zaczął kombinować wypadki, wiązać z sobą poprzednie okoliczności i fakta i naraz prawda stanęła przed nim w całej rzeczywistości.

Arsen Lupin!

Mniemany Nikol nie mógł być kim innym, tylko Arsenem Lupin.

Jedna tylko okoliczność obudziła pewne wątpliwości w panu dyrektorze. Miał u siebie w zapasie cały szereg fotografii Arsena Lupin. Rzucił je na stół i przyglądał się im uważnie. Żadnego rysu wspólnego z tym, który zwał siebie detektywem Nikol.

Ale Prasville wiedział, jak cudownie umiał zmieniać swą osobę słynny włamywacz, to też nie wątpił już teraz, że ma go prawie w ręku.

Wyszedł pośpiesznie z tajnego gabinetu i udał się do swego biura. Po drodze zatrzymał pierwszego spotkanego brygadjera.

— Czy widziałeś pan — spytał go — wychodzącego stąd człowieka, średniego wzrostu, któremu towarzyszyła zrozpaczona kobieta?

— Tak jest, panie dyrektorze.

— A czy poznałbyś go pan?

— Niezawodnie. Przyjrzałem mu się dobrze, jakoteż młodej damie, która zdawała się czuć bardzo nie-szczęśliwą.

— Mniejsza o damę, ale jego musisz pan odnaleźć. Weź pan z sobą sześciu inspektorów policyjnych i udaj się na plac Clichy, gdzie ów Nikol podał swój adres. Gdybyś go tam nie znalazł, szukać musisz w mieszkaniu hrabianki de Mergy. Ale, czekaj pan, wprzód wystawić panu muszę urzędowe upoważnienie aresztowania tego jegomościa. — Rzekłszy to pan dyrektor zasiadł przy biurku i podpisał gorączkowo urzędowy blankiet.

— Weź pan to — rzekł, wręczając go brygadjerowi — i nie trać chwili czasu.

Brygadjer wziął do rąk dokument, lecz rzuciwszy nań okiem, zatrzymał się jeszcze, mówiąc:

— Ale miałem aresztować pana Nikol, a ten papier wydany jest na imię Arsena Lupin.

— Bo też mniemany Nikol i Arsen Lupin są jedną i tą samą osobistością — odparł Prasville, zacierając dłonie.

Tak, tak — mówił do siebie po odejściu brygadjera. — Mieć będę w ręku jedno lub drugie i to dziś jeszcze. Arsen Lupin lub lista 27-miu.

ROZDZIAŁ XII.

NA RUSZTOWANIU.

— Uratuję go! — powtarzał niezmordowanie Arsen, odwożąc Klarysę do jej mieszkania — przysięgam, że go uratuję.

Ale hrabianka nie przyjmowała żadnej pociechy, nie dawała wiary jego zapewnieniom. Siedziała odrętwiała, mając ręce zimne jak lód, to znów wybuchała wyrzutem i skargą.

— I czemużes pan nie zostawił mnie swemu losowi. Daubrecq by go uratował. Daubrecq musi posiadać prawdziwą listę, gdzie on jest, dlaczego nie przybył wraz z nami do Paryża?

— Przybędzie dziś jeszcze wieczorem — uspokajał ją Arsen. — Za kilka godzin będę go miał w rękę, a wtedy wymuszę od niego wyznanie, choćbym miał użyć tortury, jak nieszczęsny margrabia Albufex.

Ale i ta nadzieja okazała się płonną. Przybywszy do mieszkania, Arsen zastał tam depeszę od Le Balu, z której dowiedział się, że małe uszkodzenie automobilu zmusiło jego współników do zatrzymania się w drodze. Znów więc nieprzewidziana zwłoka.

Przybędą, ale zapóźno. Z głuchą wściekłością zmiął depeszę i wsunął ją do kieszeni, nic nie mówiąc o niej Klarysie.

Ona zresztą nie pytała o nic. Za to, zaraz po wejściu do mieszkania, porwała leżące na stole dzienniki i zaczęła je czytać. Potem przycisnęła rękę do serca i runęła omdlała na ziemię.

Arsen był już przy niej.

— Achillesie! — zawołał na służącego. — Pomóż mi przenieść ją na łóżko, a potem podaj mi flaszeczkę numer czwarty, stoi tam w szafie, na drugiej półce.

Achiles spełnił zlecenie.

Arsen rozchylił wargi zemdlonej za pomocą ły-

zeczeki i wlał jej pewną ręką dwadzieścia kropel narkotyku, którego wyborne własności znał dobrze. Sztynne rysy hrabianki rozprężyły się, usta odchyliły się lekko, na twarz jej wystąpiły słabe rumieńce. Oddychać zaczęła równo, spokojnie, ale usnęła natychmiast, usnęła głęboko.

— Spij! — szepnął Arsen, patrząc na nią. — Obudzisz się dopiero jutro, po wszystkim.

Wtedy dopiero usiadł sam, a wzięwszy do ręki gazetę, która spowodowała omdlenie hrabianki, czytać począł powoli, uważnie, a każdy odczytany wyraz przejmował go nieopisanym bólem i głuchym, bezsilnym gniewem. Artykuł brzmiał jak następuje:

„Policja przedsięwzięła najostrzejsze środki ostrożności celem zabezpieczenia egzekucji skazanych zbrodniarzy, gdyż jak wiadomo, rozeszła się pogłoska, że Arsen Lupin postara się odbić swoich współników. Od północy już ulice, przylegające do więzienia, obsadzone zostaną wojskiem”.

Dalej następował opis usposobienia obu skazanych.

„Zachowanie się ich jest dziwnie spokojne. Vayeray twierdzi głośno, że się nie lęka śmierci. Kpię sobie z tego, mówi, raz przecież każdy musi przez to przejść. Zresztą Arsen nie wpuściłby mnie już i tak do swej bandy. Jedno mię tylko mierzi, a to, że chcą mi głowę uciąć, wolałbym każdy inny rodzaj śmierci. Arsen powinien pomyśleć o tem, i przysłać mi szczyptę trucizny.

Co się tyczy Gilberta — pisał dalej nieznany sprawozdawca — to zaufanie jego we wszechpotęgę Arse na jest wprost rozrzewniające.

Chłopak ten nie wierzy w możliwość swej śmierci. Jest przekonany, że herszt jego uratuje go, choćby już pod gilotyną.

— Przyrzekł mi to przecie w czasie rozprawy — powtarza z wesołą twarzą — to też pewien jestem, że dotrzyma słowa. A choćby mi nawet głowę ucięto, to jeszcze potrafi włożyć mi ją napowrót na ramiona.

Ciekawa rzecz — dodawał trochę uszczypliwie autor artykułu — czy słynny włamywacz usprawiedliwi to dziecięce zaufanie swej ofiary, bo Gilbert jest tak młody, że można go prawie usprawiedliwić, poczytując Arsena za moralnego sprawcę jego upadku. Niestety, sprawiedliwość nie może powodować się ubocznymi względami i zastosować musi karę w całej surowości“.

Po przeczytaniu tego artykułu, Arsen uczuł się bardziej jeszcze zgnębionym.

— Tak, ci ludzie mają słuszość. On jest przyczyną nieszczęścia Gilberta. Od pierwszego dnia popełniał w tej sprawie cały szereg fatalnych omyłek. A teraz w ostatniej chwili, jak mógł uwierzyć, że Daubrecq ukrył swój skarb w marnej paczce tytoniu. Ten piekielny człowiek wynaleźć musiał dla listy 27-miu jakąś niesłychaną, prawdziwie piekielną kryjówkę.

Kryształowy korek jest fikcją, bajką obmyśloną dla omamienia łatwowiernej kobiety. A on uwierzył w niego. On, bohater tytułu nieprawdopodobnych przygód. Czuł w tej chwili dla siebie prawdziwą pogardę. Zdawało mu się, że gwiazda jego zachodzi.

Spółeczeństwo, z którem prowadził od lat tytuł tak zażartą walkę, musi wziąć na nim odwet.

Nadeszła chwila, kiedy sława Arsena Lupin chyliła się do upadku, a w dodatku ugodzono go w najdroższe uczucia.

— Skończyło się — rzekł do siebie — pobity jestem doszczętnie, bo chociaż mam jeszcze Daubrecq'a w swej mocy, na cóż mi się przyda, skoro przyjedzie do Paryża dopiero po śmierci Gilberta.

Poszedł do swego sypialnego pokoju i zadzwonił na Achileśa.

— Słuchaj! — rzekł do niego. — Jestem śmiertelnie znużony. Nie wpuszczaj tu nikogo i nie budź mnie, choćby niewiem co zaszło.

Achiles, który, jak inni, wierzył bez granic w po-

mysłowość i szczęśliwą gwiazdę swego pana, spojrzał na niego zdumiony.

— Jakto! — zawołał. — Więc już niema ratunku dla tamtych?

— Żadnego — odparł Arsen.

— I muszą dać głowę?

— Muszą. Daj mi flaszkę z narkotykiem, chcę przespać tę okropną noc.

Achiles spełnił w milczeniu ten rozkaz.

We 20 minut potem Arsen usnął równie głęboko, jak przedtem Klarysa.

Przez całą tę noc wrzało dokoła więzienia. Policja nie mogła sobie dać rady z tłumami, które nie chciały się rozejść i czekały noc całą, byle zająć dogodnie miejsca dla przyjrzenia się jutrzejszej egzekucji.

Bulwar Arago i przyległe uliczki strzeżone były pilnie przez policję i tajnych agentów, a każdy przechodzień musiał się im legitymować. Zresztą kordon wojska ustawił się na placu, na którym wznosiło się rusztowanie. Kompanja piechoty stanęła na chodnikach, pozamykano wszystkie szynki i kawiarnie nocne, a sklepy, znajdujące się w szerokim promieniu dokoła placu, miały być otwarte nazajutrz dopiero po południu. Cały personal wojskowo-policyjny zmobilizowany został wbrew przyjętemu dotąd zwyczajowi, wszystko to nadawało wyjątkową cechę przyszłej egzekucji i przyczyniło się do większego jeszcze rozgorączkowania umysłów.

Około czwartej zrana ustawiać zaczęto gilotynę. Przybijano poszczególne jej części. Rozlegał się ponury łoskot młotów, zabijających gwoździe, wywołując w obecnych dreszcz grozy, lub śmiech cyniczny, stosownie do usposobienia danych jednostek. O świcie zajechało kilka powozów, z których wysiadły osobistości urzędowe, czarno ubrane. Tłum demonstrował na ich widok, jedni przyjęli przybyłych oklaska-

mi, inni sykali i gwizdali. Wszystko to działo się w przyzwoitej odległości od bram gmachu więziennego, do którego nikogo nie dopuszczano. Wraz z bielejącym światłem poranku ustał deszcz, który kropił noc całą, tłum zakołysał się w niecierpliwem oczekiwaniu. Obiegały pogłoski, że stanie się coś nadzwyczajnego, nie chciano wierzyć, aby Arsen pozwolił zgilotynować swych współników, nie podejmując nic dla ich obrony.

Ten sam niepokój miotał umysłem pana prokuratora rzeczypospolitej, który dzielił się obawami swemi z Maurycem Prasville.

— Niech się pan nie lęka — uspokajał go dyrektor policji — tym razem mamy w ręku Arsena, a dzisiejsza egzekucja będzie tylko wstępem nowego procesu, który zelektryzuje wkrótce cały Paryż.

— Kto wie? — rzekł na to prokurator. — Nie podzielam pańskiej pewności, Arsen jest człowiekiem nieobliczalnym i może nam znów sprawić niespodziankę.

— Nie, skoro znam teraz jego kryjówkę i wiemy o każdym jego kroku. Mieszka w domu przy ulicy Clichy, do którego wszedł wczoraj o godzinie siódmej wieczór. Dom ten otoczony jest przez policję, Arsen zaś znużony prózną walką z nami, zażył lekarstwo na sen, które wybornie poskutkowało. Rozumie pan, że narazie nie zakłócamy jego spokoju, ale dwóch żołnierzy policyjnych czuwa u drzwi jego sypialni.

— Ho! ho! — zauważył z niedowierzaniem prokurator. — No! obaczymy! W każdym razie należy pragnąć, aby ranek dzisiejszy nie przyniósł nam przykrych niespodzianek.

— A jednak przyjdzie kiedyś czas, w którym sądy paryskie rumienić się będą za niesłusznie wydany wyrok — rzekł nagle adwokat Gilberta, który zbliżył się do rozmawiających.

— Co pan mówisz? — odrzekł chmurnie prokura-

tor. — Więc pan naprawdę wierzy w niewinność tego chłopca?

— Jestem o niej najmocniej przekonany — rzekł stanowczo adwokat.

Maurycy Prasville zamyślił się.

Przypomniawszy sobie dziwną rozpacz Klarysy i to zastanawiające żądanie oswobodzenia skazanych w zamian za listę 27-miu. Było w tem coś, czego nie pojmował.

Tymczasem nadeszła godzina.

Zbudzono więźniów. Vaucheray spał spokojnie w swem łóżku.

Gdy straż weszła do jego celi, zbudzony skoczył na równe nogi i spojrzał przed siebie oczyma rozszerzonymi zdziwieniem. Gdy chciano mu powiedzieć, że musi gotować się na śmierć — zbladł mocno i nie dał dojść do słowa swym dozorcóm.

— Cicho! Nie mówcie mi. Wiem dobrze sam, pamiętam.

I zaczął się ubierać stosunkowo spokojnie. Wido-cznem jednak było, że czeka jeszcze na coś, że się czegoś spodziewa.

Spojrzał na otaczających i spytał nagle:

— A tamten? Czy i on także idzie dziś na śmierć?

Odpowiedziano mu twierdząco.

Wtedy zawahał się chwilę i zdawało się, że chce coś wyznać. Ale trwało to zaledwie parę sekund. Wnet odzyskał zwykły swój cyniczny spokój i mruknął:

— To słusznie i on powinien umrzeć. Razem się broiło, razem odpowiemy za swoje.

I zaciął się od tej chwili w upartem milczeniu.

Gilbert nie spał już, gdy dozorca więzienny wszedł do jego celi. Siedział na łóżku i wysłuchiwał strasznych słów, jakby ich nie rozumiejąc. Spoglądał tylko po twarzach stojących naprzeciw żołnierzy, jakby doszukiwał się w którym z nich rysów znajomych.

Przypuszczał może, że jeden z nich jest przebra-

nym Arsenem, że ratunek, cudowny ratunek, w ostatniej chwili, jest tuż blisko. Niestety, było to złudzenie.

Powstał wreszcie i machinalnie prawie dał się wyprowadzić na fatalny plac.

— Czy przyznajesz się do winy? — spytał go jeszcze prokurator.

— Nie, nie — odpowiedział — nie mogę, nie zabiłem przecie nikogo.

Ksiądz, który go spowiadał poprzedniego wieczora, wierzył także w jego niewinność. Towarzyszył mu nieodstępnie i dodawał odwagi. Vaucheray odmówił przyjęcia pociech religijnych.

— To trudno — rzekł ponuro. — Ja zabijałem, teraz mnie zabijają, tak się musiało skończyć.

Zatwardziała dusza zbrodniarza nie kajała się nawet wobec śmierci, a może gdzieś na dnie tliła w nim jeszcze nadzieja, że Arsen ich odbije.

Gdy stanęli już na rusztowaniu, Gilbert spojrzał dokoła zdziwiony.

Poza kordonem wojska dostrzegał morze głów, całe morze głów ludzkich, oblane falami słonecznego światła.

Zrozumiał, że to już naprawdę.

— Słuchajcie! — rzekł głosem mniej pewnym, niż dotąd. — Jeżeli umrę naprawdę, ogłóście w gazetach, że utrzymywałem do końca, że nie jestem mordercą. To dla mojej siostry. Ona to już zrozumie, ona uwierzy.

— Któż jest twoją siostrą?

Nie odpowiedział na to pytanie.

— A potem... — dodał jeszcze.

— Cóż potem? — spytano go.

— Ogłóście także, że czekałem na Arsena, że ufałem mu do końca, że nawet konając wierzyłem, że mnie uratuje. Niech wie o tem — dodał. — Trzeba, żeby wiedział. I teraz pewien jestem, że nie umrę. On mi nie da zginąć.

I wzrok jego błądził wciąż po twarzach otaczających go ludzi. Zdawał się widzieć Arsena, odczuwał jego obecność niewidzialną dla innych.

Było coś dziwnie wzruszającego w tej niezachwianej ufności, chłopaka strzeżonego przez liczne zastępy zbrojnych żołnierzy, okutego, skrupowanego, a który jeszcze wierzył, jeszcze się spodziewał.

Obrońca jego miał łzy w oczach. Spowiednik zaś powtórzył raz jeszcze z silnem przekonaniem:

— Zabijacie człowieka niewinnego.

Zdanie to powtarzane z ust do ust, sposobilo przychylnie publiczność.

— Biedne chłopczyko — powtarzały kobiety. — Takie to młode, a ginąć musi marnie. To niesłusznie, to niesprawiedliwie. Tylu zbójów chodzi wolno po świecie, a mordują takiego, co nikomu nie zawinił.

Wzburzenie zwiększało się ku niezadowoleniu urzędników. Niektórzy w tłumie wymyślali na Arsena lub wyrażali życzenie, aby się pojawił i uratował Gilberta.

Wojsko podwoiło baczność. Postanowiono przyspieszyć egzekucję.

Vaucheray, spotkawszy się z Gilbertem, rzekł drwiąco:

— I cóż kolego, Arsen nas ładnie wystrychnął — a potem dodał ciszej. — Z pewnością znalazł korek kryształowy i woli sam ciągnąć z niego zyski, niż dzielić się uczciwie z współnikami.

Gilbert oczekiwał na swoją kolej. Vaucheray ujęty został silnie pod ramiona — wprowadzono go przymocą po stopniach wiodących do gilotyny. Kat podniósł ramię.

Naraz zaszedł wypadek niespodziany. Padł strzał, nie wiadomo dokładnie skąd. Pomocnicy kata, którzy prowadzili skazanego, uczyli nagle, że ciało jego opada im ciężko na ręce.

— Co to jest? Co się stało? — pytali. — On jest ranny? Kto strzelił do niego?

Krew płynęła z czoła skazańca, a mimo to twarz jego rozjaśniła się jakimś dzikim rozradowaniem.

— Brawo Arsen! — wyjąkał gasnącym już głosem. — Trafiłeś celnie, wolę to, niż gilotynę.

Kat stanął osłupiały.

— Dobić go — zawołał jakiś głos.

— On już nie żyje.

Wśród urzędników i agentów powstał straszny popłoch. Wydawali bezładne rozkazy.

— Ściąć mu głowę, sprawiedliwość musi być wykonana.

— Ależ on już jest trupem.

— To nic, niech kat zgilotynuje trupa. Prawo tego wymaga. Tchórzostwem byłoby cofać się przed jednym opryskiem.

Ale w tej chwili padł drugi strzał, który ugodził kata w ramię, tak, że ręka jego zwisła bezwładnie, nie mógł już wykonać swego smutnego obowiązku.

— To nic — woła uparcie prokurator — rana nie jest śmiertelna, pomocnik kata może go wyręczyć.

Ale ten nie myślał czekać na swoją kolej i uciekał w szalonym pędzie, przeskakując stopnie rusztowania.

Zresztą nowa kula drasnęła prokuratora, który zamiast doglądać wykonania sprawiedliwości, zająć się musiał obandażowaniem swej rany.

Szef prefektury zachował sam tylko zimną krew. On jeden dostrzegł, skąd padają strzały.

Na dachu przeciwnego domu, wprost naprzeciw rusztowania, stał człowiek uzbrojony w karabin.

On to wymierzał celne strzały, raniąc tych, których ubezwładnienie uznał za konieczne. Wyglądał naprawdę imponująco, celując z wysokości wielopiętrowego domu nad tłumem, po części rozszałym, po części zachwyconym.

Dokazał swego. Egzekucja musiała być odłożona.

Procedura francuska nie przewidywała podobnego wypadku. a urzędnicy zapytywali siebie, kto dokona

wyroku na Gilberta, skoro kat jest ranny, a pomocnik jego znikł bez śladu.

Tymczasem agenci i inspektorowie policyjni nie tracili czasu. Rzucili się tłumnie na dom podejrzany, dom buntowniczy, z którego wysokości Arsen dyktował swą rolę organom sprawiedliwości.

Jakim cudem mógł się tam dostać? Dom był strzeżony jak wszystkie inne. Przecisnąwszy się przez tłum, policja stanęła przed bramą, która była zamknięta od wewnątrz. Wywalono ją, ale tu zaraz u wejścia piętrzyła się barykada z krzesel, foteli, stołów i innych sprzętów. Trzeba było przynajmniej pięciu minut na usunięcie tej zapory.

Ta zwłoka wystarczyła na umożliwienie ucieczki Arsenowi. Widziano go przecież, jak po daniu ostatniego strzału spuścił się po gzymsie i wszedł do wnętrza facjatki, wystającej na najwyższem piętrze. Co więcej, gdy paru zwinniejszych agentów biegło po schodach, chcąc dostać się do owej facjatki, usłyszeli z góry głos, który wołał do nich:

— Tędy panowie! tędy! Jeszcze 18 schodów. Żałuję bardzo, że przyczyniłem wam tyle trudu.

Przelecieli w mig tych 18 schodów. Ale cóż, gdy stanęli na miejscu, przekonali się, że znajduje się tu strych, urządzone po staroświecku. Nie było tu wcale schodów, tylko drabina wsuwana przez otwór. Drabina była wciągnięta, a płaskie drzwi mocno zatrzaśnięte. Słowem, Arsen umknął.

Gilbert zaś, odprowadzony do więzienia, oczekiwał dalszych zmian w swoim przeznaczeniu. Nic teraz nie zdołałoby zachwiać ufności jego w zupełne ocalenie.

Trudno opisać wrażenie, jakie wypadki te sprawiły w mieście.

Sympatja była przeważnie po stronie Arsena. „Ukarał — mówiono — winnego, ratując się jednocześnie od hańby, jaką byłoby dla niego zgilotynowanie jednego z jego kolegów. Nie zabił pozatem ni-

kogo, mimo, że miał pod lufą swego karabinu całą magistraturę sądowo-policyjną. Przeprowadził konsekwentnie świetnie pomyślaną akcję ratunkową."

W tym duchu pisały gazety, w tym duchu mówili o całej sprawie wszyscy Paryżanie.

Prosta rzecz, że nie podzielano tego zachwytu w prefekturze policji. Tam chęć ujęcia Arsena stała się kwestją honoru. Cały personal policyjny był w ruchu. Telefon dzwonił nieustannie, około godziny jedenastej zwołano nadzwyczajne posiedzenie, na które stawili się wszyscy agenci, rozesłani poprzednio w pościgu za Arsenem. Ci zdali sprawę ze stanu, w jakim znaleźli inkryminowany dom, z wysokości którego Arsen dokonał genialnego swego zamachu.

Okazało się, że w wigilję wykonania wyroku, ktoś zadzwonił o samej północy do bramy, a gdy żona dozorczy otworzyła, pociągając automatyczną sprężynę, umocowaną przy jej łóżku, gość ów wszedł do sieni, a potem zapukał do jej drzwi. Powiedział, że przysłany jest przez policję w celu skontrolowania domu, stojącego tak blisko placu egzekucji. Odźwierna przygotowaną była na taką wizytę, nie zdziwiła się więc bynajmniej. Ale mniemany członek policji wpadł do jej izby, związał ją i pod surowemi groźbami zalecał jej ciszę i milczenie, upewniając, że w razie jeśli zachowa się spokojnie, nic się jej złego nie stanie. Pozasłaniał następnie starannie okna i zamknawszy drzwi na klucz, ulotnił się z jej mieszkania. Oszolomiona kobieta poddała się bez oporu wszystkim tym zarządzeniom, zawsze w przekonaniu, że dzieją się one na skutek polecenia policji. W 10 minut potem, młoda para, zamieszkująca pierwsze piętro, powracająca dnia tego późno z teatru, ubezwładnioną została w ten sam sposób. Ktoś otworzył drzwi powracającym i poświecił im na schodach, w zastępstwie skrupowanej stróżki, a gdy młodzi małżonkowie weszli do swego mieszkania, człowiek ów oznajmił im w grzecznych wyrazach, że musi ich uważać za więźniów do czasu

wykonania egzekucji i zamknął ich starannie na klucz, podobnie jak ich służącą, której zresztą nie budził. Młodzi państwo z pierwszego piętra nie zdziwili się zbyt, słysząc o ostrożnościach, jakie policja przedsięwzięła w całej dzielnicy i udali się spokojnie na spoczynek. Lokator z drugiego piętra był właśnie w podróży. Trzecie piętro nie było zgoła zamieszkałe. Tam więc zajął stanowisko Arsen, który był już wtedy panem całej kamienicy.

Tak brzmiało doniesienie, które usłyszał Maurycy Prasville w ów niefortunny dzień.

— Ale jakim sposobem uciec mógł tak nagle w oczach stutysięcznego tłumu? — spytał składającego mu raport komisarza.

— Nie trzeba zapominać, panie dyrektorze — odparł mu na to komisarz — że Arsen spędził w tym domu całą noc. Miał więc dość czasu na urządzenie sobie połączenia z sąsiedniemi strychemi.

— Więc sądzisz pan, że to był Arsen?

— A któżby inny zdolnym był dokonać tak śmiałego zamachu, sam, zupełnie sam, bo proszę zanotować, że nie użył on do pomocy nikogo ze swej bandy. Tak, to był bezwątpienia Arsen Lupin.

— A więc — rzekł prefekt Paryża, który był przytomnym tej rozmowie — byłoby to całkiem sprzeczne z tem, o czem upewniałeś nas, panie dyrektorze, mówiąc, że Arsen jest pilnowany, strzeżony, że go masz pod kluczem...

— Niestety, panie prefekcie, było to prawdą; Arsen był pilnowany, strzeżony, miałem go pod kluczem, ale mimo to, Arsen znikł, ulotnił się nam, jakby składał się z dymu i oparów mglistych.

— Stajesz się pan poetycznym, panie Prasville — zauważył kwaśno prefekt. — Ale to rzeczy nie wyjaśnia. Jakimże sposobem zdołał zbiec?

— Należy przypuszczać, że mieszkanie, które zajmował przy ulicy St. Claire,, ma jakieś wyjście sekre-

tnie, jak wszystkie jego lokale. Moi ludzie są tam właśnie, ale dotąd niczego nie znaleźli.

W chwili, gdy Prasville wymawiał te słowa, nadbiegł z prefektury zdyszany woźny, donosząc panu prefektowi, że wzywają go do pałacu Elizejskiego, czyli do prezydenta rzeczypospolitej, gdzie znajdował się już prezydent sądu.

— Spieszę tam natychmiast — odparł prefekt, a odchodząc, rzekł do Prasville'a:

— Tam rozstrzyga się los Gilberta.

— Jak pan sądzi, czy ułaskawią go? — spytał Prasville.

— Nigdy w świecie. Po takim skandalu zgilotynują go tembardziej chociażby był naprawdę niewinny. Sprowadzą poprostu nowego kata, zanim tamten przyjdzie do zdrowia.

Zaledwie prefekt opuścił gabinet dyrektora policji, gdy wręczono temu ostatniemu czyjaś kartę.

Spojrzawszy na nią, Prasville nie mógł wstrzymać się od okrzyku.

— To już przechodzi granice, na honor, to przechodzi granice.

Na karcie wypisane było nazwisko prywatnego detektywa — Lucjana Nikol.

Przed udzieleniem posłuchania tak niebezpiecznemu gościowi, przedsięwziął Maurycy Prasville wszelkie środki ostrożności.

Wydobył z biurka dwa nabite browningi, położył je obok siebie, przykrywając je od niechcenia papierami, następnie zaś porozumiał się ze swym sekretarzem.

— Panie Lartig — rzekł do niego. — Przyjmę tu za chwilę na posłuchanie pewną osobistość, która wyjść powinna z gabinetu z kajdankami na ręku. Posłuchanie potrwa zapewne długo. Weź pan wszystkich inspektorów policyjnych, jakich tu masz pod ręką i bądźcie w pogotowiu. Na pierwsze brzmienie dzwonka, wpadniecie tu wszyscy z rewolwerami w rę-

ku i otoczycie tego zucha. Działać należy stanowczo, brać żywcem. Czy zrozumiałeś mnie pan?

— Zrozumiałem, panie dyrektorze.

W pięć minut potem, sekretarz doniósł dyskretnie swemu przełożonemu, że wszystko stało się podług jego woli.

Prasville usiadł przy swoim biurku — i dotykając nieznacznie ukrytych pod gazetami browningów, rzekł do siebie:

— No! teraz czekam na ciebie, panie Nikol — a w duchu uzupełnił jeszcze myśl swoją w następujący sposób:

— Jeżeli ma z sobą listę, weźmiemy go wraz z listą. Jeśli jej nie ma, weźmiemy go bez listy. W każdym razie będzie to zwycięstwo, rzucające na mnie świetny blask.

ROZDZIAŁ XIII.

OSTATNIA WALKA.

— Wprowadzić tu pana Nikol! — rozkazał sekretarz.

Pan Nikol wszedł do gabinetu krokiem nieśmiałym, usiadł swoim zwyczajem na brzeжку krzesła i rzekł cichym, melodyjnym głosem.

— Przyszedłem tu dla dokończenia rozmowy, którą przerwaliśmy wczoraj w punkcie dość ciekawym.

— Pozwoli pan — odparł Prasville — za małą chwilę będę panu służył.

I wyszedł do przyległego gabinetu dla porozumienia się raz jeszcze ze swym sekretarzem.

— Obsadzić żołnierzami korytarze i schody — rozkazał. — Z tym człowiekiem niema żartów, gotów sprrowadzić tu całą swoją bandę.

Powrócił następnie i rozsiadł się wygodnie w fo-

telu przed biurkiem, jakby miał zamiar prowadzić długą rozmowę.

— Mówiłeś zatem, panie Nikol? — zaczął nie-
dbale.

— Mówiłem, panie dyrektorze, że chcę prosić o przebaczenie, z powodu, iż nie stawiłem się wczoraj. Miałem różne przeszkody. Przedewszystkiem hrabianka de Mergy.

— Tak, wiem, hrabianka była rozdrażniona, a pan starałeś się ją uspokoić.

— W istocie, tak. Pan dyrektor jest dobrze powiadomiony, a przytem i sam potrzebowałem spoczynku.

— Co za bezczelność — pomyślał Prasville, który wiedział przecie dobrze o nocnej walce, stoczonej przez Arsena z lokatorami owej kamienicy, z której wysokości dokonał swego zamachu.

Drażniło to pana dyrektora, że mniemany Nikol krąży wymijająco, zamiast przystąpić prosto do rzeczy.

— Przyrzekłeś mi pan, jeśli się nic nie stanie, wydrzeć od Daubrecq'a jego sekret.

— Przyrzekłem, ale na nieszczęście Daubrecq był nieobecny.

— Czy tak?

— Wyprawiłem go do Paryża automobilem, który się zepsuł w drodze.

— A więc masz własny automobil, panie Nikol — zauważył szef policji, uśmiechając się przebiegle.

— Stare, mizerne pudło. Kupiłem je przy okazji za bezcen prawie. Na nieszczęście samochód nie przybył na czas. Panowie nie chcieliście odłożyć egzekucji, dlatego więc...

— Cóż dlatego?

— Musiałem użyć innego sposobu.

— Jakiego?

— Ależ panie dyrektorze, zdaje mi się, że pan

wie o nim równie dobrze jak ja, że pan sam był świadkiem.

— Jakto?

— Byłeś pan przecie na placu egzekucji, widziałeś, jak Vaucheray padał ranny śmiertelnie, jak następnie kat otrzymał postrzał w ramię, co uniemożliwiło mu dokonanie egzekucji na Gilbercie.

— Co? co? Więc pan to uczynił? Pan śmiesz się przyznać do tego? — wołał Prasville, ogłuszony tak wielką bezczelnością.

— Po głębszym namyśle, przyznasz mi pan sam, panie dyrektorze, że nie miałem przed sobą innej drogi. Zabiłem Vaucheray'a, bo ten po stokroć na śmierć zasłużył, a i tak oddałem mu jeszcze przysługę. Wiesz pan przecie, jaki wstręt żywił on do gilotyny. Co się tyczy Gilberta, który jest absolutnie niewinny, nie mogłem narazie zrobić dla niego nic innego, prócz odwołania egzekucji. Dałem w ten sposób wszystkim czas do namysłu. Sobie, panu, prezydentowi rzeczypospolitej i prokuratorowi. Cóż pan myśli o tem, panie dyrektorze?

Pan dyrektor myślał wiele rzeczy, a przedewszystkiem, że pan Nikol ma piekielny impet i że przebywanie z nim sam na sam, chociażby nawet w środku zabudowań policyjnych, nie należy do najbezpieczniejszych rozrywek.

— Myślę — rzekł głośno — że aby trafić z tej odległości człowieka, którego się chce zabić i zranić drugiego, którego się miało zamiar tylko zranić, trzeba mieć djabelnie wprawne oko i djabelnie pewną rękę.

— Miało się już trochę praktyki, panie dyrektorze — odparł skromnie Nikol.

— Sądzę pozatem, że musiał pan już dawno opracować plan opanowania domu na wypadek egzekucji.

— Ależ nie, wcale nie, jest pan w błędzie, panie dyrektorze. Myśl dostania się do tego domu przyszła mi dopiero w ostatniej chwili, gdy zbudziłem się

z krótkiego snu, na jaki sobie pozwoliłem dla odświeżenia umysłu. A i jeszcze jedno... Mam doprawdy żal do pana, panie dyrektorze, za dziwaczny pomysł stawiania u drzwi moich dwunastu policjantów i to w chwili, gdy zależało mi najbardziej na pośpiechu. Na szczęście miałem wśród nich paru przyjaciół, a nawet jeden z nich zbudził mnie prawie przemocą, przynaglać do czynu.

— Co? co? — zawołał Prasville, czerwieniejąc z oburzenia.

— Zatrudniamy jednych i tych samych ludzi, panie dyrektorze. Stara to taktyka, która wychodzi na dobre obu stronom... No, ale uspokój się pan, nie wszyscy twoi podwładni stoją na moim żołdzie. To też dlatego zmuszony byłem przebiec pięć piąter po tylnych schodach i wyjść przez dom sąsiedni, wychodzący na drugą ulicę. Doprawdy, nie było to pięknie z pańskiej strony przyczyniać mi tyle trudu.

— Bardzo mi przykro, na drugi raz to się już nie powtórzy — odrzekł Prasville, dostrajając się do wesołego tonu swego gościa.

— Chcesz pan powiedzieć, że na drugi raz nie poprzestaniesz na obsadzeniu strażą drzwi moich, lecz ujmiesz mnie poprostu odrazu i okujesz w kajdany, że stanie się to może zaraz w tym samym gabinecie. Cierpliwości panie dyrektorze.

— Jestem cierpliwy! Sam musisz mi przyznać, panie Niko!, że jestem cierpliwy, — ale zwracam twoją uwagę, że odwołanie egzekucji Gilberta, nie ocali mu życia, że zostanie on i tak ścięty za parę dni... chyba, że...

— Chyba, że przyniosę panu listę 27-miu — podchwycił Niko!.

— A właśnie... A pan jej nie masz, jak się zdaje.

— Owszem, mam ją.

— Autentyczną?

— Najprawdziwszą w świecie.

— Z krzyżem lotaryńskim?

— Z krzyżem lotaryńskim.

Prasville umilkł zwyciężony wzruszeniem. Wiedział już teraz, że ma przed sobą Arsena Lupin, prawdziwego Arsena Lupin.

Siedział oto przed nim, Arsen Lupin, postrach wszystkich szefów policji, sam jeden, otoczony tajemnie czujnym nadzorem, a przecież tak spokojny, tak pewny siebie, jakgdyby znajdował się na czele swej bandy, wobec rozbrojonego przeciwnika.

Maurycy Prasville uczuł przesądny strach przed tym człowiekiem i nie wyzyskał swojej nad nim przewagi, nie zadzwonił. Spytał tylko niepewnym głosem:

— A więc Daubrecq wydał panu listę?

— Daubrecq nie wydaje niczego dobrowolnie. Wziąłem mu ją sam.

— Siłą?

— Niezupełnie. Co prawda, gotów byłem na wszystko i w chwili, gdy wyładowano go z kosza, w którym go wyprawilem jak zwykły ładunek kolejowy, miałem zamiar użyć nieomylnego środka. Żadnych tortur, żadnych mąk próżnych. Przystawić mu chciałem sztylet do piersi i dać mu do wyboru wóz albo przewóz. „Oddasz listę, albo zginiesz na miejscu.” Ja, panie dyrektorze, nie jestem skompromitowany w sprawie kanałowej, nie lękałem się więc pośmiertnych wyznań Daubrecq'a i mogłem mu zadać śmierć z czystym sumieniem. Ale...

— Ale co?

— W chwili, gdy Daubrecq wytrzeźwiony z działania chloroformu, otworzył oczy i spojrzał na mnie, spostrzegłem, że nie ma okularów. Zgubił je zapewne w czasie szamotania się ze mną. Spojrzał więc na mnie, a ja spotkałem po raz pierwszy jego oczy tak zbliżone i bez osłony szkielek.

— I to pana tak wzruszyło?

— Oczy Daubrecq'a przekonały mnie, że można wydobyć z niego tajemnicę nie skazując go na śmierć.

— Wyznał więc?

— Nic nie wyznał, taki człowiek, jak on, nie wyznaje. No, ale mniejsza o szczegóły, panie dyrektorze, dość, że otrzymałem od niego listę dwudziestu siedmiu.

— I masz ją pan przy sobie?

— Nieinaczej.

— Autentyczną?

— Najautentyczniejszą w świecie, spisana na papierze naznaczonym krzyżem lotaryńskim.

— Ale jakim sposobem dostałeś pan ją — powtórzył Prasville, którego paliła naturalna ciekawość — gdzie ją miał, w jakiejże nadzwyczajnej kryjówce trzymał ten dokument?

— Chce pan wiedzieć? panie dyrektorze, a więc mówiłem już panu, że powiedziały mi to jego oczy.

Chciałem je widzieć i wyczytać w nich strach przed śmiercią, nikczemny strach tego bezdusznego okrutnika, co posłał sam bez skrupułu na śmierć tylu ludzi. Spojrzałem w nie, w te jego dziwne oczy, okrążone czerwoną obwódką i tu spadł na mnie jakby błysk światła — jasne widzenie prawdy. Powiedziałem sobie. Skoro nie mogliśmy odnaleźć listy poza nim, ani obok niego, w mieszkaniu jego, ani w sukniach, ani zgoła nigdzie, a więc nosi ją widocznie przy sobie, a raczej w sobie, gdzieś pod skórą, w żywym ciele.

— Co? co? — zawołał Prasville.

— Tak jest, panie dyrektorze, tak jest, nosił ją...

— Ale gdzie?

— Powinienem był dojść do tego sam zapomocą logicznego wnioskowania. Przypomina pan sobie korek kryształowy, za którym goniliśmy razem z hrabianką de Mergy. Korek ten nie był fikcją, albo jeśli pan woli, kryształ ten nie był fikcją. Wydrążony kryształ, który hultaj ten nosił.

— Gdzież wreszcie?

— W oku, panie dyrektorze, nosił go w własnym

oku. Wyjąłem pocziwcowi to pierwsze oko w głowie, lewe oko i znalazłem w niem dokument.

Mówiąc to, skromny dotychczas pan Nikol, wyprostował się, urósł w oczach zdumionego dyrektora i śmiał się szczerym, wdzięcznym śmiechem zdrowego człowieka, który wydał się jednak dziwnie złowrogim Maurycemu Prasville.

— Popeliłeś pan to okrucieństwo? — wyszeptał przejęty mimowolnem uczuciem grozy.

— Jakie okrucieństwo? Żem mu wyjął to oko. Ależ to nie było oko, to był... to był... korek kryształowy, albo jeśli pan wymaga odemnie większej ścisłości, wydrażony kryształ. Oto jest. Możesz go pan oglądać.

Mówiąc to Arsen, podał na dłoni Maurycemu Prasville mały przedmiot ze szkła, a wpierw stuknął nim parę razy o stół — przyczem przedmiot ten wydał odgłos twardego kryształu.

— Szklanne oko — wyszeptał Prasville.

— Tak jest, szklanne oko, które czcigodny poseł ukrywał pod soczewkami okularów. Tu właśnie ukrył swój talizman, któregośmy szukali napróżno.

Prasville przesunął ręką po czole, nieochłonawszy jeszcze ze zdziwienia.

— A lista? — rzekł jeszcze pozornie obojętnym tonem.

— Jest tu, w oku Daubrecq'a. Pozostawiam panu przyjemny obowiązek wydobywania jej z tej kryjówki.

Prasville wziął do rąk szklanne oko, obrócił je w palcach i wpadł bez trudności na ruchomą ściankę, która ustąpiła pod naciskiem paznokcia.

Oko było wydrażone i zawierało zwitek, malutki zwitek cienkiego, jak pajęczyna papieru.

Rozwinął go drżącemi rękoma i obrócił do światła.

— Widzisz pan krzyż lotaryński?

— Widzę go.

— Więc tym razem lista jest prawdziwa?

— Tak jest.

— Zatem dobijemy targu.

— Naturalnie.

Nastąpiła chwilowa cisza. Arsen i Maurycy Prasville mierzyli się spojrzeniem, usiłując przeniknąć się nawzajem.

Szef policji trzymał prawą rękę na ukrytym pod gazetą rewolwerze, lewą zaś dotykał nieznacznie zamaskowanego dzwonka guzika elektrycznego.

Prasville przedłużał rozmyślnie tę scenę, rozkoszując się niezwykłością sytuacji, a więcej jeszcze niezaprzeczoną przewagą, jaką miał nad przeciwnikiem. Był przecież panem listy, miał w ręku Arsena Lupin.

— Skoro zechcę — myślał — pociągnę jedną ręką guzik elektryczny, drugą strzelę do niego, w razie, gdyby przeniknął moje zamiary.

Wtedy Arsen rzekł:

— Ponieważ spełniłem com przyrzekł, czas już panie dyrektorze, żebyś się potrudził do pałacu Elizejskiego i przyniósł nam stamtąd przyrzeczone przez siebie ułaskawienie Gilberta. Ja zaczekam tu na pański powrót.

— Zaczekasz pan i na co?

— Na pański powrót z pałacu Elizejskiego.

— Mój? — zawołał Maurycy Prasville, z dobrze udanem zdziwieniem — więc pan liczy na mnie?

— Ależ oczywiście.

— Żałuję bardzo, ale nie wiem, czy pan zdaje sobie z tego sprawę, że tego rodzaju krok do naczelnika rządu zakrawa na szantaż, byłby rodzajem wymuszenia, na które ja na mojem stanowisku pozwolić sobie nie mogę.

— Skrupuły szlachetne, ale nieco spóźnione — odparł sucho Arsen, po którego ustach przebiegał pogardliwy uśmieszek.

Nie spuszczał on z oka szefa policji i widział wybornie, jak Prasville złożył starannie listę i wsunął ją do swego portfela, który ukrył w bocznej kieszeni.

— A więc — mówił dalej Arsen — skoro nie podobają się panu moje warunki, proszę mi zwrócić listę 27-miu.

— Poco?

— Abym użył innego pośrednika.

— Nie opłaci się, drogi panie. Prezydent odmówi.

— Ależ przeciwnie, sędzę, że po wypadkach ubiegłego dnia ułaskawienie Gilberta przyjdzie bez trudności, będzie zresztą rzeczą bardzo godziwą, bardzo ludzką. Dlatego też oddaj mi pan, proszę, moją listę.

Słowa te wymówił Arsen bardzo spokojnie, a tylko w oczach jego zaświeciły iskierki, które mogłyby dać do myślenia szefowi policji.

Ale Maurycy Prasville czuł się bezpiecznym i pewnym siebie, odrzucił też niedbale:

— A gdybym odmówił?

— Pomyślałbym, że masz pan sumienie mało skrupulatne i bardzo krótką pamięć.

— Zobowiązania moje dotyczyły pana Nikol, a pan nim nie jesteś.

— Kimże więc jestem?

— Czy mam wymówić pańskie nazwisko i tytuły? — rzekł szyderczo Prasville.

Ale wtedy Arsen śmiać się zaczął cicho, jakby taki obrót rozmowy radował go niewymownie.

Śmiech ten zaniepokoił Maurycego Prasville bardziej, niż poprzednie zachowanie się Arsena, miał ochotę zadzwonić, ale się jeszcze zatrzymał.

Arsen tymczasem przysunął się z krzesłem do biurka i oparł bez ceremonji dłoń na leżących pod papierami rewolwerach. Twarz jego była tuż przy twarzy Prasville'a, tak, że patrzyli sobie oko w oko.

— To mi się podoba, — mówił Arsen — to mnie poprostu zachwyca. Lubię taką sielankową naiwność. Więc pan, drogi panie, wiedziałeś kim jestem i przypuszczałeś, że ja, Arsen Lupin, jestem takim idjotą, tak obranym z rozumu, takim matołkiem, że oddałem się panu w ręce z zawiązanymi oczyma? To była

tylko próba, próba pańskiego charakteru. Próba ta wypadła dla pana niepomyślnie.

— Czy tak? — próbował żartować Prasville. — Nie wiedziałem, że Arsen Lupin...

— Chcesz pan zadzwonić — mówił dalej Arsen, widząc, że ręka dyrektora policji błąka się dokoła elektrycznego guziczka. — Zatrzymaj się pan jeszcze. Rozumny człowiek powinien wysłuchać do końca. Czy znasz pan Józefa Vorenglade?

Na dźwięk tego nazwiska, Maurycy Prasville, który był dotychczas zupełnie pewny siebie, zmieszał się tak widocznie, że Arsen nie mógł powściągnąć uśmiechu zadowolenia.

— A widzisz pan... Zaciekałem cię, nie śpieszysz już z wydaniem Arsena Lupin w ręce twoich zbirów.

Ale Prasville opanował się już trochę i próbował zachować zimną krew.

— Józef Vorenglade... — rzekł. — Oczywiście, że znam to nazwisko, jest ono trzeciem z rzędu na liście 27-miu.

— A prócz tego?

— Prócz tego nic.

— Ten człowiek utrzymuje jednak, że był niegdyś twoim przyjacielem... Posiada, a raczej posiadał 4 pańskie listy, które zakupiłem dziś zrana za 40.000 franków. Listy te...

— Pan je masz przy sobie! — zawołał Maurycy Prasville.

Ale tu Arsen podniósł się z krzesła i wzięwszy do rąk oba rewolwery, powykręcał z nich najspokojniej naboje.

— Ta zabawka jest nam już teraz niepotrzebna... i bez niej potrafię zmusić pana do posłuszeństwa. A teraz, mój panie, pomówimy rozsądnie. Jeżeli za godzinę nie przyniesiesz mi pan tutaj ułaskawienia Gilberta, jeżeli za godzinę i kwadrans, ja, Arsen Lupin, nie wyjdę stąd spokojnie, przez nikogo nie ści-

gany, wieczorne dzienniki ogłoszą dziś jeszcze pańskie cztery listy pisane do pana Vorenglade.

I stało się coś nadzwyczajnego. Szef policji nie opierał się, nie próbował protestować... Teraz dopiero zrozumiał, jakim przeciwnikiem był Arsen Lupin.

Te listy? — Te listy? — skąd mógł o nich wiedzieć. To zapewne Daubrecq... Daubrecq, uznając się sam pokonany, chciał go pociągnąć w swoim upadku.

Józef Vorenglade nie istniał wcale, to było nazwisko przybrane, pod którym on sam pobierał dość znaczne sumy z funduszków kanałowych. Dlatego właśnie szukał tak zapamiętałe listy, tak pragnął jej zniszczenia.

Listy te pisał istotnie, zawierały one jego pokwitowania, ale sądził, że nikt o nich nie wie, że nikt nie domyśla się tej maskarady, tembardziej, że prawdziwy Vorenglade, pod którego nazwisko się podszył, nie żył oddawna.

Posłuszny jak dziecko, wziął laskę i kapelusz i zabierał się do wyjścia.

— Czekam pana za godzinę — rzekł raz jeszcze Arsen.

— Powrócę z ułaskawieniem, ale wzamian za nie listy zostaną mi zwrócone.

— Nie.

— Jakto? W takim razie po cóż mam robić starania?

— Listy zostaną panu zwrócone najakuratniej, równo we dwa miesiące po wypuszczeniu Gilberta z więzienia.

— I to już wszystko?

— Nie. Stawiam jeszcze dwa warunki. Po pierwsze zwrócisz mi pan natychmiast 40.000 franków, które wydałem na zakupienie pańskich listów.

Prasville zgodził się bez wahania, nie pytając gdzie i kiedy Arsen nabył jego listy.

— Po drugie — mówił dalej Arsen — podasz się pan do dymisji z posady dyrektora policji.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — rzekł z godnością Arsen. — Bo nie mogę pozwolić, aby tak ważne stanowisko zajmowanem było przez człowieka, który nie ma czystego sumienia. Nie chcę bynajmniej pańskiej zguby. Możesz postarać się, aby zrobiono pana posłem, ministrem lub kustoszem. — Ale na szefa policji nie nadajesz się pan wcale. Ten, który czuwa nad zdrowiem moralnem swego kraju, musi być człowiekiem nieskażonego charakteru, lub posiadać niezwykle zdolności. Charakter pański pozostawia wiele do życzenia, a co się tyczy zdolności... Wybacz pan, ale w całej naszej sprawie okazałeś pan takie niedołęstwo...

Nie chcąc słuchać dalej tak niepochlebnej oceny własnej osoby, Prasville wzruszył ramionami i wyszedł. Po drodze zmienił rozporządzenia, wydane poprzednio swemu sekretarzowi, bo niestety uwięzienie Arsena nie leżało już w jego interesie.

Powróciwszy z pałacu Elizejskiego, Maurycy Prasville zastał Arsena chrapiącego spokojnie w fotelu dyrektorskim. Zbudził się jednak zaraz.

— I cóż? — zapytał.

— Wszystko załatwione. Ułaskawienie Gilberta zapewnione, a oto przyrzeczenie na piśmie.

— A 40.000 franków?

— Oto czek na tę kwotę.

— Dobrze. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak podziękować panu dyrektorowi za jego dobrą wolę -- rzekł Arsen, kłaniając się uroczyście.

— A listy?

— Listy Józefa Vorenglade? Te wręczone zostaną panu we właściwym czasie. — Tymczasem pozostawiam panu dyrektorowi dwa z nich, które miałem zamiar rozesłać dziś redakcjom dzienników.

Rzekłszy to Arsen wręczył szefowi policji sporą kopertę, zamkniętą pięciu pieczęciami.

— A więc miałeś je pan przy sobie?

— Mój Boże! Tak byłem pewny, że dojdziemy do porozumienia.

Maurycy Prasville nie odrzekł nic na to, a tylko wsunął skwapliwie do kieszeni opieczętowaną kopertę.

Arsen zniknął. Po jego odejściu szef policji odechnął głęboko, jakby zbudziwszy się z ciężkiego snu.

Nie zdawał sobie jeszcze dostatecznie sprawy z doniosłości przyrzeczeń, jakie porobił Arsenowi, gdy zapukano znów do jego gabinetu.

— Kto tam? — zapytał niechętnie, bo pragnął być sam po wrażeniach, jakie przeżył.

— Pan poseł Daubrecq prosi o posłuchanie.

Dźwięk tego imienia zelektryzował nanowo szefa policji.

— Daubrecq? I czego jeszcze chce, czego się spodziewa?

Ale ten, nie czekając na pozwolenie wejścia, włączył się już do gabinetu i zwałił się prawie na dyrektora policji, opierając mu na ramionach olbrzymie swe, żyłaste pięście.

Wyglądał strasznie.

Oko miał przewiązane czarną opaską, suknie w nieładzie. Kołnierz u koszuli oderwany.

Nie przyszedł widocznie do siebie i robił wrażenie człowieka szalonego, co wyrwał się świeżo z poza krat szpitala dla obłąkanych.

— Masz listę? — ryknął na duchem szefa policji, który usiłował na próżno uwolnić się z jego uścisków i uciec się musiał do pomocy swego sekretarza.

Posadzili go we dwóch na krzesła, a Prasville uzbroił się znów w swoje dwa pistolety, poczem dopiero pożegnał skinieniem ręki sekretarza.

— Masz listę? — powtórzył raz jeszcze Daubrecq, krztusząc się z wściekłości.

— Mam.

— Kupiłeś ją?

— Tak.

— Za ułaskawienie Gilberta?

— Tak.

— I oddałeś ją prezydentowi?

— Tak.

— Głupcze, głupcze. Zdawało ci się, że zemścisz się w ten sposób na mnie.

— Wyznaję, że sprawia mi to niejaką przyjemność — odparł Maurycy Prasville, którego głos zadrażał lekko. — Pamiętasz śliczną Lili z opery paryskiej? Za nią to odpokutujesz mi dziś.

— Odpokutuję, być może, ale nie sam. Ty także, stary druhu, stoczysz się wraz ze mną w otchłań nędzy, chyba, że zrozumiesz własny interes i popierać mnie będziesz i nadal całym twoim wpływem, który wzrośnie teraz przez zdobycie listy 27-miu. Tak, mój drogi, jesteś teraz na mojej łasce, posiadam twoją tajemnicę.

— Być może — odparł obojętnie Prasville — ale bez dowodów.

— Będę je miał.

— Bardzo wątpię.

— Będę je miał — powtórzył Daubrecq, zgrzytając zębami. — Ten Vorenglade, którego nazwiskiem posługiwałeś się, umarł wprawdzie, ale zostawił brata, małego urzędnika, który znalazł w jego papierach parę twoich listów. Nie rozumiał ich znaczenia, ale ja go oświeciłem. Listy te mam, albo je będę mieć.

— Bardzo mi przykro ze względu na ciebie, ale listy te są już w mojem posiadaniu.

— Któż ci je dał? Może Arsen?

— Być może.

— Potrójny idjoto! Arsen cię wywiódł w pole. Arsen nie może mieć tych listów. Brat Józefa Vorenglade pojechał po te listy na moje polecenie i nie wróci, aż dzisiaj.

— Nie, nie, to być nie może. Mam je przecie w kieszeni, wystarczy mi rozerwać kopertę.

A jednak nie rozrywał jej. Bo jeśli to było prawdą, jeśli koperta zawiera tylko pusty, biały papier...

I rzecz dziwna, szef policji polegał na przyrzeczeniu Arsena, wierzył w jego honor.

Za to Daubrecq nie podzielał tej wiary. Nabrał odwagi. Otwierała się mu nowa droga ratunku, nowe źródło szantażu. Nie czekając na decyzję Prasville'a, wypadł jak szalony z gabinetu.

Po odejściu jego dopiero Maurycy Prasville odważył się na otworenie koperty.

Przypuszczenia Daubrecq'a były niestety słuszne — wewnątrz nie znalazł nic, prócz czterech arkuszy niezapisanego papieru.

Straszny gniew ogarnął szefa policji. Zapomniał już, jak niełojalnie postąpił sam wobec Arsena, zabierając mu listę i grożąc aresztowaniem. Na szczęście miał w ręku cały aparat policyjny, mógł więc spodziewać się, że potrafi jeszcze zatrzymać w drodze owego brata Józefa Vorenglade i wykupić od niego swą korespondencję.

W pięć minut potem znał już jego adres, w godzinę otoczony gromadą inspektorów ukazał się incognito na peronie dworca północnego.

Inspektorzy rozsypani po peronie, posiadali dokładny rysopis urzędnika i mieli rozkaz aresztować go przy wysiadaniu z wagonu.

Maurycy Prasville siedział w oszklonym kiosku, oddanym na jego usługi przez naczelnika stacji i czekał z bijącym sercem nadejścia pociągu. Gdyby miał jeszcze jakie wątpliwości, utraciłby je, widząc w pierwszym rzędzie, wśród oczekującej publiczności, deputowanego Daubrecq'a, z czarną opaską na oku. Przewidując, że Arsen zgłosi się może także do nadjeżdżającego urzędnika, Maurycy Prasville wydał rozkaz, aby aresztowano każdego, ktoby się zbliżył do nadjeżdżającego, w chwili, gdy wysiadać będzie z pociągu.

Inspektorzy oczekiwali, uzbrojeni w fotografie.

Pociąg nadszedł. Zdaleka już poznał Maurycy Prasville człowieka, na którego czekał. Stał on

w otwartem oknie wagonu pierwszej klasy. Nikt nie śpieszył na jego spotkanie prócz Daubrecq'a, który poskoczył do wagonu. W tejże chwili Maurycy Prasville znalazł się obok niego.

Daubrecq spojrział na niego z wściekłością; zrozumiał, że sprawa jego jest ostatecznie przegrana.

Tymczasem brat Józefa Vorenglade wysiadał spokojnie z wagonu, podając rękę jakiemuś sędziwemu panu, który był widocznie jego towarzyszem podróży.

— Panie! — przemówili do niego jednocześnie Daubrecq i Maurycy Prasville. — Oczekuję na pana z ważną i korzystną dla pana propozycją.

— Chodzi zapewno o listy — odparł spokojnie urzędnik. — Spóźniliście się panowie. Listy te już sprzedałem.

— Komu?

— Temu panu — odparł, pokazując na towarzyszącego mu starego jegomościa. — Wyjechał on na moje spotkanie aż do Amiens i zakupił listy.

— Arsen! — zawołał Prasville, tknięty nagłą świadomością.

Przestał wtedy zajmować się bratem Józefa Vorenglade i umówionym sygnałem zwrócił na starego gentlemana uwagę swych agentów.

Stary jegomość uśmiechał się do niego dobrotliwie.

— Nie spodziewałeś się pan, że czekamy tu na ciebie — rzekł złośliwie szef policji.

— Przeciwnie, byłem na to zupełnie przygotowany — odparł tamten z odrobiną humoru.

— No, dość tego... Aresztuję cię, Arsenie Lupin.

— Nie opłaci się, panie dyrektorze, jeśli jak przypuszczam, zależy panu na tych listach. Jadąc na spotkanie pana Vorenglade, nie wybrałem się przecież sam. Towarzyszył mi jeden z moich przyjaciół, człowiek bardzo pewny, któremu oddałem te papiery, potrafi on zrobić z nich użytek w razie, gdyby mnie aresztowano.

Arsen dał się spokojnie zrewidować, nie znalazł-

no przy nim owych papierów, które Vorenglade sprzedał mu, jak się okazało, za 40.000 franków.

Prasville uznał się za pokonanego i pozwolił Arsenowi odejść wolno.

Daubrecq, który był świadkiem całej tej sceny, odszedł, miotając przekleństwa.

Nie uszedł jeszcze 50 kroków, gdy usłyszano huk wystrzału; pan poseł Daubrecq odebrał sobie życie. Śmierć tę uważano powszechnie za słuszną karę za jego bezwzględność i okrucieństwo.

W miesiąc potem gazety rozniosły sensacyjną nowinę o ucieczce z więzienia młodego współnika Arsena Lupin.

Opowiadano, że władze ułatwiły mu same ową ucieczkę. Maurycy Prasville zaś otrzymał od Arsena swoje listy.

W parę lat potem spotkałem się z Arsenem, który opowiedział mi sam historję korka kryształowego.

— Bo pomyśl pan tylko — rzekł — że w całej tej historii szedłem poomacku, popełniając szereg błędów, ale za to naprawilem je gruntownie w ostatnich 12-tu godzinach.

— Cóż się stało z Gilbertem? — spytałem go.

— Mieszka w Algierze, pod własnem swem nazwiskiem, jako hrabia Juljan de Mergy. Ożenił się i ma syna, któremu nadał imię Arsen. Pisuje do mnie często... pocziwy chłopak.

Tu odczytał mi ustęp z listu dawnego swego współnika. „Szefie — pisał do niego Gilbert — gdybyś wiedział, jaka jest rozkosz prowadzić życie uczciwego człowieka, kłaść się do snu po długim dniu pracy i wstawać wraz ze słońcem — na drugi dzień podobny... Ale ja wiem, że Arsen Lupin jest także uczciwym człowiekiem na swój sposób, i kto wie, czyja miarka przeważy na sądzie ostatecznym.”

— Pocziwy chłopak — powtórzył Arsen — nie

traci nadziei, że sprowadzi mnie jeszcze na drogę ładu społecznego.

— A hrabianka de Mergy? — spytałem jeszcze.

— Klarysa! — powtórzył Arsen z odcieniem melancholji w głosie. — Nie widuję jej wcale.

— Czy nie okazała się wdzięczną za tyle poświęceń?

— To nie to, tylko widzisz pan, Klarysa de Mergy, to kobieta uczciwa, a ja... ja jestem Arsenem Lupin.

— No przecież —

— Ja wiem, że ludzie nazywają mnie uczciwym bandytą, rycerskim włamywaczem, ale czyż pan sądzisz, że taka dumna, szlachetna dziewczyna, jak panna de Mergy, mogłaby zapomnieć o tych moich tytułach do sławy? A zresztą i ja także nie zmienilibym dla niej trybu życia. A przecież kocham ją zawsze — dodał z głębokiem rozrzewnieniem. — Próbowałem się zagłuszyć a nie brakło mi do tego okazji. Dwie Amerykanki, trzy Rosjanki, parę księżniczek niemieckich, jedna Chinka. Więcej nawet, ożeniłem się. Musiałeś pan o tem słyszeć.

— O tak, małżeństwo to było głośnie.

— Ożeniłem się — jak panu wiadomo — z córką najdumniejszego rodu arystokracji francuskiej, księżniczką Anielą *de Vendome Bourbon Condée*. Małżeństwo to zostało potem unieważnione, na moje własne żądanie, a żona moja wstąpiła do klasztoru. Wybrałem dlatego tę księżniczkę, aby pokazać Klarysie, że nie onieśmiela mnie jej ród i tytuł.

Potem Arsen zamyślił się, a na ustach jego błąkał się dziwny uśmiech.

— Uśmiejasz się pan może na wspomnienie korka kryształowego?

— O nie — to co innego. Bo widzi pan, skoro wykradliśmy Gilberta, wraz z hrabianką de Mergy znaleźliśmy się wszyscy troje na pełnem morzu w śliczną,

cichą noc. Przysięgam panu, że kobieta, którą miałem wówczas w objęciach, nie była to tylko siostra, wdzięczna siostra, Klarysa de Mergy kochała mnie owej nocy. Mieszka teraz w Algierze, w białym domku arabskim. — Kto wie, czeka może na mnie — i przyjdzie może dzień, gdy do niej powrócę.

KONIEC.



Powieści Maurycego Leblanc'a, pisane z niesłychanym talentem, sławne są na cały świat, rozchwytywane w milionach egzemplarzy i przekładane na 25 języków. Największą popularność zawdzięcza Leblanc postaci swego głównego bohatera, Arsena Lupina, który stał się synonimem gentlemanstwa i brawury.

**Nakładem Księgarni Powszechnej — Kraków,
ul. św. Tomasza 20.**

MAURICE LEBLANC

Nowe nadzwyczajne przygody Arsena Lupina

**Dziewczyna o zielonych oczach
Agencja Barnetta i Spółki
Suknia z różowej łuski
Tajemnicze mieszkanie
Kryształowy korek**

W najbliższym czasie ukążą się:

**Weronika
Cudowny kamień } Wyspa 30 trumien
Dorota, tancerka na linie
Twierdza graniczna
Podwójne życie Arsena Lupina
Trzy zbrodnie Arsena Lupina
Nadzwyczajny wypadek
Hrabina Cagliostro, córka Józefa Balsamo
Arsen Lupin, gentleman-włamywacz.**

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Wydawnictwo »PANTEON«
w Krakowie.

„Biblioteka Najcelniejszych Autorów“

Dotychczas ukazały się:

Aleksander Dumas: Lady Hamilton

Lew Tołstoj: Kozacy

Oscar Wilde: Portret Doriana Graya

Rudyard Kipling: Zew Ziemi

Dalsze tomy w druku.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.